

MASZ TRZY MINUTY, ŻEBY OCALIĆ SWOJE ŻYCIE

The CALL



W e z w a n i e

PEADAR O'GUILIN

The
CALL

PEADAR O'GUILIN

The
CALL
Wezwwanie

Przekład

Katarzyna Bażyńska-Chojnacka i Piotr Chojnacki



Mojej siostrze, Klarze

*O, ukochany przyjacielu!
Nie pomyślałbym, że nie żyjesz,
Ale twój koń wrócił do domu
Włócząc lejcami po ziemi,
Z bokiem zbroczonym twą krwią.
(Tłumaczenie własne)*

Caoineadh Airt Uí Laoghaire
Eibhlín Dubh Ní Chonaill (1773)



Cztery lata temu: Trzy Minuty

W dniu dziesiątych urodzin Nessa przypadkiem słyszy kłótnię rodziców w sypialni. Jeszcze nie wie o Trzech Minutach. Skąd miałyby wiedzieć? Całe otoczenie stara się utrzymywać dzieci w nieświadomości. Nessa bawi się lalkami. Wierzy w kłamstwa o bracie, a kiedy wieczorem rodzice – uśmiechnięty tata, pedantyczna mama – kładą ją spać, okazują jej tylko miłość.

Ale teraz, gdy na stole w kuchni stoi tort z dziesięcioma świeczkami, wszystko ma się zmienić.

Tata nie wie, że córka stoi tuż za drzwiami, a mimo to szepcze:

– Nie musimy jej mówić – upiera się. – Ona... ona i tak nie może uciec. Jest wyjątkowym przypadkiem. Możemy sprawić, że będzie naszym dzieckiem o kilka lat dłużej.

Dzieckiem! Naszym dzieckiem! Nessa aż się jeży na tę myśl. Walczy, żeby ustać spokojnie w miejscu, ponieważ ze swoimi powykręcanyimi nogami robi mnóstwo hałasu podczas chodzenia. Kiedy jednak jej mama, Agnes, zaczyna szlochać, Nessa uznaje, że ma dość.

– Och, na Croma – mówi – stoję w korytarzu. Wchodzę, więc lepiej się nie całujcie!

To miał być żart, ale się nie udał.

– Po prostu wejdź – mówi tata.

Siwiejące włosy wciąż pokrywają mu prawie całą głowę. Prawie. Jest jeszcze starszy niż mama i w gorszych chwilach Nessa zastanawia się, czy nie przez to urodziła się słabsza i zachorowała na polio. Tak kiedyś powiedział jej kuzyn, a Nessa często o tym myśli.

– Znam prawdę o świętym Mikołaju – mówi, wchodząc do sypialni – jeśli o to wam chodzi. Tak naprawdę, wiem to od dawna, ale...

Agnes zgina się wpół, jakby dostała cios w brzuch. Trzęsie się tak mocno, że skrzypi łóżko, na którym siedzi. Tata obejmuje ją długimi, szczupłymi ramionami i przez chwilę wydaje się, że tylko ten uścisk powstrzymuje ją przed roztrzaskaniem się na kawałki.

Nessa czuje zimny dreszcz na plecach. Jeszcze tego nie wie, ale to pierwsza oznaka strachu, który już nigdy jej nie opuści, który zrujnuje jej życie, tak jak

zrujnował życie wszystkich w całym kraju.

Teraz tata też płacze. Jego łzy są ledwo widoczne: ślad wilgoci w oczach, stłumiony szloch, jakby wydobywał się spod grubej warstwy ubrań.

Nessa z trudem nabiera powietrza.

– Cokolwiek to jest... – zaczyna, a głęboko w środku jakaś część niej błaga ją, krzyczy, chce zatrzymać, zawrócić! – Cokolwiek to jest, chcę wiedzieć.

Mówią jej więc. O Trzech Minutach i o tym, co stało się z jej starszym bratem. A ona śmieje się, ponieważ taką ma naturę, a cała ta sytuacja jest absurdalna. To musi być jeden z głupich żartów taty! Oczywiście, tak musi być.

Ale oni dalej opowiadają straszliwą historię i narasta w niej strach, aż wreszcie krzyczy na nich, histerycznie, z przerażeniem.

– To kłamstwo! Kłamiecie!

Upada. Wykrzywiona lewa noga załamuje się pod nią.

Przez następne dwa dni Nessa nie chce się bawić ani rozmawiać. Ale jest zbyt inteligentna, żeby nie rozpoznać prawdy. Przez całe życie towarzyszyły jej pewne oznaki tego stanu rzeczy i tylko ich potworność w połączeniu z ufną naturą dzieciństwa, które dla niej właśnie się skończyło, sprawiły, że wcześniej ich nie dostrzegła. Nigdy nie zapytała samej siebie, gdzie podziały się wszystkie nastolatki. Albo dlaczego prawie nigdy nie rozmawiała z kimś, kto ma siedemnaście, osiemnaście czy dwadzieścia lat.

Ale jeśli nie zgodzi się, żeby lekarze ją uśpili, czeka ją taka przyszłość: pewnego dnia, gdy będzie miała kilkanaście lat, przyjdą po nią Sídhé, tak jak przychodzą w tym czasie po każdego. Będą na nią polować, a jeśli Nessa ich nie przegoni, umrze.

Trzeciego dnia powykręcane nogi wynoszą Nessę z jej pokoju.

– Zamierzam przeżyć – mówi. – I nikt mi w tym nie przeszkodzi.

Wierzy w każde wypowiedziane słowo.



Autobus

Minęły cztery lata i Nessa stoi w słońcu na przystanku autobusowym w Letterkenny. Wszystko jest starsze i wszyscy też się postarzel. Wszyscy, prócz niej i rudowłosej Megan o czerwonych policzkach, bez żenady palą „szklarniowy” tytoń i prowokują dorosłych, by ci zwrócili im uwagę.

Nessa chce coś powiedzieć przyjaciółce. Coś w rodzaju: „Musimy cały czas trzymać formę, jeśli mamy przetrwać”. Tylko jednemu dziecku na dziesięć udaje się przejść przez wiek nastoletni. Ciepło na twarzy jest jednak zbyt przyjemne, żeby psuć sobie nastrój.

Kupują bilety u babci w kasie i ruszają, by zająć miejsca.

– Popatrz na ten autobus! – mówi Megan.

Zmęczony silnik beka spalinami roślinnego oleju napędowego z odzysku i wszystko przechodzi zapachem smażeniny.

– Będziemy miały szczęście, jeśli udźwignie twój plecak. Rozkraczy się w połowie drogi.

Wielki sierżant w średnim wieku czeka w autobusie, wymachując dziesięciocentymetrową żelazną igłą. Spocił się pod czapką. Zanurza igłę w alkoholu i dźga w ramię każdego wsiadającego.

– Czy ja wyglądam na Sídhé? – rzuca groźnie jakaś starsza kobieta.

– Słyszałem, że mogą wyglądać, jak tylko zechcą, proszę pani.

– W takim razie na pewno nie chciałyby wyglądać tak jak ja!

– W istocie – odpowiada sierżant.

Kobieta rzuca przekleństwo, ponieważ sierżant i tak ją dźga.

– Bardzo przepraszam. – Uśmiecha się szeroko. – Żelazo ich wykańcza.

Kiedy przychodzi kolej na Nessę, strażnik spogląda na jej nogi i nie potrafi skryć litości, która odmalowuje mu się na twarzy. *Czy rodzice za słabo cię kochali, żeby cię zabić?*

Twarz Nessy nie wyraża żadnych emocji.

– Coś jeszcze? – pyta.

Wtrąca się Megan:

– Przepraszam, sierżancie. – Przyjmuje grzeczny i pełny szacunku ton. Jej twarz jest stworzona do tej roli: różowe policzki i roziskrzone zielone oczy. – Moja przyjaciółka próbuje powiedzieć: „Pilnuj swoich spraw, ty policjanciku

z wybałuszonymi gałami”.

Gdy Megan podchodzi do igły, sierżant bardzo skrupulatnie upewnia się, że dziewczyna nie jest szpiegiem. Megan znosi próbę żelaza spokojnie, ale w chwili, gdy sierżant wyjmuje igłę, dziewczyna obala go kopnięciem w nogę i skręca mu ramiona na plecach tak, że dwa razy większy od niej dorosły pada przed nią na kolana.

– Megan! – krzyczy Nessa. – Wystarczy!

– Dobrze nas wyszkolili – mówi Megan i puszcza oko. Uwalnia sierżanta i przechodzi dalej.

Autobus toczy się w kierunku Monaghan, a Megan gada przez całą drogę, głównie po angielsku. Nessa próbuje odpowiadać w języku sídhe – nie dlatego, że go lubi, ale ponieważ umiejętność porozumiewania się w języku wroga może pewnego dnia uratować jej życie.

Wie, że powinna znaleźć lepszą przyjaciółkę: taką, która nie pali i nie nosi niebezpiecznie długich włosów. Ale Nessa nie jest do końca gotowa poświęcić całego ziemskiego szczęścia i zabawy na rzecz starożytnych wrogów jej rasy. Jeszcze nie teraz.

Zaraz za Lifford wjeżdżają przez most do tak zwanej Irlandii Północnej. Teraz nikt już nie zawraca sobie głowy tymi rozróżnieniami. Jedyną granicą uznawaną przez Sídhe jest morze otaczające wyspę, z której zostali wygnani tysiące lat temu. Nikt nie może jej opuścić ani się na nią dostać. Nie docierają tu żadne leki, szczepionki ani zapasowe części dla fabryk, które niegdyś produkowały medykamenty; żadne przesłania nadziei lub wiadomości z przyjaznym słowem; nic.

Wybrzeże osnuwa welon mgły, a wszyscy na wyspie, bez względu na to, jakim paszportem się posługują, należą teraz do tego samego zagrożonego gatunku.

Chłopak wsiada w Omagh. Jest, oczywiście, wysportowany, ma sylwetkę biegacza. Większość nastolatków wygląda tak samo, ale chyba mu to nie przeszkadza, pomimo tego, że musi jeszcze podrosnąć. Uśmiecha się na ich widok.

– Do Dublina, dziewczyny?

Słowa w sídhe swobodnie spływają z jego ust. Nessa patrzy na chłopaka z przyjemnością, podoba jej się jego szczerza, przyjazna pewność siebie. Ona też mu się podoba, tak czuje, ale nie widział jeszcze jej nóg.

Jak zwykle to Megan odpowiada:

– Chodzimy do szkoły przetrwania w Roscommon.

– Też w Boyle? Aha, słyszałem o niej. Czy to nie któryś z jej uczniów ocalał przedwczoraj w nocy?

Dziewczęta wydały stłumiony okrzyk zdziwienia.

– Który? – pyta Nessa.

Dwadzieścia pięć lat temu, kiedy Sídhe zaczęli porywać nastolatków, udawało się przeżyć jednemu na sto. Obecnie, dzięki stałym treningom, pracy nad kondycją i nauce, gdy każdy wolny grosz tego zubożalego kraju idzie na utrzymanie ich przy życiu, odsetek ocalałych zwiększył się dziesięciokrotnie. Pozostaje jednak na tyle niski, że sama myśl, iż ktoś znajomy przeżył próbę, wywołuje u Nessy wielkie podniecenie.

– Chyba Ponzy. To w ogóle prawdziwe imię?

– Niemożliwe! – piszczy Megan. – Nie Ponzy! Nie ten wypierdek mamuta!

Ale śmieje się, ponieważ lubi Ponzy'ego – wszyscy go lubią. Nessa uśmiecha się z trudem, aż bolą ją policzki, a nieznajomy chłopiec odpowiada uśmiechem, ale nie tak szerokim, jak powinien.

– Tylko że... – mówi – tylko że wrócił jakoś tak trochę... inaczej.

– Jak to inaczej? – pyta Nessa.

W oknie za głową chłopaka przesuwają się mały, schludny parterowy dom otoczony przyciętym żywopłotem i grządką sałaty w miejscu trawnika. Nessa nigdy nie zapomni tego widoku, ponieważ zamiast odpowiedzieć, chłopak znika, a jego puste ubranie opada na podłogę.

Na kilka sekund wszyscy zamierają w zaskoczeniu. Wszyscy oprócz Nessy. Nessa od razu zrywa się na równe nogi.

– Stop! – krzyczy.

Potem uświadamia sobie, że powiedziała to w języku sídhe, więc powtarza po angielsku.

– Mamy Wezwanie! – krzyczy. – Kierowca! Niech pan zawraca! Natychmiast!

Megan, dumna właścicielka nakręcanego zegarka, już zaczęła odliczać.

– Dwadzieścia sekund – mówi. – Ja... mogłam przegapić parę sekund na starcie.

Minęło pół minuty kompletnej paniki, nim autobus wreszcie zaczął zawracać i Nessa musi trzymać się ze wszystkich sił. Za nimi pojawia się rządowy samochód, a pasażerowie na tyłach autobusu machają jak szaleni, dając mu do zrozumienia, żeby się pośpieszył. Tracą w ten sposób całe sześćdziesiąt sekund, ale w końcu udaje się dotrzeć przed dom z sałatą, a Nessa woła, żeby się zatrzymać.

Czy to było tutaj? Zastanawia się. A może byliśmy już kawalek dalej?

– Jaki czas? – pyta głośno.

– Dwie minuty czterdzieści pięć sekund – mówi Megan, obserwując piekielny sekundnik. – Trzy minuty, teraz!

Wtedy chłopak wraca. Gwoli ścisłości, słynne „Trzy Minuty” trwają dokładnie trzy minuty i cztery sekundy. Wszyscy to wiedzą, ponieważ w ciągu pierwszego straszliwego roku wiele Wezwań udało się uchwycić na kamerach

przemysłowych.

Ciało chłopaka zjawia się i z głuchym łomotem upada na podłogę. Nessa z ulgą zauważa, że nie jest to jeden z tych naprawdę okropnych przypadków. Nic nie kłębi mu się w brzuchu, jest tylko trochę krwi i para maleńkich rogów wyrastających na czubku głowy. Sídhé potrafią być o wiele bardziej pomysłowi, wykazują się nawet, jak twierdzą eksperci, pewnego rodzaju „poczuciem humoru”. Nessa drży.

– Nie trzymali go długo – szepce Megan. – Nie mieli czasu naprawdę nad nim popracować.

Kilka starszych osób płacze i chce wysiąść z autobusu, ale nie jest to już tak proste jak kiedyś. Mogą potrącić ciało, kiedy będą nad nim przechodzić, na co nie można pozwolić. Rogaty chłopak będzie tu leżał, dopóki agenci z Agencji Uzdrawiania nie zbadają go dokładnie w Monaghan.

– Te dziewczyny muszą dostać się do szkoły – mówi kierowca. I to by było tyle.

Megan w milczeniu rzuca gniewne spojrzenia na pochlipujących, potem siada, patrząc prosto przed siebie. Nessa również stara się wyglądać na opanowaną, wpatruje się przez okno w przesuwany się krajobraz i stara się nie myśleć o wszystkich morderstwach popełnianych przez jedną czy drugą stronę, aby móc uprawiać tę ziemię.

Podskakuje, kiedy Megan chwytą ją za ramię i syczy:

– Przestań!

– Ale co mam przestać?

– Znowu walisz głową. W okno.

– Och, faktycznie.

Nessa czuje, że na czole rośnie jej guz. Odkrywa, że walczy o każdy oddech jak ryba złapana na haczyk i że obecność ciała tego przystojnego chłopaka dociera do niej z całą mocą. Nigdy w życiu nie była niczego bardziej świadoma.

Sídhé wykradli go na nieco ponad trzy minuty, ale w ich świecie, Szaroziemie, minął cały dzień, wypełniony co do sekundy paniką i bólem.

– To dlatego, że jest podobny do Anto? – pyta Megan.

Nessa tłumy dreszcz.

– Wcale nie jest podobny do Anto.

Ruda wzrusza ramionami. Nie obchodzi ją to. I Nessy też nie powinno. Nie, jeśli chce żyć.



Szkoła

Przechodzą z torbami przez bramę i idą boso, aby zahartować podeszwy stóp. Nessa wie, że przyjaciółka idzie wolniej, niż by mogła, żeby zaoszczędzić jej wstydu. Obie milczą. Jest piękny wieczór, zapowiadający nadejście jesieni. Kraczące wniebogłosy wrony wypełniają drzewa szarymi i czarnymi piórami. Raz po raz grupka ptaszysk poderwie się do lotu i zatoczy koło nad porośniętymi bluszczem budynkami internatu i obiektami klasztornymi skrytymi między nimi. Tak, Szkoła Przetwania w Boyle stanowi toporny miszmasz starego i nowego, ale widok tych budynków zawsze przynosi Nessie ukojenie. Mimo że kocha rodziców, to tutaj jest jej prawdziwy dom, gdzie wszyscy stoją w obliczu tego samego zagrożenia i strachu, ale też dzielą te same nadzieje.

Sto metrów od głównego wejścia Anto wychodzi im naprzeciw. *Uśmiecha się, trochę nieśmiało* – myśli Nessa, i musi mocno się starać, aby uśmiech nie rozświetlił całej jej twarzy. Nie mogą być razem, i tyle. Nie mogą.

– Jak leci? – pyta z dublińskim akcentem, przeciągając samogłoski we wszystkie możliwe złe strony. – Co tam ciekawego widziałyście w Donegalu? Pewnie same bajora?

Choć jest przystojny i ma ten szelmowski wyraz twarzy, Megan wywraca na jego widok oczami.

– Muszę oddać tę powykęcaną przez Croma pracę Indycze – mówi. – Nie mam zamiaru tracić czasu na takich jak ty, Anto, parszywy dublińczyku.

Odchodzi i zostawia pozostałych dwoje sam na sam z krępującą ciszą.

Nessa docenia, że Anto nie oferuje jej pomocy przy niesieniu torby, że nigdy nie widziała litości w jego oczach. Anto najbardziej lubi się śmiać i wszędzie, gdzie się znajdzie, zaraża swoją radością.

Ale teraz się nie śmieje. Idą bliżej siebie, niż wypada, oddychają w jednym rytmie, patrzą przed siebie i myślą o tym samym: o tym, jak Nessa niechcący całowała się z nim przez całe dziesięć minut.

To stało się tego dnia, kiedy zabrali Tommy'ego. Był to pierwszy raz, kiedy na własne oczy przekonała się, co Sídhé naprawdę mogą im zrobić, jej zrobić. I w jednej chwili uwolniły się wszystkie jej tęsknoty, pękła tama, którą zbudowała, aby je powstrzymywać. Teraz musi ją odbudować. Mocniejszą niż kiedykolwiek wcześniej.

Niemal docierają do głównego wejścia, kiedy Anto mówi:

– Dlaczego nie?

Nessa nie musi pytać, co chłopak ma na myśli. Zatrzymuje się i zmusza go, by zrobił to samo.

– Powiedziałaś, że podobają ci się moje włosy – mówi.

– Powiedziałem. – Lewą ręką bawi się krzyżykiem, który dała mu matka. Już wie, że odpowiedź mu się nie spodoba.

– Ogoliłam je.

– Oczywiście, Nesso. Nabil radził, żebyśmy wszyscy to zrobili. Obciąłem warkocz.

– Tak, Anto. A ja lubiłam mieć włosy. Kiedy jadę do domu, mama płacze na widok mojej łysej głowy. Ale teraz nic... nic mnie nie złapie za włosy, rozumiesz? Kiedy Sídhe przyjdą po mnie, będzie jedno zmartwienie mniej.

– Oczywiście. – Blednie na twarzy. Nienawidzi tego. Nienawidzi rozmawiać o tym nieuchronnym dniu, kiedy przyjdą po nich wszystkich. Ale jednocześnie nikt nie wie, jak tego uniknąć. Wszyscy mają marzenia. Wymykają się nieuniknionemu, tworzą związki i starają się rozproszyć czarne myśli. Za dużo jedzą. Za mało trenują. Mówią po angielsku zamiast w sídhe.

Mówi mu to samo, co kiedyś powiedziała rodzicom:

– Zamierzam przeżyć. – Stara się, by jej głos brzmiał chłodno, i tak też brzmi. – To się już nie powtórzy, to po Tommym. Nie jestem już zainteresowana.

Anto nie może wejść do internatu dziewcząt. Nessa zostawia chłopaka u stóp schodów; twarz ma pustą jak kartka. Nie ogląda się, ręce nie drżą jej ani trochę. Radzi sobie z tym coraz lepiej. Nessa zna Anto. Wie, że zostawi ją w spokoju.

Cudem trzyma się jakoś do chwili, gdy dociera do szczytu schodów. Ma ściśnięte gardło, ale nikt tego nie zobaczy, a przyśpieszony oddech można wytłumaczyć dźwiganiem ciężkiej torby.

Mimo tego, co powiedziała o rozpraszaniu się, Nessa jest większym zagrożeniem dla Anto niż on dla niej. Wie najlepiej ze wszystkich, jak wiele w nim łagodności. To głupie. Zupełnie bez sensu. Na Croma, jak ją to złości! Nikt, kto myśli tak jak on, nie przetrwa ani minuty w innym świecie. Anto umrze i nie będzie to szybka śmierć.

Przestań! Natychmiast przestań! Nie może pozwolić sobie na takie myśli. Więcej niż raz sprawiły, że robiła się... lekkomyślna, że kręciły ją te głupstwa w stylu Romea i Julii.

Przeszła przez wahadłowe drzwi do długiej, rześkie oświetlonej sypialni na trzydzieści łóżek. Dwadzieścia sześć z nich było zajętych, ale to Piąty Rok, decydujący rok, kiedy większość lokatorek zostanie Wezwanych. Dowód na to znajduje się piętro wyżej, gdzie w sypialni dla dziewcząt Szóstego Roku stoi tylko dziesięć łóżek, z czego zajętych jest zaledwie pięć. Jeśli chodzi o Siódmy Rok, to zostało już tylko dwóch chłopców i jedna dziewczyna, ale do Bożego Narodzenia znikną i oni.

Nikt nie zachowuje się jednak tak, jakby w to wierzył. Antoinette nawet pali przy otwartym oknie i śmieje się do reszty dziewcząt, unosząc swoje ciemne pulchne policzki. Jest już ich tutaj co najmniej piętnaście. Wysportowanych dziewczyn z każdego zakątka Irlandii, których urodziny przypadają na koniec września i początek października.

Nicole plotkuje z Maryą. Emma o piskliwym głosie kryje się w tyle, a z najdalszego kąta Liz Sweeney patrzy wilkiem na każdego z osobna.

Wszystkie były przez dwa tygodnie w domu i mają mnóstwo do opowiedzenia. Aoife trzyma torbę z ciasteczkami upieczonymi przez babcię z Polski. To stamtąd wzięły się jej blond włosy i przesadna wielkoduszność, ale akcent ma tak samo paskudnie dubliński jak Anto.

– Słyszałaś, że Ponzy’emu się udało?

– Tak! – Nessa wreszcie czuje, że napięcie schodzi jej z barków. – Dobry stary Ponzy! Wróci jako weteran?

– Nie wiem... Na razie został w domu. Nie mogę się doczekać, aż wszystko opowie. Hej, wzięłaś ciastko?

Nessa oczywiście nigdy nie bierze ciastka. Kręci głową.

Zgodnie z obietnicą, Megan poszła złożyć pracę do pani Breen, zwanej Indyczką, dyrektorki szkoły. Nessa może więc rzucić rzeczy na łóżko koleżanki, dopóki się nie zorganizuje.

Najpierw wyciąga z torby *Historię Sídh*e: sto stron zawierających całą wiedzę o gatunku, który zaprzysiągł zagładę Irlandczykom. Istnieją, oczywiście, obszerniejsze książki o nich, liczące w niektórych przypadkach tysiące stron. Ale ich autorzy nie mają zbyt wiele do przekazania poza strachem i spekulacjami. Nessa woli fakty i nie ma w *Historii* akapitu, którego nie znalazłaby na pamięć.

Następna książka jest opasłym tomiszczem. Zawiera Świadectwa z ostatniego roku: relacje chłopców i dziewcząt, którzy wrócili z krainy Sídhe żywi i w na tyle dobrej kondycji psychicznej, by opowiedzieć, co widzieli i słyszeli.

Ostatnia książka, prezent od mamy, kiedy pierwszy raz wyjeżdżała z domu, to *Dánta Grádha* – wybór poezji miłosnej. Opiewającej dokładnie to, czym, jak powiedziała Anto, nie jest w ogóle zainteresowana. I w tym przypadku większość fragmentów zna na pamięć.

Drzwi wahadłowe znowu się otwierają. Pojawia się w nich Sarah Taaft; wygląda jak jedna wielka bryła mięśni. Amerykańska komandoska musi być grubo po czterdziestce, jest ogorzala od wiatru i słońca, ale wcale nie złagodziło to jej charakteru.

– Idziemy biegać! – krzyczy po angielsku. Nigdy nie nauczyła się ani słowa w języku sídhe. – Wskakujcie w dresy.

Nessa przez chwilę odczuwa lęk, gdy prześlizguje się po niej spojrzenie jasn

– Idziesz, Nesso?

– Oczywiście, że idę. – Czuje rumieniec wypływający jej na twarz, ciemniejący, gdy Taaft wywraca oczami.

– Nie będziemy na ciebie czekać.

– Nigdy nie czekacie.

Nessa nie potrzebuje ich współczucia. Przebiera się jako pierwsza. I żadna nie może jej dogonić podczas zbiegania po schodach. Wypracowała technikę polegającą na unieruchomieniu nóg i ześlizgiwaniu się po stopniach na twardych podszwach stóp. Mając do dyspozycji tylko ręce, którymi trzyma się poręczy i ściany, żeby zachować równowagę, zawsze jest o włos od upadku.

Taaft krzyczy na nią.

– W krainie baśni nie ma żadnych cholernych schodów, dziewczyno! Tam w niczym ci to nie pomoże!

Nessa uderza o podłogę z ogromną prędkością i upada precyzyjnie, po czym prześlizguje się po wypolerowanych płytkach aż do głównego wejścia.

Właśnie na tę chwilę trafia Chuckwu z torbami na ramionach.

– Co robisz na podłodze? – pyta.

– Idę biegać, oczywiście.

Nessa nie przyjmuje pomocy przy wstawaniu. Słyszy już rumor i śmiechy pozostałych dziewcząt, które zbiegają po schodach za jej plecami.

– Muszę spadać.

Odtąd do drzew może tylko kuśtykać i po chwili cała klasa ją wyprzedza. Jest tu uśmiechnięta Antoinette, która przesyła jej woniejącego tytoniem buziaka, a Liz Sweeney próbuje się przepchać do przodu. Pojawiła się nawet Megan, naciągająca w biegu bluzę.

– Ta cholerna indycza suka! Opowiem ci później, Ness...

I wreszcie nadciąga Taaft, mijając ją truchtem.

– Poważnie, dziewczyno...

Potem znikają. Nessę bolą już nogi, kiedy dociera do drzew, ale nie pozwala sobie na odpoczynek.

– Trzymaj się zasad – mruczy pod nosem. – Trzymaj się zasad.

Teraz jest już w tym mistrzem. Namierza wzrokiem gałęzie odpowiedniego rozmiaru i dokładnie wie, jak je przełamać, a chwilę później ma już parę sprężystych kul.

Nessa ma najsilniejsze ręce ze wszystkich. Na krótkich podpórkach potrafi dotrzymać kroku większości biegaczy z klasy, zarówno chłopców, jak i dziewcząt. Ale nie dziś. Dziś będzie pętla, jak to nazywają.

Trasa zajmuje jej godzinę. Najpierw pędzi do doliny między wzgórzami, gdzie jej kule ślizgają się niebezpiecznie na pierwszych w tym roku opadłych liściach; potem wijącą się ścieżką na grzbiet, aż wreszcie, gdy zapada zmrok,

dociera do formacji skalnej nazywanej Staruszkciem. Siedzi tam samotna sierżant Taaft, z butelką zakazanego piwa w dłoni.

Nessa zatrzymuje się, zanim się do niej zbliży. Drży i jest zlana potem, dyszy o wiele ciężiej niż jej koleżanki na tym etapie.

– Daj sobie spokój, dziecko – mówi Taaft. – Wróc do domu.

Nessa dusi w sobie ciętą ripostę. Lepiej nie podpadać Taaft. Nie bez powodu jest jedynym nauczycielem w szkole, który nie ma przezwiska.

– Po co pani tu siedzi, pani sierżant?

Taaft podnosi wzrok. Twarz ma zagniewaną, wykrzywioną jakby od bólu zęba lub kęsa dzikiego jabłka. Ale pośród zapachu sosny i łagodnych promieni zachodzącego słońca rozpromienia się jak Madonna.

– Może chcę złapać wróżkę?

– Jedną z Aes Sídhé?

– Jasne. Myślałaś, dziecko, że nie znam tego słowa? „Lud z Gór”?

Pociąga duży łyk z glinianej butelki. Kilka innych wała się jej pod nogami.

– Nawet wiem, skąd wzięła się ich nazwa. Czytałam tę waszą *Księgę podbojów*. O tym, jak wyrzuciliście ich z domów i wymusiliście na nich ten traktat...

– Jeszcze się wtedy nawet nie urodziłam! Nikt z nas się jeszcze nie urodził!

– Wasi ludzie wysłali ich „w góry, do podziemi”. Bez względu na to, jakie piekło to oznacza. A tysiące lat później oni wrócili i zamierzają was wykończyć.

– Nie zrobią tego! – Nessa bierze głęboki wdech. Pot zaczyna stygnąć jej na skórze. Wie, że powinna już pójść, ale nie da Taaft satysfakcji, że ta wyprowadziła ją z równowagi. – Większości z nas udaje się przeżyć – mówi. – Od stu dwudziestu pięciu lat szanse na przetrwanie wzrosły z jednego na sto do jednego na dziesięć.

– Wróżki nie będą tego tolerować, dziecko. Daję głowę, że właśnie w tej chwili opracowują plan, jak przywrócić dawny odsetek ocalałych. Cokolwiek wymyślą, mam tylko nadzieję, że sprowadzi je to tutaj, gdzie mogłabym im poprzetrącać te chude karki.

I dokładnie to samo robi z glinianą butelką. Huk rozlega się głośno jak wystrzał, a piwo wylewa się na ziemię.

Nessa przełyka ślinę.

– Muszę wracać, pani sierżant.

Przerwa na pogawędkę okazała się błędem. Ręce zyskały czas, by zorientować się, jak bardzo są zmęczone. Nessa zjeżdża po zbocz, zahaczając nogami o korzenie i kamienie. Kiedy udaje jej się dotrzeć do refektarza, wszyscy są już po prysznicu i skrobią łyżkami po dnach misek.

Anto wyraźnie odczuwa ulgę na jej widok, a potem udaje, że nie patrzy, gdy Nessa kieruje się do jednego ze stołów dla dziewcząt i wciska się między Megan i Antoinette. Za to Conor Geary śledzi ją wzrokiem przez całą drogę od drzwi.

Góruje wzrostem nad wszystkimi chłopcami przy stołach. Mógłby zmiażdżyć ją jedną pięścią i zawsze patrzy na nią tak, jakby właśnie zamierzał to zrobić. Niedługo Nessa dowie się dlaczego. Ale nie dziś.

– Na Croma, śmierdzisz! – mówi Megan. – Na szczęście to obrzydliwe mięso powoli zabija wszystkie moje zmysły. Masz! Ocalałam dla ciebie akurat tyle kolacji, żebyś całą noc przesiedziała w łazience.

– Po co mam w ogóle iść do łazienki, Megan, skoro twoje łóżko stoi obok mojego?

– Nazywasz mnie gnojową, Nesso Doherty?

– Jak cię nazywam?

– Skoro moje łóżko to klop, a ja w nim jestem, to znaczy...

Przerywa im Antoinette. Jej talerz jest tak czysty, jakby dopiero wyszedł ze sklepu. Zanurza widelec w szybko stygnącym szlampie.

– Zawsze chętna do pomocy, kochane – mówi.

Siedzą przy stole w ósemkę. W ogromnej sali każda klasa zajmuje osobny kąt, chłopcy i dziewczęta osobno. Największą grupę stanowią Pierwszorocznicy – dziesięciolatki. Wyglądają tak drobno, tak mizernie i uroczo. Truchleją za każdym razem, gdy rozbrzmiewa dzwonek lub kiedy popatrzy na nich krzepki instruktor.

U szczytu sali jest stół ocalałych, gdzie w towarzystwie instruktorów je trójka tych, którzy wrócili od *Sídhe*. Dziś znalazł się tam Nabil, chociaż nie tyka wieprzowiny. Jego wielkie ciemne oczy zawsze wyglądają tak smutno na tej delikatnej twarzy. Może to wrażenie potęgują blizny na brodzie? Nie zauważa tego jednak Taaft, która aż marszczy się z niezadowolenia, kiedy odkrywa, że jedyne wolne miejsce zostało po lewej stronie Francuza.

Dalej znajdują się stoły nauczycieli, gdzie honory pełni Alanna Breen. Słynna uczona napisała *Historię Sídhe* i włada ich językiem jak ojczystym. Dziś wieczorem towarzyszy jej pani Sheng, nauczycielka medycyny polowej, i korpulentny, czerwony na twarzy pan Hickey – jeden z pierwszych ocalałych – który wyklada teorię polowania. Śmieje się z czegoś, ale bez względu na to, co to za żart, zrozumiał go tylko on.

Wielu pozostałych nauczycieli woli jeść w samotności lub w pobliskim miasteczku Boyle.

Alanna Breen stuka w szklanekę i w sali zapada cisza. Wstaje, nie zwracając uwagi na falujące fałdy na szyi, chociaż to właśnie nimi zasłużyła sobie wśród uczniów na przezwisko „Indyczka”. Mały podbródek skryty w cieniu wielkiego jak skocznia narciarska nosa nie przydaje jej urody. Kobieta przemawia za to mocnym głosem, a słowa przychodzą jej z łatwością. Każde zdanie to gramatyczna perełka złożona z idealnie dobranych przypadków, rodzajów, czasów lub liczb.

– Na pewno wszyscy już słyszeliście, że jeden z naszych uczniów, czyli Ponzy, przeżył Wezwanie.

Czeka, aż ustaną wiwaty.

– Nie wróci do nas tutaj, do Boyle, ale na początku przyszłego tygodnia opublikujemy jego relację. W moim gabinecie będą egzemplarze do pobrania, a pan Hickey – kłania się lekko czerwonemu na twarzy dżentelmenowi u swego boku – omówi z wami ujawnione fragmenty.

– Ujawnione fragmenty, proszę pani?

Pytanie pada z ust Bartley'a, jednego z dwóch pozostałych kolegów Ponzy'ego z Siódmego Roku.

– Ujawnione fragmenty – potwierdza dyrektorka, a słuchacze są tak zaskoczeni, że przez dłuższą chwilę nikt nic nie mówi. Relacje ocalałych zawsze są publikowane w całości. Ale ten chłopak rano w autobusie, ten, który został Wezwany, mówił coś o Ponzym, że coś poszło... inaczej.

– Wszyscy znamy Ponzy'ego – mówi pani Breen – czyli Jacka Ponsonby'ego, jak powinnam o nim mówić. Prosił... prosił, żebyśmy zapamiętali go takim, jakim był. A po przeczytaniu jego relacji i po konsultacjach z naszym profesorem teorii polowania uzgodniliśmy, że należy usunąć ostatni akapit oraz wszystkie fotografie przedstawiające... hmm... obrażenia Ponzy'ego. I to tyle w tej sprawie. Cieszymy się, że wrócił. Mamy kolejną żywą duszę, która pomoże ratować przyszłość naszego drogiego kraju. Za chwilę podamy deser. Ale najpierw toast.

Unosi kieliszek, a wszyscy idą w jej ślady i wznoszą żarliwy okrzyk:

– Kraj musi przetrwać! Przyszłość należy do nas!

Nessa widzi, że dziesięciolatki im nie towarzyszą. Wszyscy złożyli już głowy na stołach.

– Biedactwa – mówi Antoinette. – Pospali się. Dostali Herbatkę Powitalną.

– Według mnie to jest chore – mówi Megan, a Nessa kiwa głową, mimo że nie zgadza się z przyjaciółką. Pierwszorocznicy lada moment odbiorą najważniejszą lekcję szkoły przetrwania. Za kilka godzin każdy z nich obudzi się nagi i sam w lesie. To doświadczenie przerazi ich, nazaczy na zawsze. Jest ważne, ponieważ kiedy przydarzy im się to ponownie, będzie to znaczyło, że zostali Wezwani przez Sídhe.



Wspinaczka

Zajęcia z historii to szansa na drzemkę, przerwana, gdy zupełnie niespodziewanie Indyczka pyta Antoinette:

– Jak myślisz, po co tu jesteś?

– Kto? Ja? – Antoinette wyskakuje z krzesła jak z procy. Pośpiesznie zakrywa bohaterski męski tors, który wyskrobała na swojej ławce. To nie jest rodzaj dzieł docenianych przez panią Breen jako dyrektorkę szkoły.

– Eee, dlaczego tu jestem, proszę pani? Hmm... bo Sídhé chcą mnie zabić?

– Och, oni chcą zrobić ci o wiele więcej, niż tylko zabić, dziecko. Chcą cię przekreślić. Zgnieść jak kartkę papieru. Jestem tu, żeby pomóc ci przeżyć, a ty mnie w ogóle nie słuchasz!

Zwykle dyrektorka nie prowadzi zajęć, ale Chapman ma jeden ze swoich „dni” i nie dojdzie do siebie, dopóki nie wyczerpie się jej ukryty zapas alkoholu. Breen przygotowała już dla niej wypowiedzenie. Na liście jest też kilkoro innych nauczycieli.

Ale pani Breen tak łatwo się nie poddaje.

Sama pochodzi ze szczęśliwego pokolenia, które przeszło przez wiek młodości, zanim nastolatki zaczęły pojawiać się ze straszliwymi, nieprawdopodobnymi okaleczeniami. Pamięta samoloty opuszczające irlandzką przestrzeń powietrzną tylko po to, by zaraz spaść z nieba bez żywego ducha na pokładzie. Pamięta, jak czytała o ostatnim promie, który wypłynął z Dublina, i o tym, jak kompletnie pusty, nie licząc szczurów i samotnych zwierzątek domowych, został wyrzucony na brzeg koło Wicklow. I miała młodszą siostrę, w wieku Antoinette, której ciała nie pozwolono zobaczyć rodzinie po tym, jak Sídhé ją wezwali.

Pani Breen ma ochotę krzyczeć na uczniów, ale jaki w tym sens?

– Po prostu się zagapiłam – mówi Antoinette. – Nie rozumiem, co ten człowiek, ten... Czyn... Czyn...

– Czyngis-chan.

– Tak. Nie rozumiem, co ma z nami wspólnego.

Pani Breen szeroko się uśmiecha. Podnosi portret Czyngis-chana.

- Antoinette, chciałabym przedstawić twojego przodka.
- On? W ogóle nie jest do mnie podobny! Mój ojciec jest Nigeryjczykiem!

A mama...

– Doskonale wiem, kim jest twoja matka, dziecko! *Cudowną kobietą, choć nie tak pełną wdzięku jak jej córka.* Ale masz rację. Żaden uczeń Piątego Roku nie jest do niego podobny. Jest jednak przodkiem nas wszystkich. Każdego z nas. Wiem, że w to nie wierzycie i nie rozumiecie, co ma on wspólnego z Sídhé, ale ja wam to wytłumaczę. Zacznijmy od tego, że miał wiele kochanek.

– Jak ja! – wykrzykuje Conor, a ponieważ zajmuje wysoką pozycję w klasie, wszyscy posłusznie się śmieją. Uśmiecha się nawet pani Breen.

Ale Nessa zamiera, ponieważ Anto, niepoprawny żartowniś, nie może się oprzeć, by nie poigrać z ogniem.

– O, nie, wcale nie jak ty, Conor – mówi. – Wątpię, by one dorównywały ci pięknnością.

Teraz klasa śmieje się naprawdę. Dołącza do nich nawet Conor, wyraźnie w dobrym humorze.

Ale po lekcji z wściekłością atakuje Anto na korytarzu.

Dzieci zostały wyszkolone do walki, a nawet do okaleczania, przez byłych agentów sił specjalnych z prawie całego świata. A Conor przyswoił umiejętności lepiej niż inni. Ale Anto jest w tym dobry: na tyle szybki, aby odparować pierwsze ciosy. Zanim jednak inni odciągają napastnika, zanim Nessa przepycha się naprzód, Conor podbija mu oko i łamie żebro.

Nessa czuje mdłości. Myśli tylko o tym, co będzie, jeśli właśnie teraz Anto zostanie Wezwany? W gorszym stanie? Co będzie, jeśli właśnie teraz wezwą go Sídhé?

Anto myśli chyba o tym samym, drży, a z zaciśniętych ust kapie mu krew. Z całych sił próbuje nie rozplakać się przy wszystkich. Nessa chce podejść i pomóc mu wstać. Chce go przytulić i to jest słuszne; to jedyna ludzka rzecz, jaką należy zrobić.

Szybko dusi w sobie tę potrzebę. To jego wina. Jego cholerna wina – właściwie sam się o to prosił. Nessa jest tutaj po to, by przeżyć. Nie dba o nikogo, a twarz ma pozbawioną wyrazu, jak posąg świętego.

Anto musi widzieć ją w tłumie, kiedy koledzy pomagają mu wstać, ale też zna zasady i tylko przemyka po niej wzrokiem. Odchodzi, kulejąc jak zbity pies.

Nikt z nim nie rozmawia. Nikt za nim nie idzie. Faktycznie wielu podśmiewa się z niego.

Tymczasem Conor opędza się od własnego gangu jak od much.

– Im szybciej nauczy się szacunku, tym więcej krwi zachowa.

– Nie martw się. – Megan szepcze Nessie na ucho. – Ten parszywy gnojek spędzi za to wiele dni w Klatce.

Ale tylko jeśli instruktor przyłapie go na gorącym uczynku. Ponieważ lepiej być ofiarą znęcania niż donosicielem.

Tej nocy Nessa znowu robi tę głupią rzecz, chociaż przysięgła, że to się więcej nie powtórzy. Postanowienie narastało w niej od chwili, gdy chłopak z Omagh został Wezwany w autobusie, a wydarzenia tego dnia sprawiły, że presja stała się nie do zniesienia.

Kiedy wszystkie dziewczyny szybko zasypiają z wyczerpania, Nessa wyslizguje się w piżamie spod kołdry i wkłada kartkę do kieszeni na piersi.

– Dokąd się wybierasz? – szepcze Megan. Jakiś niezmierny instynkt sprawia, że zawsze wie, kiedy Nessa robi coś złego.

– Do łazienki?

– Nigdy nie chodzisz w nocy do łazienki.

– Chodzę. Tylko ty wtedy śpisz.

– Nie, nie śpię, ty brudna dziwko. Ostrzegałam cię ostatnio, prawda?

– Śpij już.

– Myślisz, że będę w stanie teraz tak sobie zasnąć?

Megan jednak wzdycha i kładzie się z powrotem.

Zgodnie z obietnicą Nessa idzie do łazienki, która znajduje się w małym aneksie na końcu sypialni. Po drodze spotyka Piskliwą Emmę. Dziewczyna sięga Nessie tylko do ramienia, ale jest najszybszą biegaczką na roku.

– Yyy... eee... Musisz chwilę zaczekać, Nesso. I otwórz okno. Przepraszam.

– Jasne – odpowiada Nessa.

Zapach wcale nie jest taki straszny, ale Nessa i tak otwiera okno. Potem zdejmuje szlafrok i wyłazi na zewnątrz w cienkiej piżamie. Jest na wysokości trzeciego piętra. Spękany kamienny chodnik tylko czeka, aż ktoś na niego spadnie. Nessa jest tego bliska, kiedy zaczepia nogą o parapet. Ale potem większość pracy wykonują jej silne ręce.

Tandetna konstrukcja budynków internatu zapewnia Nessie wiele punktów oparcia. Pomaga jej też bluszcz, który przez kilka pokoleń miał szansę bardzo się wzmocnić. Dziewczyna posuwa się bokiem, przepełnia ją bezgraniczna radość. Nie tak zachowuje się ten, kto ma przeżyć. Działa wbrew wszystkim swoim przekonaniom, wbrew temu, co powinna robić. Ale nie zetrze to uśmiechu z jej twarzy.

Jest już przy oknie korytarza. Ze środka dobiega skomlenie i Nessa dostrzega błąkające się psy. Mają wypatrywać nieistniejących szpiegów Sídhé. Uczniowie mają jednak teorię, że władze szkoły chcą w ten sposób utrzymać chłopców i dziewczyny osobno. Żadna dziewczyna w ciąży nigdy nie przeżyła Wezwania. Ani razu przez dwadzieścia pięć lat. *W takim razie dlaczego nie umieścili nas*

w oddzielnych szkołach?

Zwierzęta warczą i Nessa dochodzi do przerażającego wniosku: *wiedzą, że tu jestem!* Panikuje, wycofuje się i czeka, aż odgłosy umilkną, a potem udaje jej się dotrzeć do okna męskiej łazienki.

Jest wykończona, jej oddech brzmi niczym głośny zwierzęcy pomruk.

Teraz istnieje największe prawdopodobieństwo, że zostanie złapana. A potem spędzi cały dzień w Klatce bez jedzenia i na rozmyślaniu, jak bardzo słabnie, a przecież w każdej chwili może zostać Wezwana.

Ale uspokaja oddech i otwiera okno. Kilka minut później Nessa znajduje się w sypialni chłopców. Stoi tam wśród ich pochrapywań. Gdyby ktoś ją tutaj przyłapał, skończyłoby się gorzej niż Klatką: oznaczałoby to całkowitą hańbę i tak wielkie pośmiewisko, że modliłaby się o to, żeby Sídhé ją przed nim ocalili! Mięśnie jej drżą, a nogi odmawiają współpracy, kiedy próbuje się cicho przemieszczać. Liczy łóżka: pierwsze... drugie... i trzecie.

Ten cień to Anto, który musi o niej zapomnieć, jeśli oboje mają zachować szansę na przeżycie. Jej nozdrza wychwytyują zapach lekarstw, którymi potraktowali jego obrażenia. Słyszy jego cichy oddech i widzi zarys ciała pod kołdrą. Gdy pot zaczyna stygnąć jej na skórze, zauważa, jak musi być tu gorąco. Ale wsuwa mu tylko kartkę pod poduszkę.

Wspinaczka z powrotem jest o wiele trudniejsza.

– Jesteś głupia – powiedziała jej Megan po poprzednim razie.

– Gdybym była chłopcem, powiedziałaabyś, że to romantyczne. Jak Romeo na balkonie!

Megan przewraca oczami.

– Nic takiego bym nie powiedziała! To był najgłupszy film, jaki widziałam. Gdyby chociaż był po angielsku. Nie wiem nawet, po jakiemu tam mówili.

Nessa puszcza uchwyt i kwili jak dziecko, ale utrzymuje się na drugiej ręce kosztem startego kolana. Kiedy dociera do okna, za którym znajdują się psy, nie dostrzega nic dziwnego: pięć zwierząt leży obok siebie. Wszystkie wyglądają, jakby spały, poza tym... poza tym, że mają otwarte oczy. Czy to normalne? Jest zbyt zmęczona, aby się nad tym teraz zastanawiać.

Po powrocie do łazienki dziewcząt najpierw leży na podłodze przez dziesięć minut. Linoleum jest dla niej jak dywan. Wyobraża sobie twarz Anto rano, kiedy znajdzie jej wiadomość:

*I minął długi czas, odkąd zasnąłem
Czekając na smak jej pocałunków*

Nie zrozumie z niej ani słowa, ponieważ napisała ją po irlandzku. Ale jeśli zdoła ją odczytać w kraju, który od dwudziestu pięciu lat nie ma dostępu do

internetu, dowie się, że słowa te pochodzą z wiersza autorstwa od dawna nieżyjącej dziewczyny, pod tytułem: *Młodzieniec o zaplecionych włosach*. I może przypomni mu to, że niegdyś sam nosił warkocz.

Nic więcej nie może mu dać. Ani sobie. Rozproszenie grozi ponownym mimowolnym uśmiechem na jego widok. Ale czas z powrotem zapieczętować się w butelce. Przecież w pewnym momencie obsunęła jej się ręka! Prawie spadła! To musi być ostatni raz. To był pierwszy i ostatni raz. Drugi ostatni raz.

Po powrocie do sypialni patrzy na zarysy sylwetek jej koleżanek. Jedna z nich się porusza. Jakby siadała. Łóżko nagle robi się płaskie i Antoinette, wielkoduszna, kochana, niemądra Antoinette znika.



Antoinette

Antoinette śni o domu. Jej ojciec był jednym z pierwszych, którzy przetrwali Wezwanie, ale od tamtej pory coś zżera go od środka i kiedy skończył czterdzieści lat, lekarze powiedzieli mu, że jest na dobrej drodze do zawału. To jeden z powodów, dla których mama, również ocalała, już z nim nie mieszka. Wyprowadziła się do innej kobiety, ale zawsze powtarza: „Nie jestem lesbijką. Ja po prostu zakochałam się w Gillian. Twojego ojca też kocham, słonko, ale on chce umrzeć, a ja chcę żyć. I chcę, żebyś ty też żyła. Najbardziej ze wszystkiego pragnę, żebyś żyła!”.

Rozmawiały o tym wiele razy i Antoinette zawsze na koniec obiecuje, że przestanie palić i będzie intensywniej trenować. Przede wszystkim musi uczyć się sídhe – to przecież jej mama, słynna Michelle McManus, podsłuchiwała przemówienie wroga i zapamiętała z niego tak wiele, że po jej powrocie uczeni byli w stanie ustalić jego przesłanie...

Przez sekundę Antoinette myśli, że nadal śni. Otwiera oczy i widzi, że całe niebo wypełniają wirujące słabe światelka. Srebrne spirale ospale krążą po niebie, jaśniejsze od gwiazd, ale bledsze niż księżyc. W nozdrza uderza ją nagle palący smród, coś jakby wybielacz.

Dostała ostrzeżenie pierwszego wieczoru w szkole przetrwania, kiedy obudzili się nadzy i samotni w środku lasu. Jak zawsze powtarzał pan Hickey na zajęciach z teorii polowania: nawet w snach zachowujcie się, jakby zależało od tego wasze życie, ponieważ pewnego dnia tak właśnie będzie.

Unosi się na kolanach. W głowie jej dzwoni. *Nie jestem gotowa. Nie jestem gotowa. Och, Boże, proszę...*

Leży w niewielkim zagłębieniu. Wokół ściele się dywan, prawdopodobnie z ostrotrawy. Rozcina skórę każdemu, kto spróbuje po niej iść. Ale leży wśród niej mnóstwo kamieni, a kilkanaście kroków od Antoinette trawa kończy się i zaczyna wysoki do kostek las bonsai, którego drzewka nie zrobią jej krzywdy.

Wracają lata treningów.

A potem chłodne powietrze przecina przeraźliwe wycie, dźwięk tak przenikliwy, tak bolesny, że cierpną jej zęby. Psy. Nadciągają psy, a pierwszą nauką, jaką Antoinette odebrała na samym początku szkoły było: „uciekaj szybko”!

Stoi naga, pokryta gęsią skórką. Przeskakuje z kamienia na kamień, nie czuje

nic przez twarde podeszwy stóp, potyka się dopiero wtedy, gdy ponownie słyszy wycie psów. Ale wtedy jest już w lesie bonsai i wspina się na szczyt pierwszego niewielkiego wzgórza, spluwając co chwila z powodu gorzkiego smaku powietrza.

Srebrzysty pejzaż rozwija się przed nią jak mapa. Baśniowa kraina w całej okazałości: w oddali jeziora plują i bulgocą czerwienią, jedynym obecnym tutaj kolorem, lasy wydają straszliwe owoce; tornada wyglądają jak wielkie palce grzebiące w ziemi; powietrze przecinają błyskawice; pada płonący deszcz i pleni się mordercza flora wszelkiego rodzaju.

I podobnie jak milion nastolatków przed nią, Antoinette myśli: *wygnaliśmy ich tutaj. Nic dziwnego, że nas nienawidzą.*

Nieważne, że nastąpiło to tysiące lat przed narodzinami Antoinette. Dla Sídhé wciąż pozostawało bardzo prawdziwe.

Jest i pies.

Znowu wyje, a ten dźwięk sprawia, że włoski na karku jej się jeżą. Czy jest bliżej? Ściga ją? Kolejny zew rozlega się z oddali, gdzieś po lewej stronie.

Antoinette biegnie, zsuwa się i ześlizguje w dół zbocza. Każde zaczerpnięcie kwaśnego powietrza rani jej płuca. Nie zwraca na to uwagi. Jeśli uda jej się uciekać przed nimi przez cały dzień, albo coś koło tego, wróci żywa do domu i nigdy więcej nie zobaczy tego okropnego miejsca. Została wyszkolona do długiego biegu na trudnym terenie. Wpada w poślizg, przewraca się, robi zręczny przewrót i znów jest na nogach. To prawie jak zabawa!

Gdy znajduje się w połowie drogi w dół, ciemne drobinki popiołu opadają z nieba, przesłaniają widok, ale też dają nadzieję na zmylenie pościgu. Do linii gruzłowatych szarych drzew brakuje dziesięć kroków, kiedy nagle coś przelatuje jej koło ucha i głucho uderza w pień. Całe drzewo aż drży i Antoinette widzi, że w korze utkwiała strzała. Z powstałej szczeliny wypływa czarny płyn.

Na szczycie wzgórza, z którego właśnie zbiegła, stoi kobieta Sídhé z łukiem, na wpół skryta w opadającym popiele. Nie ma wątpliwości, że to młoda i piękna kobieta – nikt nigdy nie widział Sídhé w starszym wieku. Nie ma też wątpliwości, jakie ma zamiary, ponieważ już nakłada na cięciwę kolejną strzałę.

Antoinette robi unik.

Ułamek sekundy wcześniej widzi kogoś jeszcze, ale się nie zatrzymuje. Oddycha chrapliwie. *Po co... po co palłam? Po co? Po co? Po co?*

Mimo tego, co mówili rodzice, mimo czterech Wezwań, które odbyły się na jej oczach, nigdy tak do końca nie wierzyła, że pewnego dnia ją czeka to samo. Nie ją. Nie Antoinette.

Panika sprawia, że biegnie za szybko i teraz nogi trzęsą jej się ze zmęczenia. A może znajdzie jakąś kryjówkę? Niektórym ocalałym się to udało. Zejdzie ścigającym z drogi, zaczeka, aż ich czas dobiegnie końca. Ale to można zrobić dopiero wtedy, kiedy zgubi się psy.

Ma szczęście, drogę przecina jej strumień. Wchodzi do wody i idzie korytem, zatrzymuje się na moment, nabiera odrobinę wody i pije. Tutejsza woda jest nieszkodliwa w małych ilościach. Zamieszkują ją paskudne pasożyty, ale nie będzie tu przebywać na tyle długo, żeby wyrządziły jej większą krzywdę, a nic, co nie jest częścią jej ciała, nie wróci wraz z nią.

Ostatecznie to nie pasożyty zmuszają ją do wyjścia z wody, lecz „ryby” o niepokojąco znajomym kształcie. Gromadzą się całą... „bandą” przy jednym brzegu i płyną szybko, poruszając drobnymi płetwami, aby dotrzymać jej kroku. Wygląda na to, że zbierają całą swoją odwagę do czegoś, może do ataku. Dlatego gramoli się na suchy ląd, w samą porę, by ponownie usłyszeć wycie psów, wycie na tyle głośne, że podskakuje z mimowolnym okrzykiem przerażenia. *Są tak blisko! Jak to się stało! O Boże! O Cromie, Dagdo i Lughu!*

Ale nie mogą jej zwęszyć. Nie wiedzą, gdzie jest, a tuż za nią leży mały stos kamieni otoczony przez rośliny, które, jak sądzi, są raczej niegroźne. Nie ma czasu się upewnić i wślizguje się w krzaki.

Drzewa pajęczce – uświadamia sobie. Wczepiają się w nią, ale to młode okazy, więc powinna się z nich łatwo wyplątać. Teraz najważniejsze to kontrolować oddech...

Pojawia się pierwszy „pies”. Na ten widok dziewczyna ma ochotę krzyczeć albo wybuchnąć płaczem.

To stworzenie było niegdyś ludzką kobietą. Teraz skrada się na czworakach. Tylne nogi zgina pod niewłaściwym kątem. Ma potężne szczęki, pełne olbrzymich zębisk, które nie pasują do siebie, dlatego paszcza nigdy nie domyka się całkowicie, a po podbródku nieustająco ścieka ślina. Przednie łapy nadal wyglądają jak ludzkie. Również ludzkie piersi zwisają tak nisko, że zahaczają o kamienie i krzaki. Antoinette czuje ból na sam ten widok i żałuje, że nie może w żaden sposób pomóc stworzeniu.

Postać dyszy i skamle cichutko pod nosem.

– Złap – mówi niewyraźnie. – Złap, a pan mnie pokocha. Złap. Złap.

Pobliskie drzewo pajęczce chwyta ją, a potwór wpada w dziki szał, dopóki nie udaje mu się oswobodzić łapy. Potem przechodzi i idzie dalej, a Antoinette musi zdusić w sobie uczucie litości i niesmaku. Nie ma odwagi się poruszyć i wkrótce mijają ją dwa kolejne psy, tym razem samce, ze spletanymi brodami i wywieszonymi jęzorami.

Coś kłuje ją w nogę. A potem znowu! Tym razem mocniej i tylko dzięki sile woli tłumi okrzyk. Wokół jej stopy kręcą się maleńkie ludziki. Podobnie jak psy, poruszają się na czworakach, ale potem podnoszą się i dźgają ją maleńkimi włóczniami. Wydają dźwięki zbyt wysokie, aby mogła je usłyszeć, ale są zorganizowane i najwyraźniej wydaje im się, że już ją dopadły.

Potrząsa wolną ręką i odtrąca je, najdelikatniej, jak potrafi, ale to głupie,

ponieważ wokół zadanych przez nie ranek drętwieje jej skóra. *Trucizna! Użyły trucizny!*

Odpycha maluchy, tym razem gwałtowniej, i czuje, że drzewo trzyma ją w uścisku, podczas gdy ludziki, grupami po kilkanaście, przystępują do ataku. Nie ma więc wyboru; zrywa się na równe nogi i uwalnia z gąszczu. Na chwiejnych nogach wychodzi z kryjówki i z odrażającym plaśnięciem rozdeptuje coś albo kogoś.

A na ścieżce, niecałe piętnaście metrów od niej, szczerzy się w uśmiechu banda Sídhé.

Wykorzystuje moment zaskoczenia i zbiega ze ścieżki w las. Ale oni zaraz rzucają się w pościg, wrzeszcząc do siebie z radosnym zachwytem. Nigdy, nigdy w ciągu całego swego życia Antoinette nie słyszała tyle niewinnej uciechy w głosie.

Biegnie zupełnie bezmyślnie przed siebie, szybciej niż kiedykolwiek wcześniej. Za jej plecami rozbrzmiewa dźwięk rogu i nagle, z prawej strony, wyłania się najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego w życiu widziała. Ma lśniącą skórę, wielkie oczy i włócznię, którą mierzy jej prosto w serce.

Uskakuje. Robi idealny unik – Nabil byłby z niej dumny – i wytrąca mu broń z ręki. Nie daj im się dotknąć! Nigdy nie pozwól im się dotknąć! Ale chociaż pamięta te ostrzeżenia, jej ciało działa odruchowo i pcha ostrze prosto w brzuch obcego. Śmiertelny cios. Zabiła kogoś. Sídhé, ale jednak osobę.

Mężczyzna wydaje okrzyk radości.

– Ooo, niezła zagrywka, złodziejko!

Krwawi i osuwa się plecami na drzewo.

– Zdziorna! Prawie ją dopadłem! – Jego twarz staje się coraz bledsza.

Mrok się zagęszcza i Antoinette znowu ucieka. Już prawie dotarła do końca lasu, ale ponownie słyszy psy.

Za ostatnimi drzewami rozpościera się widok, który prawie ją zabija. Krajobraz przypomina pole kapusty, ale to nie kapuściane, lecz ludzkie głowy. Setki, setki ludzkich głów w regularnych rzędach. Nie widać ciał, ale tu i ówdzie wystają ręce.

Mężczyzna znajdujący się pod jej stopami zwraca ku niej spojrzenie.

– Pomóż mi... – chrypi po angielsku. – Pomóż.

Wszyscy inni go słyszą i zrywa się cały chór rozpaczliwych błagań, tak donośny, że zagłusza wycie psów. Ale Sídhé są już blisko, a Antoinette nic nie może dla tych ludzi zrobić.

Walczy o życie i traci bezcenny czas, żeby nie nadeptywać na głowy i nie zrobić tym nieszczęśnikom krzywdy. Sídhé nie mają skrupułów i Antoinette krzyczy z bólu, gdy pierwsza strzała trafia ją w ramię, a głosy grzmia:

– Uważajcie, nie wolno zabić złodziejki! Mamy jeszcze wiele godzin, żeby

się nią nacieszyć!

Kończyny Antoinette już długo nie wytrzymają. Wie o tym, ale nie może się zatrzymać. Szuka kryjówki, która da jej schronienie albo umożliwi podjęcie walki. Zabiła już jednego Sídhę, może zabić innych, jeśli tylko psy zostawią ją w spokoju. W oddali wiruje tornado, wygląda, jakby miało się skierować w jej stronę. Zdarzało się, że tego typu zjawiska pomagały ocalałym. Dziewczyna gwałtownie skręca w jego kierunku, zdając sobie sprawę z tego, że tornado może ją rozerwać na strzępy. Ale zaryzykuje. Czuje, że postąpiła słusznie, kiedy słyszy za sobą krzyki Sídhę:

– Nie, złodziejk! Tam nie! Nie biegnij tam!

Chwilę później wbiega na odkryty pas błota.

Z gardeł myśliwych dobywa się przeraźliwe, rozpaczliwe wycie. Ten dźwięk daje jej siłę, by przeć naprzód, ale Antoinette zapada się w bagno, które najpierw sięga jej do kolan, a potem do bioder.

Sídhę otaczają ją szerokim kołem, przeskakują z nogi na nogę w idealnie skrojonych skórzanych ubraniach, w złotych łańcuchach i z rzeźbionymi łukami w rękach. Jeden z nich rzuca linę, aby pomóc jej wydostać się z pułapki.

– Łap, złodziejk – zachęca ją. – Chcemy się tylko tobą pobawić. Nie zrobimy ci dużej krzywdy, obiecujemy.

Nie kłamie. Świadczenia potwierdzają, że potwory zawsze dotrzymują obietnicy i kiedy chłodne błoto sięga Antoinette do pępka, jest tak przerażona, że kusi ją, by sięgnąć po linę. Ale wtedy wyobraża sobie rodziców nad jej powykreczanymi zwłokami i odpiera pokusę.

Kiedy błoto sięga jej do ust, zaczyna się łamać, ale wtedy Sídhę już nie mają szans.



Groźby

Trzy dni po tym, jak dzwony zabrzmiały dla Antoinette, wychodzą na przerwę po zajęciach z pierwszej pomocy. W drzwiach pojawia się Piskliwa Emma.

– Nawet na nią nie spojrzałam! – mówi, a Aoife jej wtóruje. – Nie powiedziałam tego. Powiedziałam...

Ich kłótnię zagłusza śmiech. Anto zabawia Shawniego, Aidana i Ciamajdę historyjką o swoim psie, który pije tylko z niemowlęcej butelki i jeszcze do tego każe się wtedy trzymać na rękach. Nessa udaje, że nie słucha; uważa, że chłopak mocno koloryzuje. Podobnie jak wtedy, gdy opowiadał, że starsza o cztery lata siostra w akcie zemsty nasikała bratu w pokoju. Albo kiedy mówił o staruszce, która włącza sobie przesycone erotyką teledyski hiphopowe z lat swojej młodości.

– Nesso? – Udaje jej się zapanować nad sobą i nie podskoczyć.

W drzwiach zaplecza sali Piątego Roku stoi pan Hickey. Ich zaplecze, gdzie spędzają przerwy, jest dwa razy większe od zaplecza Szóstego Roku i mają tu stare, ale działające radio, więc Hickey musi krzyczeć:

– Jesteś proszona do gabinetu pani Breen.

Zastanawia się, czy chodzi o jakiś problem w domu – mama nigdy nie cieszyła się dobrym zdrowiem – i pewnie wszyscy myślą o tym samym, ponieważ Megan w przelocie ściska jej rękę, a Conor śle krzepiący uśmiech z kąta, który zaanektowała jego banda.

Nessa idzie korytarzem i puka do drzwi.

– Proszę. – Pani Breen podnosi głowę. – Tęsknisz za nią, prawda? Za Antoinette?

Gdyby Nessa miała wymienić wszystkie rzeczy, których nie spodziewała się usłyszeć, ta byłaby wśród nich. Instynkt podpowiada jej, żeby zaprzeczyć, ale jak może wyprzeć się Antoinette? Właśnie jej? Zamurowało ją.

Pani Breen wzdycha.

– Ale nie po to cię tu poprosiłam. Chodzi o to, że byłaś jednym ze świadków Wezwania. Nie spałaś i miałaś na sobie szlafrok. Dlaczego?

– Szłam z łazienki, proszę pani.

– Z łazienki?

– A co innego mogłabym robić?

Pani Breen kiwa z uznaniem, słysząc perfekcyjny pod względem gramatyki sídhe Nessy, ale to za mało, żeby odwrócić jej uwagę.

– Chodzi o to, panno Doherty, że widziano kogoś wspinającego się po budynku i wchodzącego przez okno tej samej łazienki. Ten ktoś musiał wyjść z sypialni chłopców.

– Po budynku? Ktoś był na zewnątrz budynku, proszę pani?

– Bez wygłupów, dziecko. To ty?

– Ja przestrzegam zasad. Wie pani o tym.

I pani Breen rzeczywiście to wie. Oczywiście, że wie. Dziewczynka o najmniejszych szansach na przetrwanie Wezwania jako pierwsza ogoliła głowę; najbardziej uważa na wszystkich przedmiotach; jest najbardziej opanowana ze wszystkich i tłumi wszelkie uczucia. Zachowanie Nessy jest nienaganne. Nigdy nie spędziła nocy w Klatce. Ale pora jej wizyty w łazience się zgadza.

– Nie wiedziałaś o psach, prawda?

I znów zero reakcji.

– Ponieważ tej samej nocy, kiedy Antoinette została Wezwana, ktoś je otrul. Wreszcie jakieś uczucie. Przerażenie.

– Tak, rzeczywiście, pani Doherty. Tylko jeden z nich zdechł, ale innych nie dało się dobudzić przez cały dzień.

Nessa stara się z całych sił panować nad sobą. Myśli o tym, że psy zachowywały się dziwnie spokojnie, kiedy wracała ze swojej wyprawy. Jest świadkiem zbrodni dokonanej na bezbronnych, niewinnych stworzeniach, nie ma co do tego wątpliwości. Może jej zeznanie pomogłoby dopaść winnego, ale instynkt ponownie każe jej trzymać język za zębami. W końcu pani Breen ją odsyła. Żadna z nich nie wie, że dokładnie w tym momencie jeden z dwóch pozostałych chłopców z Siódmego Roku został Wezwany. Nikogo przy nim nie ma, więc okaże się to dopiero za kilka godzin.

Kiedy Nessa wychodzi z gabinetu, mija się z Piskliwą Emmą.

– Indyczka mnie też wezwiała. – Drobną dziewczyną przewraca oczami. – Nie zdążę teraz do klopa, no doprawdy!

Nessa kiwa głową. Zastanawia się, czy chłopcy też zostaną przesłuchani. Czy Anto wyrazi zdziwienie z powodu tajemniczej karteczki z irlandzkim napisem, która znalazła się pod jego poduszką? W sumie, ile osób tutaj zna irlandzki? I ile z nich mieszka w sypialni dziewcząt? Tak się składa, że dwie. A tylko jedna z nich ma tomik poezji.

Ale Anto musi zachować to dla siebie. Nessa ciągle przyłapuje go na tym, że obserwuje ją przy kolacji, ale ona tylko przemyka po nim wzrokiem – ot, chłopak, jeden z wielu.

Teraz już wszyscy mówią o psach i snują, jak zawsze, przypuszczenia o szpiegach Sídhe i innych bzdurach. Nikt nie zwraca uwagi, że stół

Siódmorocznych jest pusty – treningi z zaskoczenia nie są tu niczym nadzwyczajnym.

Nadzwyczajne jest jednak to, że Conor dosiada się do stołu dziewcząt. Zajmuje miejsce Antoinette, obok Nessa. Nessa czuje ciepło jego ciała, napierającego na nią z lewej. Jest na tyle szeroki w barkach, że to samo musi odczuwać Aoife po drugiej stronie. Conor ostentacyjnie odwraca wielką, kwadratową głowę w stronę stołu chłopców i podnosi kciuk w górę. Z końca sali dostrzega go kilku nauczycieli, którzy zmrużonymi oczami obserwują rozwój sytuacji, wietrząc kłopoty.

Conor odwraca się teraz i uśmiecha do Megan.

– Znowu wycierałaś sobie mną gębę, ty ruda wieśniaro. – Chociaż sam jest tylko z Tipperary! – Dlatego uczciwie cię ostrzegam, że nie marnuję forsę z byle powodu. Rozumiesz?

– Nie. – odpowiada Megan znad kromki chleba. – Wcale nie wycierałam sobie tobą gęby. Zastanawiałam się tylko na głos, czy to ty otrułeś psy, żeby obok nich przejść.

Skupia się na swoim talerzu i tłumi ziewnięcie.

Pod stołem, gdzie nikt nie widzi, Nessa ściska przyjaciółkę za nadgarstek. *Proszę, Megan – myśli. Proszę, ten jeden raz, nie igraj z ogniem!*

Conor sztywnieje, ale czując wzrok nauczycieli na plecach, szybko się uspokaja.

– W najmniej spodziewanym momencie, Megan – mówi – znajdziesz ślady żyletki na swojej rumianej gębie.

– Straszna groźba ze strony parszywego owcojebcy, choć amatora.

Megan uśmiecha się szeroko, pomimo że Nessa ściska ją coraz mocniej za rękę, dając do zrozumienia, żeby się zamknęła.

– Amatora?

– A jak myślisz, kto był wtedy w nocy w sypialni chłopaków? Kto stał nad twoim łóżkiem, kiedy ty śniłeś o słodkich szczeniaczkach? To jest prawdziwa groźba, śmierdzący gnoju: zawsze się przechwalasz, że nie możesz się doczekać Wezwania, myślisz, że jesteś nie wiadomo jak dobry... Następnym razem, gdy stanę nad twoim łóżkiem, nie zawaham się. Przetnę ci nożem ścięgna. Zobaczymy, jak szybko będziesz wtedy uciekał.

Cała krew odpływa mu z twarzy. Po chwili się opanowuje.

– Zawsze wygrywam. Obiecuję ci coś i dotrzymam obietnicy, tak jak Sídhé dotrzymują swoich. Obiecuję ci, że...

Przerywa, bo wielka ręka łąduje na jego ramieniu. Nabil.

– Przegrałeś, przyjacielu – mówi Francuz.

Chłopak wymusza uśmiech i wraca do swojego stołu. Nessa słyszy, jak mówi:

– Nauczyciele nie chcą, żebym podrywał dziewczyny... znowu! Nie przy pełnym stole! Nie przy kolacji!

Rozlega się gromki śmiech i przed deserem jego dowcip obiega już cały refektarz. Potem słychać dzwonek i wtedy dowiadują się, że chłopak z Siódmego Roku został Wezwany.



Frankenstein

W następnym tygodniu Wezwanie dopadło dwóch uczniów z Szóstego Roku, w obu przypadkach z fatalnym skutkiem. Trzech chłopców po kolei, więc przesądne dziewczyny nie mogą spokojnie spać.

Ale Nessa zawsze śpi. Nauczyła się tego, potrafi odciąć się od strachu i fantazji, jakby wyłączała światło. Wchodzi więc do sali gimnastycznej bardziej wyspana od reszty koleżanek.

Nie truchleje ze strachu, kiedy słyszy, że dziś będą ćwiczyć walkę wręcz. Pokonuje ją zwykle każdy o lepszym poczuciu równowagi, oprócz tych, którzy upadają, gdy tylko dotknie ich ręką, myśląc, że w ten sposób robią jej przysługę. To ostatnia rzecz, jakiej Nessa potrzebuje, i na samą myśl o tym zgrzyta zębami.

Ale może być gorzej. Rzeczywiście, dziś ma dużo gorzej, ponieważ po solidnej rozgrzewce okazuje się, że Nessa trafiła do pary z Rodney'em McNairem.

To chłopak ze złocistymi włosami, średniego wzrostu i o sylwetce Bruce'a Lee w szczytowej formie. Czasem trzyma się z Conorem i pewnie trzymałby się z nim bardziej, gdyby tamten się tak bardzo nie popisywał. Z Rodney'em nie pójdzie łatwo. To ten typ, który będzie przeciągał walkę i bawił się w matadora, ku uciesze obserwujących go uczniów.

Nessa wiąże swoje nadzieje na przetrwanie z umiejętnościami innymi niż walka. Ale jest zmęczona przegrywaniem pojedynków jeden na jeden z bukami w rodzaju Rodney'a; z okrutnym Conorem czy pobłażliwymi znajomymi. Dlatego kiedy jej przeciwnik jeszcze szczerzy się do innych chłopaków, na otrzeźwienie funduje mu cios w twarz, prosto w zęby. Rodney jeszcze chwieje się na piętach, w całkowicie niewłaściwej pozycji, kiedy Nessa uderza go z byka. Czołem w czoło, boli ją to tak samo jak jego, z tym wyjątkiem, że ona wie, co się dzieje, i jest już gotowa na następny ruch, aby odwrócić uwagę od bólu.

Sekundę później Rodney leży na macie i nie wie, co zrobić: czy trzymać się za krocze, czy za twarz. Nessa ma ręce luźno opuszczone przy bokach, jakby zderzenie głowami to był mały pikuś. Modli się, aby nikt nie zauważył, że się chwieje.

Sierzant Taaft znajduje się przy nich w jednej chwili.

– Jak mogłeś? – krzyczy, potrząsając Rodney'em. – Jak mogłeś to zawalić? Na litość Pete'a, możesz ją przewrócić jednym palcem!

– Ja... patrzyłem w drugą stronę... Ona... oszukiwała, ona...
– Skoro dajesz się pobić komuś takiemu jak ona, jakim cudem oczekujesz, że...

– Sarah!

To Nabil, idzie w ich stronę.

– Sierzancie Taaft!

Sierzant rusza za nim niechętnie w kąt sali.

Nessa czuje, że pali ją twarz, ponieważ lubi wielkiego Francuza i wie, co teraz musi mówić. „Nie mów tak w obecności kaleki...” – chociaż biorąc pod uwagę, że to Nabil, na pewno użyje grzeczniejszych słów.

Pod prysznicem robi jej się miło, kiedy Megan przybija jej piątkę. Ukryta pod strumieniem wody Nessa klepie ją w rękę i pozwala sobie na słaby uśmiech, przeznaczony tylko dla najbliższej przyjaciółki.

W drodze do klasy czuje się jeszcze szczęśliwsza. Pod drzwiami kłębi się tłum chłopaków, a Conor wścieka się na Rodney'a, swojego sojusznika, który prawie mu dorównuje. Jakby traktował to, że Rodney dał się powalić na matę, a na dodatek tak szybko, jako osobisty afront, jako afront wobec całego Piątego Roku.

– Jest silna – mówi Rodney szeptem. – Ma ręce jak kamienie. Nie macie pojęcia... I nie zaczęła na...

Reszta wypowiedzi umyka Nessie pośród hałasu odsuwanych krzeseł. Musi zająć swoje miejsce z tyłu sali albo zostanie przyłapaną na podsłuchiwanie.

W tym właśnie momencie wchodzi Frankenstein. Jest wysoki, przygarbiony i o wiele bliższy zombie niż tworowi Mary Shelley. Jednak o przewisku przesądził fakt, że sześćdziesiąt lat wcześniej rodzice ochrztili go jako Francisca Jamesa O'Leary'ego.

– Mówcie do mnie Frank – mawiał zwykle do Pierwszorocznych. – Żadne tam „proszę pana” albo „panie O'Leary”. Serio, Frank wystarczy.

Kiedyś dużo się śmiał i wyglądał jak człowiek-żyrafa.

Ale tak było, zanim zmarła mu żona. Zanim biurokraci odmówili jej prawa do leczenia, bo nie była już w wieku rozrodczym i nie pracowała na rzecz młodzieży ani dla żadnej ważnej służby, na przykład... w biurokracji. Tak naprawdę była artystką. „Krzyżyk na drogę”, powiedziało państwo.

Od tamtej pory minęło dopiero sześć miesięcy, a Frankenstein wrócił z pogrzebu całkowicie odmieniony. Załamany. Nessa myśli, że niedługo pójdzie w ślady żony. Klasę wypełnia odór alkoholu, a kiedy nauczyciel wychodzi z sali, zapach ciągnie się za nim korytarzem niczym zapowiedź śmierci.

Ale Frankenstein może liczyć na pewną dozę tolerancji. Zna każdą roślinę, która rośnie w Szaroziami, i potrafi opowiedzieć o każdym potworze, który kiedykolwiek pojawił się w relacjach ocalałych, tak zwanych „Świadectwach”. Opada na krzesło, ale Anto ma do niego pytanie.

– Proszę pana – zaczyna, a Nessie podoba się jego oficjalny stosunek do nauczycieli. Właśnie w tej chwili uświadamia sobie, że kolega nawet za ich plecami używa nazwisk, a nie przezwisk typu „Indyczka”, „Frankenstein” czy „Balas”.

– Mówił nam pan, że każde... hmm, zwierzę w Szaroziemii pochodzi od istot ludzkich. Ale, eee, skąd one się tam biorą? To znaczy, w Świadectwach wygląda to tak, że ich kraina jest tak samo pełna życia jak nasz świat.

Frankenstein powoli mruga oczami, ale w końcu mobilizuje się, żeby udzielić odpowiedzi; robi głęboki wydech, aż uczniowie w pierwszym rzędzie wzdragają się z obrzydzenia.

– Wiesz, skąd się biorą, chłopcze.

Głos ma odległy, jakby już mówił zza grobu.

– To są te tysiące osób, które zniknęły podczas próby opuszczenia Irlandii, gdy Sídhé uniemożliwili nam ucieczkę... Oraz inne, te, które przed wiekami znalazły drogę do ich świata.

Kilka razy kiwa głową, która w końcu zaczyna opadać mu na pierś. „Zrobiłem swoje” – zdaje się mówić.

Ale Anto nie ustępuje.

– Oczywiście, proszę pana... ale zniknęło jakieś sto tysięcy ludzi, czy coś koło tego. A wydaje się... że każda dziura w Szaroziemii jest zajęta, rozumie pan, co mam na myśli? Małeńkie ludziki zamiast myszy. Zamiast ptaków, lisów, ryb, nawet pajaków! Sídhé wcisnęli ich w ten kształt. Chwytam. Ale skąd wzięło się ich aż tyle? To znaczy...

Frankenstein uciska go długim, sękatym palcem.

– Tata nigdy nie opowiadał ci o pszczołkach i motylkach, chłopcze? Szaroziemia jest pełna życia, ponieważ wszystko, co żywe, się rozmnaża. Sídhé uczynili siebie bogami. Ci sami bogowie, których imion wzywacie, Crom, Lugh i Dagda, byli Sídhé! Ale, co więcej, stali się nie tylko bogami, lecz kimś w rodzaju waszego Darwina. Nakręcili zegar ewolucji i pozwolili jej iść swoją drogą.

– Co pan ma na myśli, mówiąc „waszego Darwina”? – pyta Anto.

Ale Frankenstein już zasnął przy biurku.



Rycerze

Później, po lekcjach, po wyczerpujących biegach, po zajęciach z wytwarzania włóczni, po plotkach i śmiechach przy kolacji w refektarzu, Conor Geary zasiada u szczytu sali, w której wcześniej zasnął Frankenstein.

Przychodzi pierwszy – jak przystało na przywódcę – i teraz patrzy z pobłażaniem, jak zapełniają się miejsca przy jego Okrągłym Stole. Rodney, będący w niełasce, zajmuje miejsce w drugim rzędzie, wbija wzrok w podłogę i widać tylko jego blond czuprynę na czubku głowy. Następny jest Chuckwu, uśmiecha się i żuje Crom wie co. Jest najwyższy z nich i potrafi biec kilka dni bez odpoczynku. Otwarcie twierdzi, że jest tchórzem, ale Conor nigdy nie widział, żeby się przed czymś cofnął.

Po chwili pojawia się Fiver razem z przysadzystym, posępnym Cahalem. Następny jest Tony, potem Liz Sweeney, Bruggers i Keith. Wszyscy biorą krzesła i przerzucają się uwagami o porannych zajęciach z walki wręcz. Większości, oczywiście, poszło dobrze. Przychodzą tutaj, gdyż są najlepsi. Niektórym nawet swego czasu udało się pokonać Conora, a jemu się to podobało. Chciał, żeby stawali przeciwko niemu, ponieważ gdyby nie zmierzył się z najlepszymi z nich, nie miałby prawa tu siedzieć.

Drzwi otwierają się ponownie, do środka wsuwa się Sherry i puszcza do Conora oko nad głowami pozostałych. Jest dopiero na Czwartym Roku, ale w tych dniach okazuje się jego główną pocieszycielką. Na tyle bystrą i szybką, że Conor liczy na jej przetrwanie. A jako przywódca potrzebuje dziewczyny, z którą będzie się go widywało. Ufa, że Sherry jest zbyt mądra, żeby dać się powalić. Inaczej nie zasłużyłaby na miejsce u jego boku.

Czeka, aż Sherry usiądzie z tyłu, pozwala, żeby zaczęli się niecierpliwić, żeby Chuckwu powiedział coś głupiego i zarobił kolejnego kopa. Ale przez ten rok, odkąd ich zwerbował, dyscyplina grupy ciągle się poprawia, więc w końcu powoli kiwa głową.

– Pozdrawiam was, koledzy ocalali – mówi.

Żaden z Rycerzy Okrągłego Stołu nie został jeszcze Wezwany, ale Conor zawsze w ten sposób rozpoczyna zebranie. Wielu z nich, oczywiście, umrze. Nawet

spośród nich, najlepszych z Piątego Roku. Są jednak nadzieją narodu i Conor, jak zwykle, roztacza przed nimi wizję świetlanej przyszłości, pójdą więc do łóżek podbudowani i gotowi na Wezwanie, bez względu na to, kiedy ono nastąpi.

– Chcę tego teraz – mówi im. – Chcę poczuć chude karki Sídhé w swoich rękach.

Oni odpowiadają mu uśmiechem, chociaż niektórzy trochę nerwowym. Nie są jeszcze tak gotowi, jak być powinni.

– A kiedy wrócę, zacznę budować dla was dom. Będziemy najlepiej wyszkoleni, najsilniejsi w kraju. I to my powinniśmy nim rządzić, a nie nieudolni starzy pierdziele, którzy nawet nie śnili o Szarozieni. Nie biurokraci. My. My! Tylko my możemy ocalić Naród.

– W jaki sposób? – pyta Sherry. Jest jeszcze nowa i chce usłyszeć wszystko.

Odpowiada jej Cahal, jego głos dudni znad grubego chłopskiego karku:

– Naród traci zasoby – mówi. – Na dzieciaki, które nie mają szans.

– To powinniśmy być my – potwierdza Liz Sweeney piskliwym z podekscytowania głosem. Jest wysoka i umięśniona jak większość chłopaków na roku. – Ludzie tacy jak my. Gdyby to nam należała się najlepsza żywność, lekarstwa i trening, odsetek ocalałych wzrósłby gwałtownie, z jednego na dziesięciu do... do... co najmniej trzech na dziesięciu! A może pięciu na dziesięciu! Zamiast tego na marne pchają wszystko w chodzące trupy takie jak Aoife i Kuścyczka.

Kuścyczka to Nessa.

Conor kiwa głową z aprobatą. *Nessa* – myśli. *Nessa... Szkoda, naprawdę szkoda.* Ponieważ od pasa w górę to najpiękniejsza dziewczyna, jaką w życiu widział. Marzy o niej przez cały czas, to taka słabość, z którą nie zdradził się nigdy przed członkami Okrągłego Stołu. Tylko Sherry wie, ponieważ kilka razy przez pomyłkę nazwał ją Nessą. Musiał ją wtedy uderzyć – nie mógł tego powstrzymać i wcale nie czuł się z tym dobrze! Ale musiał ją uderzyć i powiedzieć jej, że używa tego imienia jako obelgi, ponieważ Sherry popełniła jakiś nieokreślony grzech.

Ona jednak nadal musi coś podejrzewać.

I to właśnie złości go najbardziej. Taka strata. Jak ta piękna dziewczyna, przez swoją głupotę albo głupotę rodziców, mogła zapaść na rzekomo wygasłą chorobę i zniszczyć sobie przyszłość?

Nie może znieść jej widoku, a jednocześnie nie może się oprzeć, by na nią nie spojrzeć. Czuje się, jakby Sídhé przysłali ją specjalnie, żeby kpiała z ich największego wroga. Dlatego dali jej tę nieskazitelną cerę! Bładą i aksamitną pod nieskalanie czarną linią brwi, pokrywającą wyraźnie zarysowane kości policzkowe. I te usta stworzone do uśmiechu, który jednak pojawiał się tak rzadko.

– Ludzi takich jak ona – mówi teraz – nie powinno się karmić, od kiedy skończą pięć lat. Albo od chwili, kiedy się okaże, że są bezużyteczni. Nasi

przodkowie wynosili takie dzieci w góry, ale my możemy załatwić to łagodniej, nie jesteśmy okrutni. My możemy rozwiązywać ten problem zastrzykami.

– Leki są drogie – dudni Cahal. – Poduszka da radę. I też nie będzie bolało.

Drzwi otwierają się i wszyscy aż podskakują, jakby czuli się winni, że chcą ratować kraj.

Do środka głowę wtyka Anto.

– O – celowo mówi po angielsku – czy to tutaj się spotykamy?

A ta durna Liz Sweeney uśmiecha się do niego!

Anto musiał się zastanawiać, dokąd wszyscy idą, i poszedł za nimi, żeby się podroczyć. Powinien był lepiej przyswoić sobie nauczkę od Conora. Ale ten mały głupek nigdy nie przepuści okazji, żeby ponabijać się z nich, z lepszych od siebie. Myśli, że jest zabawny, a musi im zazdrościć, wiedząc, że oni przetrwają, podczas gdy on jest skazany na zagładę ze swoim pacyfizmem i dietą owcy.

Conor stoi i wypina bohatersko pierś. Nie zaryzykuje Klatki, wszczynając bójkę, gdy w każdej chwili może pojawić się instruktor – wspomnienie zakrwawionej twarzy Anto wystarczy, aby wszyscy pamiętali o jego autorytecie.

– Nie było zabawnie, kiedy ostatnio próbowałeś sobie żartować – mówi Conor – i na pewno nie jest...

Przerywa. Anto też cofa się o krok i chwyta za swój krzyżyk. Ponieważ krzesło Cahala jest puste.

– Niech ktoś... niech ktoś mierzy czas – mówi Conor.

W gardle mu zaschło. Anto wchodzi do sali, prawie na czubkach palców.

– Nie należysz do nas – mówi Brugger, tyczkowaty chłopak z Cork. Ale on również odwraca się w stronę zegara. Minęła już minuta i Conor z trudnością łapie oddech. Musi być teraz ich kotwicą. Ich opoką. Muszą go widzieć niewzruszonego.

Ale Conor jest zazdrosny. Zawsze myślał, że zostanie Wezwany jako pierwszy z grupy. Jakby Sídhé w ten sposób chcieli usunąć ze swej drogi największe zagrożenie. Nie, żeby miało im się to udać.

Zegar wskazuje dwie minuty.

Cahal jest dziwny. Może pochwalić się masywnym ciałem w czasach, kiedy przeciętny nastolatek ma raczej sylwetkę charta. A gdy się go dźgnie palcem, napotyka się na skałę. Albo żelazo. Cahal jest robotem, prostym i zwyczajnym. Maszyną.

Dwie i pół minuty.

Conor zdejmuję bluzę.

– Będzie mu zimno, kiedy wróci – mówi pewnym tonem. – Odsuńcie się od krzesła.

I wtedy duża wskazówka zegara mija trzecią minutę. Zostają ostatnie cztery sekundy.



Cahal

Cahal przed chwilą siedział, ale teraz pada na ziemię, nagi, zmarznięty i zaskoczony. Widzi słynne srebrne spirale na sklepieniu nieba. Oczy łzawią mu od smrodu przypominającego zapach środka wybielającego. Ale pomimo tych charakterystycznych oznak, podobnie jak dziesiątki tysięcy nastolatków przed nim, potrzebuje kilku chwil, żeby pogodzić się z rzeczywistością.

Znajduje się na występie skalnym na klifie.

Na prawo sływa kaskada czegoś, co wygląda jak muł albo śluz, ścieka powoli po czarnej, zimnej skale do leżącej dużo, dużo niżej czarnej rozpadliny.

Na lewo zwisa dzikie wino, zapraszając do wspinaczki na szczyt.

Cahal wkłada głowę między kolana i bierze kilka panicznych, głębokich oddechów kwaśnym powietrzem. Wyrwa mu się szloch; nikt w całej szkole nie podejrzewałby zapewne, że potrafi szlochać. Ale on jest najmłodszy z siedmioosobowej rodziny. Turlough był większy i silniejszy od niego; Niamh była szybka, wysportowana i zawsze miła. Przynosiła mu jedzenie, a kiedy wracała na krótkie ferie, uciekał z chichotem przed jej łaskotkami.

Sídhe wezwali ją podczas jednej z tych zabaw i Cahal zobaczył to, co z niej wróciło, zanim ich troskliwi rodzice zdolali temu zapobiec.

Kusi go, żeby skulić się tu, na tej półce skalnej, i liczyć na to, że Sídhe go nie znajdą. Ale znajdą. To jedna z wielu, wielu prawd zawartych w Świadectwach: można się schować, ale nie w miejscu pojawienia. Sídhe zawsze tam szukają.

To co teraz? – zastanawia się. W górę czy w dół?

Aes Sídhe z całą pewnością są na szczycie klifu. I rzeczywiście, w oddali słysząc entuzjastyczny ryk ich rogów.

Na górze czeka mnie śmierć – myśli. Będą już czekać, zanim uda mi się tam wspiąć.

Nie, trzeba iść w dół, w ten ciemny i nieprzystępny dół. W czarną jak atrament wyrwę pełną grozy. Ale lepszy już jakiś potwór niż Sídhe! Dlaczego ma dać im satysfakcję?

Rusza więc. Winorośl nie pomaga, ponieważ jest najeżona kolcami. A w miejscu, gdzie sływa śluz, odłamki skalne usuwają się spod stóp. Ale Cahal

wbija stopy w szczeliny i ignoruje ból, dokładnie tak, jak go uczyli: akceptuj dyskomfort, ale bądź świadomy szkód.

Droga na dół jest mozolna i niebezpieczna, a wyobraźnia chłopaka, na podstawie najstraszliwszych Świadcstw, podsuwa mu wizje tego, co mieszka na dnie doliny.

Chociaż już mieszkańcy ściany klifu są wystarczająco przerażający. Patrzy na coś, co w pierwszej chwili wziął za ogromnego pająka. Okazuje się jednak, że to żywa ludzka głowa. Jej uszy przekształciły się w parę długich chudych rąk i za ich pomocą niczym mała przemieszcza się po ścianie, wykorzystując nierówności.

Kiedy dopada Cahala, ten wisi bezbronny między dwoma występami skalnymi. Wzdraga się z przerażenia, gdy stwór muska jego plecy. Nie robi mu jednak krzywdy. Przesuwa się do kapiącego śluzu i chłopce go chciwie ogromnym, mięsistym językiem.

Z góry, ze szczytu klifu, dobiegają odgłosy radości.

– Tutaj jest! Och, jest tutaj! Znaleźliśmy go!

Spadające kamyczki wystarczają, aby rozproszyć Cahala, który zwalnia uchwyt i boleśnie uderza o półkę skalną pół metra niżej. Nie jest już sam: samiec Sídhé przemyka obok, śmiejąc się przez całą drogę, aż rozlega się łupnięcie oznaczające upadek. Dźwięk ten pozwala chłopakowi oszacować, że zostało mu do pokonania jeszcze jakieś dwadzieścia metrów. Śpieszy się, jak może, ponieważ spadające kamyczki świadczą o postępach pościgu.

I wtedy trafia na występ skalny; jest tak szeroki, że Cahal uznaje go za dno doliny. Widzi Sídhé, który spadł, w świetle pochodni; musiał trzymać ją w chwili, gdy zaczął osuwać się z klifu. Skręcił kark, ale pokryta potem twarz wykrzywia się do niego w uśmiechu.

„Nie mogę... się... doczekać” – zdaje się mówić.

Ale Cahal już się nim nie interesuje, ponieważ na występie jest jeszcze ktoś. Dziewczyna. Zwykła ludzka dziewczyna. Chyba ładna, mimo warstwy brudu na twarzy.

Powszechnie wiadomo, że dzieci, które zostały Wezwane, czasem wpadają na siebie. Czasem mogą sobie nawzajem pomóc. Czasem rozpaczliwe poświęcenie pozwoli jednemu z nich umknąć prześladowcom. Ulubionym Świadcstwem wszystkich zaznajomionych z tematem jest opowieść o tym, jak Jenny Dundon i Mary O’Gara spędziły ostatnią godzinę w Szaroziemni plecami do siebie, ze skleconymi na poczekaniu włóczniami.

Dziewczyna ma ogromne oczy i na jego widok wybałusza je ze strachu. Potem jednak uświadamia sobie, że Cahal też jest człowiekiem.

– Pomóż mi – szepcze.

Ranny Sídhé uśmiecha się szerzej.

– Ja... ja... ci pomogę!

Dziewczyna utknęła w rozpadlinie. Najwyraźniej próbowała się w niej ukryć, ale zmieściła się tylko w połowie – jedna noga, jedna ręka i część tułowia – a teraz nie może ani wcisnąć się głębiej, ani wydostać. Nie była to Jenny Dundon, to na pewno! Conor nazwałby ją „tą słabą”. Jedną z tych „skazanych”. Ale chociaż Cahal jest Rycerzem Okrągłego Stołu, chociaż to z jego ust na spotkaniach padała najokrutniejsza prawda, w środku... w środku zawsze słyszał głos rodziców, a oni byli zupełnie inni.

Po śmierci Niamh często fantazjował o tym, jak mógłby ją uratować. A teraz miał szansę, miał realną szansę, ale tylko, jeśli się pośpieszy, ponieważ pościg szybko się zbliżał.

– Kiedy cię będę wyciągał, zaboli jak cholera – mówi. – Rozumiesz? Musisz olać ból i od razu uciekać z całych sił.

– O... oczywiście. Proszę. Tylko się pośpiesz. Proszę! – Wyciąga wolną rękę.

Cahal ostrożnie obchodzi umierającego, zadowolonego Sídhę i mocno chwyta rękę dziewczyny.

– Jesteś gotowa?

Dziewczyna rozpromienia się w uśmiechu. Otwiera usta i krzyczy:

– Mam go! Mam go! Mam go!

Cahal próbuje odskoczyć przerażony, ale ona trzyma mocno. Chłopak jest prawie tak silny jak Conor i bardziej zdesperowany niż kiedykolwiek w życiu. Wyszarpuje dziewczynę z rozpadliny i uświadamia sobie, że ona wcale w niej nie utknęła: ciało dziewczyny kończy się w połowie. Ma tylko jedną nogę i pół korpusu do mostka. RzUCA się na niego, a kiedy Cahal próbuje złapać równowagę, za kostkę chwyta go inna ręka. To leżący Sídhę.

– Najdroższy złodzieju! – mówi szeptem.

Nie daj im się dotknąć! Nigdy nie pozwól, żeby Sídhę cię dotknął! Ale jest za późno. Stworzenie cicho skrzeczy, a mięśnie Cahala rozpływają się jak wosk w uścisku ręki Sídhę. Nigdy nie zaznał takiego bólu! Jakby każda komórka jego ciała pod tym nadprzyrodzonym dotknięciem była zrobiona z kwasu i tnących ostrzy. Sídhę o połyskliwej skórze obraca dłoń, a kiedy zwalnia chwyt, lewa stopa Cahala skierowana jest w odwrotną stronę. Chłopak upada, a kilkunastu innych Sídhę stoi już dookoła niego i wyciąga ręce; wszyscy z niecierpliwością czekają, żeby móc go wreszcie dotknąć.

– Stop! – krzyczy jedna z nich.

Zdumiewająco piękna księżniczka wróżek przepycha się naprzód i przykuca przy Cahalu. Jej bujne włosy spływają na ramiona jak srebrny wodospad. Ma kpiące, szelmowskie spojrzenie.

– Proszę... – mówi Cahal. – Proszę...

Księżniczka marszczy brwi.

– Gdybyście wy, złodzieje, słuchali nas! Gdybyście słuchali naszego płaczu w tej krainie pozbawionej barw! Ale przez cały czas nasze światy coraz bardziej się do siebie zbliżają! I wkrótce nastanie u was król i uchyli ten okrutny traktat, który skazał nas na pobyt tutaj.

Srogi mars zastępuje uśmiech, tak uroczy, że prawie uśmierza ból chłopaka.

– W tym jedynym przypadku skłaniam się ku łasce. Ciebie odesłamy żywego.



Pies

W klasie mijają ostatnie cztery sekundy. Wszyscy trzymają się z daleka od skłębionego ubrania Cahala. Liz Sweeney pobiegła po nauczycieli. Wszyscy wstrzymują oddech.

I nagle coś się pojawia: nie zwłoki, ale też coś o wiele większego od istoty ludzkiej. Ma dwa metry wzrostu, stoi na czterech nogach, które kończą się parodią ludzkich stóp. Skórę ma jasną jak większość Irlandczyków, ale naciągniętą tak mocno na zbyt duży szkielet, że w niektórych miejscach pęka i krwawi.

Najgorsza ze wszystkiego jest głowa: mała czaszka z brązowymi włosami Cahala. Oszałe małe oczka również mają ten sam bladoniebieski kolor, jak tęczówki chłopca, którym kiedyś był. Mrugają i mrugają, po obu stronach szczęk, tak szerokich, że mogłyby pomieścić piłkę do koszykówki. Stwór wyje. Z jego gardzieli wydobywa się okrzyk bóleści, smutku i nienawiści. A podczas gdy wszyscy stoją znieruchomiali, potwór łapie w potężne szczęki głowę Rodney'a McNaira i mocno je zaciska. Młodzi ludzie odskakują w przerażeniu.

– Wyjazd z sali! – woła Anto, a Conor myśli, jakie to dziwne, że tylko ten sflaczały pacyfista zachował zimną krew. Ale cóż, jedyne co potrafi, to uciekać, no nie?

– Nie! – krzyczy Conor. – Zostajemy!

Stwór porzuca Rodney'a i zwraca się w stronę źródła dźwięku. Conor czuje, jak krew zastyga mu w żyłach.

– Zabijmy to coś! – udaje mu się wykrztusić.

– Ale to... Cahal – mówi Bruggers, co z miejsca kwalifikuje go do mięczaków. Ale za to Sherry zapracowuje sobie na miejsce przy stole.

– Już nie – mówi.

Stwór rzuca się na nią, ale dziewczyna odskakuje w drugą stronę; wpada na biurka i regały na końcu sali. Potwór zamierza się na nią, a Fiver i Keith Blake atakują go z lewej strony, biją i kopią, ledwo unikając szczęk, które za nimi kłapią. To daje Conorowi czas, żeby walnąć krzesłem w małą czaszkę.

Bestia, która była Cahalem, upada, kwiląc żałośnie, ale Conor nie daje się zwieść. Wydaje z siebie zwierzęcy ryk i tłucze krzesłem jeszcze dwa razy, dopóki

Cahal nie milknie na dobre. Podobnie jak cała reszta spanikowanych, dyszących nastolatków w sali. Conor trzyma krzesło tak mocno, że ma zbielełe palce. Wie, że jeśli zwolni chwyt, wszyscy zobaczą, jak bardzo trzęsą mu się ręce.

Liz Sweeney wraca z Indyczką. Pani Breen obejmuje całą scenę jednym spojrzeniem.

– Ach – wzdycha, a głos nawet jej nie drży. – Szkoda, że nie mogliśmy pozwolić mu przeżyć trochę dłużej. Dla celów badawczych.

– Przepraszam, proszę pani – odzywa się Conor.

– Posłuchajcie mnie – mówi Breen. – Rzadko, bardzo rzadko zdarza się, że odsyłają ich żywych, w takiej formie. A my nigdy nie mówimy o tym ich rodzicom, rozumiecie? Cahal i... kto... kto to był?

Wskazuje na drugie ciało w kącie.

– Na Kocioł! – krzyczy Liz Sweeney. – To Rodney! Och... och, na Lughu.

– Opanuj się, Liz Sweeney! – napomina ją Conor. – To Rodney McNair, proszę pani. Cahal... ten potwór go zabił.

– Widzę, panie Geary. A teraz, chłopcy i dziewczęta, od momentu, gdy wyjdziecie z tej sali, wersja ma być taka, że obaj, zostali Wezwani, jasne? Rodney McNair i Cahal, obaj. Jeśli chociaż słowo o tym, co tu się stało, dotrze do rodziców, wszyscy pójdziecie na tydzień do Klatki.

Czeka przez chwilę, aż wszyscy potwierdzą zgodę kiwnięciem.

– Dobrze. Zmyjcie krew. Zaraz załatwię wam jakieś szlafroki, założycie je, żeby dostać się do sypialni po zapasowe dresy. Rozejść się.

Zaczynają powoli się rozchodzić, ale dyrektorka ma jeszcze coś do powiedzenia.

– Zaczekajcie! Powinnam jeszcze dodać, że jestem dumna z tego, jak sobie poradziliście. Gdybyście wpadli w panikę, zginęłoby was więcej. Naród musi przetrwać.

– Naród musi przetrwać – powtarzają, a Conor czuje przyływ energii, kiedy pani Breen zwraca głowę w jego kierunku. Wie, że on potrafi zabić. Teraz wiedzą to wszyscy, a co najważniejsze, wie to on sam, Conor Geary. Jedna z milczących obaw, która czała się gdzieś w zakamarkach jego umysłu, teraz umarła, tak samo jak Cahal Dillon i Rodney McNair.

===LUIgTCVLIA5tAm9PfU97SHtObg9hCGIHPVw/RTxIKUcmZgFsDWQIJkUq
Rw==



Dzień Oszczepu

Dwadzieścia pięć lat temu z nieba spadły puste samoloty pasażerskie. Promy zostały wyrzucone na brzeg, pełne porzuconych ubrań i skamlących zwierząt domowych. Zagraniczne stacje radiowe umilkły w pół słowa, a Walińczycy i Szkoci nie są w stanie od tamtej pory wypatrzeć irlandzkiego wybrzeża, bez względu na to, jak dobra panuje widoczność.

Zniknięcie świata uwięziło na wyspie tysiące turystów i podróżników. Wśród nich byli też żołnierze: Taaft, dwudziestodwuletnia dwukrotna rozwódka na wakacjach; Nabil, rozpaczliwie próbujący znaleźć jakiegokolwiek spokojne i zielone miejsce; kilku żołnierzy brytyjskiego SAS[1], również na urlopach (a przynajmniej tak twierdzili).

Bez względu na to, jak i dlaczego wylądowali w końcu w różnych szkołach przetrwania, wszyscy instruktorzy upierali się jednak, że uczniowie nigdy nie będą w stanie zabić Sídhé, jeśli cele, na których ćwiczą, nie będą możliwie zbliżone do ludzkich.

Stąd wzięła się tradycja „Dnia Świni” i „Dnia Oszczepu”.

Minęły dwa tygodnie od Wezwania Cahala. Pierwszy Rok ciągle chodzi w dresach. Minął niecały miesiąc od ich przyjazdu, więc dopóki nie stwardnieją im dostatecznie podeszwy stóp, dziesięciolatkowie nadal mogą nosić buty na dworze.

Nie są też karani za mówienie po angielsku, ale od stycznia czekają ich sankcje, jeśli nie będą znali prostych wyrażen w niewiarygodnie złożonym języku wroga.

– Słuchajcie, dzieci – mówi Taaft. Też nie potrafi mówić w sídhé i nigdy się nie nauczy. – To będzie bolało, ale wy musicie robić swoje dalej, pomimo bólu, rozumiano?

Rozumieją. W ocieplanych dresach wyglądają tak drobno. Chude ramionka i wielkie, niewinne oczy pod niezgrabnymi kaskami. Dopóki tu nie przyjechali, dopóki nie obudzili się nadzy w lesie, znali tylko miłość. A ta nagła zmiana miała być dla nich tylko przypomnieniem, że to dzieje się naprawdę i że przyjdzie dzień, kiedy spotka ich coś gorszego, niż mogą sobie teraz wyobrazić.

A dziś przypada Dzień Oszczepu. Pierwszy z wielu dni, w którym Piąty Rok

stanie do walki z Pierwszym.

Nessa patrzy na nich i zapomina o współczuciu. Przez najbliższe dwa lata na pewno nie doświadczą Wezwania, a miną prawdopodobnie cztery, zanim stracą przyjaciela.

Piąty Rok stracił już szóstkę. Dzwon zabił dla Tomasza, Peggy, Maury, Antoinette, Cahala i Rodney'a. A sądząc po przeszłych wydarzeniach, zabrzmi jeszcze trzydzieści razy dla Piątego Roku, zanim zdążą uczcić kolejne urodziny.

Nessa starannie wyważa oszczep. Jest tępy, ale w miejscu uderzenia zostawi siniaka wielkości spodka do filiżanki. Podobnie jak przy walce wręcz, dla dobrej techniki rzutu, a przede wszystkim dla uzyskania dobrej odległości, ważne są nogi. Ale Nessa oszukuje, okręcając sznurek wokół broni. W Szaroziemii nie będzie sznurków. Ale i wykonać sam oszczep nie będzie łatwo. Będą raczej łapać wszystko, czym Sídhé w nich rzuca.

Kiedy dzieci rozbiegają się na komendę Taaft, Nessa namierza cel – niemądrego chłopca, który biegnie w linii prostej. Wypuszcza broń z ręki, sznurek rozwija się, nadając oszczepowi pędu i wprawiając go w ruch obrotowy, dzięki czemu leci nawet dalej niż dotarłby oszczep Conora. Sama opracowała i wyćwiczyła ten sposób. *Dzięki, Kartagińczycy* – myśli. Oszczep leci wysoko i prosto. Trafia w niewłaściwego ucznia, ale o tym nikt nie wie.

Przykro mi, chłopcze – myśli Nessa.

Kiedy Nessa miała swój Dzień Oszczepu, żaden z Piąturocznych, widząc ją drepczącą po polu jak kaczka, nie wziął jej na cel. Gdyby tylko Sídhé mogli okazać jej takie miłosierdzie!

– Jak? – krzyczy Taaft, widząc jej perfekcyjny rzut. – Jak to zrobiłaś?

– Jestem silna – odpowiada jej Nessa po angielsku.

– Ale nawet ja nie jestem tak silna, dziewczyno. – Czyli, zdaniem Taaft, nikt nie może być tak silny.

– To kwestia techniki, pani sierżant.

Wyjaśnienie nie wystarcza Taaft i instruktorka szuka atlatla[2] lub innego miotacza pozwalającego wydłużyć rzut, ale nie dostrzega kawałka sznurka pod szorstką podeszwą stopy Nessy.

Instruktorka kieruje więc prawdziwą furię na Anto, który jako jedyny z Piątego Roku w ogóle nie rzucił oszczepem.

– Wie pani, że tego nie zrobię – informuje nauczycielkę.

Taaft podcina go kopniakiem, a Anto po fachowym przewrocie wstaje na nogi, jak urodzony sportowiec.

– Mógłbyś być najlepszy z nas – mówi mu – a spójrz na siebie! Sídhé nie uznają pacyfizmu, rozumiesz, synu? Sídhé zjedzą cię na śniadanie...

– Widziałem, co potrafią zrobić – odpowiada spokojnie Anto.

Sierżant wali go mocno w brzuch. I tym razem jest dość szybki, by zrobić

unik i nie wziąć na siebie całej siły ciosu, ale srebrny krzyżyk matki teraz wisi mu na szyi krzywo. Taaft wyraźnie walczy ze sobą, żeby go nie rozszarpać, podobnie jak Conor kilka tygodni wcześniej. Nauczyciele mogą zadawać ból, ale nie wolno im robić krzywdy. Niektórzy twierdzą nawet, że zadawanie bólu to ich główne zadanie.

Anto widzi Nessę i mruga do niej.

– A co to było, synu?! – wrzeszczy Taaft i Nessa szybko się odwraca, zanim Anto wpadnie w gorsze kłopoty albo ktoś uświadomi sobie, że Nessę interesuje wynik konfrontacji.

Po Dniu Oszczepu nadchodzi Dzień Świni, którego nie lubi nikt. Niektórzy mawiają, że te stworzenia są równie inteligentne jak psy. Ale raz do roku każdy uczeń szkoły musi dopaść i zabić jedno. Nawet Pierwszoroczni. Przede wszystkim Pierwszoroczni.

Anto nie był jedynym, który w swoim czasie odmówił. Ale pozostałe dziesięć latki w końcu zostały do tego zmuszone i nawet łąy i nocne koszmary nie były w stanie wybawić ich z opresji.

Anto faktycznie pokazał, że nie boi się lania od starego sierżanta Millera. Nie złamała go samotna mroźna noc w Klatce. A potem kolejna. Potem cały tydzień. Kiedy w końcu go wypuścili, wyglądał jak ofiara Wielkiego Głodu.

– No dobra – powiedzieli mu. – W porządku. W tym roku ci odpuścimy.

Ale potem było tylko gorzej, ponieważ pewnego wieczoru, po tygodniu regularnych posiłków, spojrzał na swój talerz i zorientował się, że to wieprzowina. Od tej pory przestał jeść mięso. I znowu była Klatka i inne metody oraz wiele, wiele przypomnień, że „Naród musi przetrwać!”.

Wreszcie zaczęli mu przyrządzać osobne posiłki: zbilansowane, odżywcze i pozbawione smaku breje z fasoli i wszystkiego, co w danym sezonie było dostępne. Wyglądało to dość okropnie, ale Anto świetnie się rozwijał, ku niedowierzaniu, a w niektórych przypadkach jawnemu gniewowi nauczycieli.

– Wróży Lud zje cię żywcem – mówi teraz Taaft.

Nie po raz pierwszy Nessa podziela jej zdanie i przyłapuje się na tym, że traci cenny czas, martwiąc się o chłopaka. Nie może sobie pozwolić na noce pełne koszmarów o śmierci Anto. Nie może sobie pozwolić na to okropne narastanie wewnętrznej presji, która skończy się tylko kolejną bezsensowną wizytą w sypialni chłopców. *To nie moja sprawa. Muszę zadbać o siebie...*

Mimo wszystko. Mimo wszystko. Czasem chce nim potrząsnąć. Czasem chce go błagać, żeby przestał marnować swoje życie dla świń, głupich owiec i nawet ryb!

W oddali nauczyciel – pan Hickey od teorii polowania – macha do nich, żeby podeszli, twarz ma alarmująco czerwoną. Potem rozlega się dzwon, ale to nie ten sam smutny, powolny żałobny dźwięk co zwykle. Bicie jest szybsze, bardziej

naglące i może oznaczać tylko pilne wezwanie do refektarza.

– No dobra! – woła Taaft. – Wracamy biegiem. Zostawcie oszczepy. Drugoroczni pozbierają je po południu.

Wszyscy kierują się do swoich stołów, zajmują zwykle miejsca. Tradycja nakazuje nie zapełniać luk po tych, którzy zostali Wezwani, a Nessa nie może znieść nawracających myśli o odejściu Antoinette i Tomasza. Za to dwa nowe puste miejsca przy stole chłopców przypominają jej, jak upokorzyła Rodney'a McNaira. Czy to w jakiś sposób przyczyniło się do jego śmierci? To taka głupia myśl, wie o tym, ale nie może zrozumieć, dlaczego ciągle kołacze jej się po głowie, bez względu na to, jak mocno się od niej opędza.

– Nie ma kolejnych osób – mówi Megan. – Patrz! Brakuje nawet dwóch Pierwszorocznych!

– Pierwszorocznych? – Nessa czuje zimny dreszcz. – To chyba niemożliwe?

– Wszystko gra – mówi Piskliwa Emma. – Widziałam, jak niektóre dzieciaki szły do klasy. Chyba po kilkoro z każdego roku.

Wszyscy się uspokajają, niesłusznie, ponieważ za chwilę usłyszą coś o wiele gorszego, niż mogli się spodziewać. Pierwszą oznaką jest wyraźna konsternacja panująca wśród nauczycieli przy stole u szczytu sali. Indyczka nerwowo poprawia wyświechtany tweedowy żakiet, który zakłada codziennie. Tak, dzieje się coś złego.

Pani Breen próbuje jednak bohatercko zapanować nad sobą. Dla dobra dzieci i, tak, dla Narodu. Wierzy w te rzeczy. Chrząka i od razu w sali zapada całkowita cisza, nie słychać nawet trzeszczących krzesel, a trzysta par oczu wpatruje się w nią z niepokojem.

– Mam pewne wieści... – W tym momencie dyrektorka uświadamia sobie, jak bardzo jest wstrząśnięta i że za chwilę równie wstrząśnięci będą jej podopieczni. Chłopcy i dziewczęta, którzy muszą skupić się na przetrwaniu. To zupełnie do niej niepodobne. Ale jest bliska podjęcia decyzji, że nic im nie powie, żeby nie pogarszać sytuacji. Wtem Nabil zakrywa ręką mikrofon i szepcze jej do ucha:

– Usłyszają o tym tak czy siak.

Kiwa głową, a Nabil usuwa się na bok.

Dyrektor Breen bierze kolejny wdech.

– Wydarzyło się... wydarzyło się pewne nieszczęście.

Znowu oddech. Nigdy, w całym życiu, przemówienie nie szło jej tak źle. Kiedy zaczynała karierę w szkolnictwie, gdy publikowała pierwsze dokumenty z historii Sídhé, w kraju istniało sto pięćdziesiąt szkół przetrwania, a uczniów przydzielano do nich na podstawie daty urodzenia. Nikt nie mógł powiedzieć, jak wiele szkół będzie nadal działać, ale obecnie dzieci, które uczęszczały do Boyle, miały obchodzić urodziny we wrześniu. A najgorsze było to, że w tym roku, po raz

pierwszy w historii, liczba nowo przybyłych spadła poniżej pięćdziesięciu.

Wbija palce w pulpit, świadoma połamanych paznokci, pomarszczonej skóry rąk. *Po co tu jestem?* I wtedy, gniewnie, uderza w drewnianą powierzchnię tak mocno, że łzy bólu napływają jej do oczu, a wszyscy podskakują.

– Wygląda na to – mówi po angielsku, żeby Pierwszoroczni też rozumieli – że Szkoły Przetrwania Mallow już nie ma.

Wszyscy wlepiają w nią wzrok. Jej oświadczenie nie ma dla nich sensu.

– Chcę przez to powiedzieć, że wszyscy zostali zamordowani we śnie. Te dzieci, które miały krewnych w Mallow, zostały... zostały zabrane przez psychologów. Dlatego nie są tu teraz z nami. Jak... jak zawsze, musimy okazać wsparcie...

Wszyscy zaczynają mówić naraz. Dzieci wykrzykują pytania, obejmują się, płaczą. Pani Breen zwykle jest ostrożniejsza. Przygotowuje wszystkie większe wystąpienia, uprzedza pytania i obawy, ucina szkodliwe plotki, konsultuje się wcześniej z psychologami. Zajmuje się tym przecież od dawna. Od zbyt dawna.

Teraz wraca na swoje miejsce przy szczytowym stole, patrzy prosto przed siebie. Dlatego to tęgi pan Hickey musi opanować zamieszanie.

– Dosyć! – krzyczy do mikrofonu. – Nic więcej na razie nie wiemy, tak? Kilka osób przeżyło. Weterani, którzy pili na mieście, wszczęli alarm po powrocie. Zginęli również wartownicy z nocnej zmiany. Najpierw coś musiało ich uspić. I tyle. Dosyć! Zamknijcie jadaczki! Dosyć!

To wystarcza. Pytania przestają padać.

– Poza tym – ciągnie pan Hickey – rozmawialiśmy z panią Fortune. – Ma na myśli główną kucharkę. – Dziś zjemy obiad wcześniej, więc zostańcie w waszych salach. I od tej chwili, od tego posiłku, każdej potrawy będą najpierw próbowały psy pod nadzorem pana Downesa i pana Connolly'ego.

Stojący za nim nauczyciele wyglądają na zaskoczonych. Kiedy to wszystko zostało uzgodnione? To chyba jeden z wyskoków Hickey'a. Ale nikt się nie sprzeciwia, ponieważ te środki ostrożności są oczywiste i rozsądne, a ktoś musi przejąć kierownictwo.

Pani Breen ciągle patrzy przed siebie, ale profesor od polowania jeszcze nie skończył.

– I na koniec – dodaje – nie mogę wypowiadać się w imieniu rządu ani moich kolegów po fachu, ale uważam, że ten zamach nie byłby możliwy bez pomocy kogoś z tamtej szkoły. Sądzę, że to oczywiste. Nie życzymy sobie żadnego polowania na czarownice tutaj, w Boyle, ale jeśli zauważycie coś dziwnego, cokolwiek, proszę od razu o tym meldować, od razu! Któremuś nauczycielowi. Nabilu? Przejmiesz dowodzenie?

Wszyscy ufają Nabilowi. Może z wyjątkiem Taaft. To dobry wybór, na tyle dobry, że w sali napięcie nieco opada.

Ale tu i ówdzie płaczą dzieci w różnym wieku. Przed podaniem informacji nauczyciele zaprowadzili do psychologów rodzeństwo ofiar, ale świat irlandzkich nastolatków jest tak mały, że wielu z nich znało kogoś, kto uczył do Mallow. Aoife siedzi przy stole Nesy, chowając twarz w dłoniach, a Piskliwa Emma próbuje ją pocieszyć.

– Crom chyba wykręcił Indycze mózg! Czy ona nie ma wycucia?

Ale Nessa nie wie, jak można by to było załatwić inaczej.

Szkoła. Cała szkoła pełna wyszkolonych zabójców unicestwiona we śnie. Przypomina sobie psy leżące na korytarzu. Przypomina sobie i wstrząsa nią dreszcz.

Zostawia wszystkich i idzie szukać wielkiego Francuza.

– Nabilu?

W przeciwieństwie do Taaft, Francuz nie życzy sobie, by zwracać się do niego „proszę pana”, „sierżancie” ani „profesorze”. Nie cierpi salutowania, a raz, kiedy rozbił się za nim kubek, Nessa widziała, jak wskoczył ze strachu w krzaki. Ale poza tym wydaje się rozsądny.

– Muszę zameldować – mówi – o psach.

Powie mu to, do czego nie przyznała się Breen. Musi mu powiedzieć, jeśli ona i jej przyjaciele mają przeżyć.

[1] SAS – Special Air Service, elitarna jednostka specjalna armii brytyjskiej, przeznaczona m.in. do zwalczania terroryzmu (przyp. tłum.).

[2] Atlatl – kawałek wydrążonego drewna z hakowatym zagłębieniem na końcu, w którym umieszcza się koniec drzewca włóczni; pomaga on zwiększyć zasięg rzutu (przyp. tłum.).



Na Croma

Zapadła już noc. Nessa znów jest w toalecie i próbuje zmusić się, by wrzucić kartkę z wierszem do klozetu i wrócić do łóżka. Dzisiejsze doniesienia wstrząsnęły wszystkimi, ale nie dlatego tu była. Była tu, ponieważ uzależniła się od własnego marzenia. Marzy o farmie w Donegalu i kimś, kto z nią tam zamieszka.

*Gdybym miała majątek
Srebro w mej kieszeni
Ruszyłabym najkrótszą drogą
Do domu ukochanego*

Gdy po rozmowie z Nabilem usiadła na swoim miejscu, zauważyła, że wszyscy się obejmują. Ona też potrzebowała, żeby ktoś ją przytulił; naprawdę tego potrzebowała. Ale nie potrzebowała ich litości. Nie takiej. Siedziała sama przy stole, wyprostowana i niewzruszona, gdy zobaczyła idącego w jej stronę Anto.

– Co tu robisz? – spytała ostro.

Był taki przystojny, a jego czarne oczy mieniły się w jesiennym słońcu. Odwróciła wzrok, a on wyraźnie okazał wielkie rozczarowanie.

– Nie martw się – powiedział i wskazał głową stół chłopców. – Powiedziałem im, że spytam cię, o czym rozmawiałaś z Nabilem, tylko tyle.

– W porządku – odparła. – Ale... nie mogę nikomu powiedzieć.

– Dobra.

I odszedł. A ona siedzi tu znowu, chociaż Nabil kategorycznie jej zakazał. Będzie wiedział, że to ona, jeśli ktokolwiek ją zobaczy.

Uderza głową o drewnianą ścianę.

– Na Croma – mówi do siebie. – Na Lughę i Dagdę, wracaj do łóżka.

Zastanawia się przez chwilę, jak bardzo modne stało się wśród irlandzkich dzieci wzywanie bóstw morderców. Nawet jako sześciolatki, jeszcze nie wiedząc, co je czeka, Nessa i jej koleżanki miały długą listę świętych imion, które mogły wymawiać nadaremnie. Dlaczego nie mogłyby używać jako przekleństw nazw narządów płciowych, tak jak ich rodzice? Albo i wzywać diabła, jak przodkowie?

Ale ludzie lubią szokować słowami, prawda? A co może być okropniejszego niż Wróży Lud?

– Nieważne – mamrocze do siebie.

Otwiera okno i widzi wielki księżyc, o wiele za jasny, żeby zapewnić jej komfort podczas nocnej eskapady. Jej zły pomysł z minuty na minutę wydaje się coraz gorszy. Uśmiecha się jednak, a każdy mięsień drży jej z podekscytowania. I wtedy słyszy czyjś okrzyk. Shamey, jeden z „weteranów”, spaceruje po nieużywanym parkingu na tyłach szkoły.

Trzy lata temu wrócił z Wezwania zupełnie nienaznaczony. W każdym razie nienaznaczony fizycznie. Nessa wie, że był w Boyle, miasteczku, które obecnie skurczyło się do jednej zamieszkałej ulicy i pustego kościoła. Ostał się tylko jeden pub, ale to wystarczyło Shamey’owi. Ma jakieś siedemnaście lat, długie włosy i brodę, która jeszcze nie zdążyła pokryć kilku fragmentów skóry na policzkach.

– Hej wy, po co mieć dzieci? Słyszycie mnie wszyscy, wy mendy powykręcane przez Sídhe? Po to, żeby zesłać je w takie... takie miejsce? Pogłupieliscie?

Weterani nie pełnią żadnej konkretnej funkcji. Teoretycznie prowadzą zajęcia, kiedy nauczyciel zachoruje. W większości przypadków praca w szkole daje im szansę na otrząśnięcie się po Wezwaniu, zanim znajdą swoje miejsce w prawdziwym świecie. Tymczasem mogą właściwie robić wszystko, co im się żywnie podoba.

Ale nie coś takiego.

Słowa Shamey’a obniżają morale, a tego nie można tolerować. Dwóch nocnych wartowników, Tompkins i Horner, dawni żołnierze SAS, pacyfikują go, na tyle łagodnie, na ile pozwala im wyszkolenie. Czyli niezbyt łagodnie. Nessa obserwuje, jak Horner zakłada mu dźwignię, a Tompkins wpycha do ust jakiś kłębek, sam Lugh wie czego.

W tej chwili Horner, jakby wiedział, że Nessa tam jest, podnosi wzrok na okno łazienki. Ma taką młodą twarz – jak u tego chłopca, którego ciało pływało w rzece, z wielkimi, wielkimi pustymi oczami.

– No, ruszaj się! – ponagla go Tompkins.

Mijają jednak jeszcze trzy powolne uderzenia serca, zanim Horner się odwraca. Odprowadzają Shamey’a, a Nessa wreszcie znajduje w sobie odwagę, żeby podrzeć wiersz na strzępy i wrócić do łóżka.

Podobnie jak rodzice Antoinette, pan Hickey był jednym z pierwszych ocalałych. Znaczyło to, że dopiero zbliżał się do czterdziestki, czy raczej powinien się zbliżać, gdyby nie fakt, że ostatnie dwadzieścia lat swojego życia spędził na jedzeniu i czytaniu, piciu i czytaniu, wymykaniu się chyłkiem do Dublina, żeby kraść książki... Te i inne zachowania wynikały z jego krótkiej wizyty

w Szaroziemii. Ale dzieciakom podobało się to, że jest zbliżony do nich wiekiem, a szczególnie fakt, że łatwo wdawał się w pogawędki, które odciągały go od tematu na całą lekcję.

– Nie! – protestuje. – Burke, to jest teoria polowania, a nie historia, wiesz o tym doskonale.

Wszyscy uśmiechają się do Solomona Burke’a, Bruggersa, jak nazywają go chłopcy. Wszyscy, z wyjątkiem Heather, która pochodzi z tego samego miasteczka co Rodney McNair i której czerwone oczy świadczą o tym, że lubiła go bardziej, niż dawała to po sobie poznać.

– Ale naprawdę, sir – mówi, używając tytułatury angielskiej, zamiast zwrotu w sídhe oznaczającego „szlachetnego pana” – legendy podają, że wykradali nasze niemowlęta z kołysek. I w ich miejsce podrzucali własne...

– Jeśli robili coś takiego, Burke, jeśli w ogóle to robili, to przestali dawno temu. Poza tym krąży też mnóstwo historii, że wykradali również starsze dzieci.

– Ale jak mielibyśmy się zorientować? – Bruggers posyła uśmiezek w stronę Conora, licząc na to, że klasa odpowiednio doceni jego udany dryf. – No, z tymi dziećmi? Może Sídhe wcale nie zaprzestali tych podmian. Może stąd mamy naszych Hitlerów, Cromwellów i innych.

Hickey wznosi oczy do nieba. Urodził się w świecie, gdzie nawet najbardziej zakurzeni profesorowie znali najwyżej kilkaset słów w sídhe, czyli prymitywnym irlandzkim, jak go nazywali. Wtedy nie było jeszcze szkół przetrwania.

– Posłuchajcie, nie potrzebujemy Sídhe, żeby nauczyć was, czym jest zło. To my wysłaliśmy ich do Szaroziemii, pamiętacie? I to nie na jeden dzień czy też na tyle, ile trwają Wezwania. My, Irlandczycy... uwięziliśmy całą rasę ludzi w piekle na wieczność, tylko po to, żebyśmy sami mogli zająć ich domy. Możecie o tym przeczytać w *Księdze podbojów*. Spójrzcie na to z ich punktu widzenia. Tuatha Dé Danann, Lud Bogini Danú... Oni tam byli, tysiąc lat temu, mieszkali w miejscu, które kochali tak bardzo, że nazwali je Krainą Tysiąca Barw. A potem przybywa drugi lud, taki jak oni, mówiący tym samym językiem, z tą tylko różnicą, że ci nowi – nasi przodkowie – jako pierwsi na świecie posiadają żelazną broń. Uważają, że to daje im prawo wziąć sobie wszystko! Wszystko!

Prawdziwośći wywodu nie sposób zaprzeczyć, ale opinia ta nie jest popularna i radosny nastrój klasy nagle wyparowuje.

– Zrozumcie – ciągnie Hickey – nie twierdę, że ktokolwiek z was zasługuje na to, co się dzieje. Na Kocioł i Włócznię[3], przygotowywałem się do igrzysk olimpijskich, kiedy mnie to spotkało! – W tym momencie głos mu się załamuje. – Miałem trzynaście lat.

Przez chwilę oddycha głęboko i widać wyraźnie, że znajdował się pod opieką dobrego psychologa, ponieważ dość szybko udaje mu się nad sobą zapanować.

– Rzecz w tym, że nie pokonamy ich, jeśli ich nie zrozumiemy. A być może nie da się ich pokonać, ale uda się znaleźć jakiś kompromis i zawrzeć z nimi pokój. I nawet sobie nawzajem wybaczyć.

Tego było za wiele dla Megan.

– Chyba Crom pana powykręcał! – krzyczy. To wystarczy, żeby zarobić noc w Klatce, ale nie na zajęciach u Hickey’ a. – Oczekuje pan, że im wybaczymy?

Hickey wzrusza ramionami.

– Pozwolę sobie zadać pani pytanie, panno Donnelly. Czy chciałabyś, aby przestali robić to, co robią? Tak? Ponieważ w tym przypadku to oni będą musieli wybaczyć nam.

– Wybaczę im pięścią – mówi Conor i nawet Megan kiwa głową, mocno zaciskając szczęki. – Podpisali z nami traktat, który oddał nam Irlandię. Tak jest napisane w *Księdze podbojów*, prawda? Teraz muszą się do niego zastosować.

Jedyna osoba w sali, która przeżyła Wezwanie, smutno wzrusza ramionami.

– Niech będzie. Wracamy do pracy. Chciałbym, żebyście podczas wyjścia do lasu w przyszłym tygodniu skupili się na następującej rzeczy...

[3] Według sag, są to dwa z czterech skarbów przywiezionych do Irlandii przez legendarny lud Danannów; dwa pozostałe to kamień, który krzyczał podczas inauguracji nowego króla, i miecz króla Nuada. Kocioł Dagdy był nigdy niewyczerpującym się naczyniem, a włócznia należała do boga-herosa Lughá. Danannowie zostali pokonani przez Milezjan, ostatni lud, który zajął Irlandię (przyp. tłum.).

Polowanie

Raz na dwa tygodnie Piąty Rok urządza polowanie. Tego wieczoru Nessa dołączy do ściganych. Zawsze przyda jej się więcej treningu w sztuce ukrywania się, chociaż nie przepada za nieszkodliwym, acz bolesnym pobiciem, które czeka schwytanych, ani też za lodowatą przykrością prysznic dla przegranych.

Ale, jak często przypomina im pan Hickey, równie istotnym jest być myśliwym: wejść w skórę Sídhe, kiedy szukają ostatniej rzeczy, która przynosi im radość.

Zbliża się Halloween. Drzewa są wilgotne po wczorajszej deszczowej nocy i brakuje tylko tygodnia do pierwszego tegorocznego mrozu.

Nessa zaczyna jak zwykle od znalezienia sobie kul, a porusza się przy ich pomocy już tak sprawnie, że potrafi zrobić kilka kroków na raz, nie dotykając stopami ziemi; używa ich bardziej jak szczudeł. Gdyby tylko udało jej się uprawiać tę gimnastykę dłużej niż przez kilka minut! Gdyby tylko była w stanie wyprzedzić choćby jedną osobę ze swojej klasy...

Dziś musi pozostać na wolności zwyczajowe sześć godzin, podczas gdy inne zespoły będą przeczesywać las w nadziei, że uda im się wygrać przywilej ciepłej kąpieli i ciepłego posiłku; w nadziei, że pozbawią Nessę dokładnie tego samego.

Będą mieli dobre światło podczas poszukiwań. Wielki księżyc mieni się srebrzyście nad drzewami i to jest ten moment, kiedy piękna planeta Ziemia najbardziej przypomina chorobliwie bladą Szarozieciem.

Nessa zatrzymuje się przy pniu wielkiej sosny, oddycha ciężko, jej nozdrza wypełnia zapach żywicy, a uszy wychwytyują szmery uciekających przed nią małych zwierząt. A potem aż podskakuje, kiedy niecałe sto metrów dalej rozlega się okrzyk.

To woła Bruggers.

– Przed nami czysto, na wschód! Ruszajcie!

Potem słyszy głośny tenor Conora gdzieś po swojej prawej stronie:

– Widzę dziury w ziemi! To Kuścyczka i jej kule! Nie może być daleko!

Przewaga jest po ich stronie. Takie są zasady. Inaczej polowanie nie miałyby sensu. Hickey daje polującym czas na rozpoznanie terenu i zastawienie pułapek. Mogą także tworzyć drużyny, więc nie dziwota, że Conor dobrał się ze swoimi kumplami. Mają nawet pochodnie, ponieważ, w przeciwieństwie do Sídhe, ich oczy nie są tak dobrze przystosowane do ciemności. Tu i ówdzie między gałęziami migają pochodnie, choć rzucają więcej cienia niż światła.

Nessa zmusza się, by nie umknąć między drzewa. Conor nie jest głupi, o nie. Potrafi zacząć się w ciszy, a myśliwi nawołują się tylko po to, żeby ona ich usłyszała i spanikowała. Liczą na to, że Nessa wpadnie w pułapkę, którą przygotowali dla niej pozostali dwaj członkowie zespołu. *Dlaczego ze wszystkich drużyn to musi być właśnie ekipa Conora?* Czasem patrzy na nią, jakby miał zamiar ją zjeść, a ona nigdy nie pojęła, dlaczego tak jest, bo w końcu to Megan

zawsze występuje przeciwko niemu.

Pochodnie błyskają z lewej, potem z prawej strony. Nessa opuszcza się ostrożnie na ziemię i próbuje wymacać kamienie. Kiedy znów się podnosi, chroni ją jedynie kilkanaście kroków i pień sosny. Bruggers szepcze ze swoim śpiewnym akcentem z Cork.

– Poszła po kamieniach, widzisz? Cwana suka z tej naszej Kuścyczki. Ale nie odeszła dalej niż sto metrów. A może nawet połowę tego. Do tej pory musiały jej się zmęczyć ręce.

Ma rację. Bruggers jest na lewo od niej, a Conor też musi stać gdzieś blisko, ale nie odpowiada i gasi pochodnię. Nessa strasznie denerwuje się tym, że nie wie, gdzie się schował, że może już patrzy prosto na nią. Ale jeśli zostanie w miejscu, znajdą ją tak czy siak, dlatego postanawia zaryzykować. Przyciska się do pnia. Bruggers jest dziesięć kroków od niej, odwrócony plecami.

Ale gdzie jest ten drugi? Sławny przywódca?

I wtedy go dostrzega: niczym wielki drapieжник ukryty w gałęziach drzewa, obraca głowę, jakby próbował uchwycić jej zapach w powietrzu.

Nessa uspokaja oszalałe serce. Ale potem myśli: *Mogłabym załatwić go kamieniem. A potem stwierdzić, że to był wypadek. Przecież prędzej czy później spróbuje się odegrać na Megan za to, że zrobiła z niego głupka...*

Ale dławi w sobie to pragnienie. Czeka więc, aż Conor odwróci głowę w drugą stronę i rzuca swój pocisk w stronę lasu za plecami ścigających. Kamyk nie jest duży. Robi więc niewiele hałasu, ale nagle Bruggers rusza przez krzaki, a Conor, który zeskoczył z gałęzi, ledwo uginając kolana, woła jak najprawdziwszy lúdrmán:

– Do mnie, Rycerze! Mamy jednego!

Dwie kolejne postacie pędzą w dół zbocza za plecami Nessy, żeby dołączyć do przywódcy, więc ona rzuca się do ucieczki w przeciwnym kierunku. *Jeszcze cztery godziny przede mną* – myśli. Cztery godziny utrzymania się na wolności. Jest w tym coraz lepsza: dwa razy lepsza niż sześć miesięcy temu, kiedy złapali ją dwa razy szybciej.

Wpada w krzaki, już nie przejmuje się hałasem, jaki robi, ponieważ rozpaczliwie stara się zwiększyć dystans między sobą a Rycerzami. Potyka się, prawie wpada w wiekowy, wykopany przez człowieka rów, oddycha ciężko i przystaje.

Musi teraz znów poruszać się ciszej. Jest przecież jeszcze sześć innych grup myśliwych, a każda z nich może ją skazać na zimny prysznic. *Ale co będzie, jeśli zamiast tego pojawi się Anto?* „Nie mów nikomu, że mnie złapałeś” – powie mu szeptem...

Ta głupia myśl jest wystarczająco przyjemna, by przyśpieszyć bicie jej serca. *W blasku księżycy to miejsce wygląda magicznie. I dlatego nie miałabym go*

pocałować? – rozlega się szept w jej głowie. *Inni robią to cały czas. I nie tylko to.* Przecież niedługo Nessa umrze. Każdy to wie. Jej biedni rodzice. Jej przyjaciele. Szczególnie tutaj, samotna w ciemności, wreszcie musi uznać tę prawdę.

– Nie! – mówi głośno, a słowo brzmi jak grzmot w cichym lesie.

Popełniła błąd. Zupełnie niespodziewanie z rowu wysuwa się ręka i zakrywa Nessa usta. Dziewczyna podskakuje i jest gotowa do walki, do walki na śmierć. Ale tylko przez chwilę. Zostaje unieruchomiona i to koniec. Ostateczny dowód, jeśli jest jeszcze jakiś potrzebny, że marzenia o miłości mogą zabić.

– Obiecujesz, że nic nie powiesz? – słyszy szept.

Nessa kiwa głową i czuje wielką ulgę. Osoba z grupy polującej nie nakazałaby jej milczenia.

– Megan?

– Chyba ci Crom mózg powykręcał, zdziro, że tak hałasujesz. To zupełnie do ciebie niepodobne! A teraz się zamknij. Mam na ogonie Piskliwą Emmę z Aoife i Nicole, i Lugh wie z kim jeszcze. Może podeślę cię tam, żeby cię złapały, co?

Ale oczywiście Megan nigdy tego nie robi.

– Posłuchaj, musimy spadać z tego rowu, zostawiłam za sobą ślady przez kilkaset metrów.

– Dobra. Koniec rozmów. Ruszamy.

Megan nie jest najbardziej wysportowaną dziewcząt z Piątego Roku ani też nie przykłada się specjalnie do nauki. Ale lubi polowania, a zajęcia z Hickey'em należą do tych nielicznych, na których nie odstaje od reszty. Jednak Nessa odczuwa wewnętrzny opór, widząc, jak przyjaciółka łamie paprocie i rozrzuca za sobą gałązki.

Ale kto to mówi? J a, z moimi wielkimi cholernymi kulami?

Gdy przemierzają się przez las, widzą migające pochodnie tych, którzy przeczesują las w poszukiwaniu śladów, a czasem, z oddali, dobiegają nagłe, podekscytowane nawoływania.

Po dziesięciu minutach wyczerpującego czołgania się pot obu dziewczyn mógłby zasilić rzekę Shannon. Dotarły do jednego ze znanych leśnych szlaków. Mogą tu nadrobić sporo dystansu, praktycznie nie zostawiając śladów. Co najmniej jedna drużyna myśliwych będzie jednak czaić się krzakach gdzieś wzdłuż dwukilometrowej ścieżki.

Megan kładzie rękę na ustach Nessy, a Nessa kiwa głową. Przyjaciółka pójdzie na zwiady. Nessa wskazuje za siebie, w stronę, z której właśnie przyszły, co znaczy, że zamierza sprawdzić, na jakim etapie znajduje się pościg. Obie kiwają głowami i ruszają.

Nessa nie musi iść daleko, żeby dostrzec ciemne postacie czołgające się przez paprocie. Ma serce w gardle, ostrożnie zawraca do drzewa, przy którym rozstała się z przyjaciółką.

Ale nie ma ani śladu Megan. Właściwie śladu niczego, z wyjątkiem niewyraźnego kształtu na ziemi. Nessa czołga się, słysząc szum w uszach. Serce bije jej szybciej niż kiedykolwiek; omdlałe kończyny zaraz odmówią jej posłuszeństwa. Pochyla się nad ciemnym przedmiotem. Potwierdzają się jej najgorsze obawy: to bluza. Bluza Megan. A samej Megan nie ma. Nessa pada na kolana na zimną, moką ściółkę, kręci jej się w głowie. Spokojna część jej umysłu już zaczyna odliczać trzy minuty i cztery sekundy, ale czuje, że w gardle zbiera jej się żółć, której nie może usunąć nagle wyschniętym i napuchłym językiem.

A wtedy Megan wyłania się z lasu i podkrada do niej.

Nessa reaguje całkowicie odruchowo. Uderza przyjaciółkę w twarz. Raz. Mocno. Megan, jak to Megan, odwdzięcza jej się po swojemu, nie hamuje się, więc Nessa aż dzwoni w głowie. Potem padają sobie w objęcia i Nessa wczepia się w nią jak w koło ratunkowe.

– Na Lugh – mówi Megan – pomyślałaś, że zostałam Wezwana? A potem walnęłaś mnie w gębę tak, że prawie zdarłaś mi skórę z twarzy?

– Twoja... twoja bluza.

– Przepraszam. Tak mi przykro. Zdawało mi się, że usłyszałam polujących. Zaczepiłam kapturem o gałąź, więc po prostu zrzuciłam bluzę i wspięłam się na wzgórze.

Ciągle się obejmują i uśmiechają, ale Nessa nadal ma mdłości. Znalezienie bluzy Megan nie tylko okropnie ją wystraszyło. Był to zwiastun nieuchronnej przyszłości. Nessa wie, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa do gwiazdki jedna z nich zostanie Wezwana.

– Słuchaj, Ness – szepcze Megan. W jej głosie nagle pojawia się napięcie. – Odkryłam coś... niesamowitego. Musisz to zobaczyć!

– A co to?

Zamiast odpowiedzi Nessa dostaje światłem pochodni po oczach.

– Dwie? – mówi Aoife. – Ktoś wcześniej złapał dwie naraz?

Na widok mocno obejmujących się dziewcząt Piskliwa Emma, z autentyczną boleścią w głowie, mówi:

– To nie fair, Megan. Ja ci powiedziałam o mnie. Jeszcze zanim przyznałam się mamie!

Obie przyjaciółki wybuchają śmiechem.

Ale w drodze powrotnej do szkoły Megan ciągle nie jest sobą.

– O co chodzi? Co widziałaś na wzgórzu?

– Muszę znaleźć Nabila – odpowiada Megan. – Muszę go natychmiast znaleźć.



Dziewczyna w skale

Emma i Aoife nie pobiły ich dotkliwie, ale mimo wszystko zostały złapane i będą musiały odcierpieć swoje pod prysznicem, a potem zjeść lodowaty posiłek, tak samo bezbarwny jak kucharka, która go przyrządziła. Ale nawet ta wątpliwa przyjemność musi poczekać.

– Najpierw Nabil – upiera się Megan. – Tak trzeba. A ty idziesz ze mną.

Nessa odsuwa myśl o głodzie i pozwala się pociągnąć przyjaciółce. Nigdy wcześniej nie widziała Megan tak poruszonej.

Spotkały Francuza w „koszarach” – szeregu małych, ale wygodnych pokoi zajmowanych przez personel i weteranów. Nabil jest staroświecki i niepokoi się, że miałby przebywać sam na sam w swojej kwaterze z dwiema dziewczynami, więc, ku konsternacji Nessy – a może i jego własnej? – prosi sierżant Taaft, żeby do nich dołączyła.

– Słyszałam, że złapano was razem – mówi na wejście Taaft. – Pomagałaś jej, prawda, Megan?

– Nie, pani sierżant, to ona pomagała mnie.

– A tam nie będzie nikogo, kto będzie pomagał. Dlatego musicie ćwiczyć samodzielne działanie. O to w tym wszystkim chodzi!

Nabil twardo interweniuje:

– Sierżant Taaft, proszę.

Pokój ma wysprzątnany do granic sterylności: łóżko, dywanik modlitewny, biurko. Pustą powierzchnię ścian zakłóca tylko zdjęcie rodzinne. Nawet na półkach nie miał wiele więcej książek, poza lekturami szkolnymi: *Historia Sídhe* Indyczki; podręczniki polowania i Świadectwa ocalałych rok po roku, a także późniejsze tomy w języku wroga, którym płynnie włada. Ale Nabil musi teraz przejść na angielski ze względu na Taaft, a ma z nim trudności, zupełnie jak te stereotypowe postaci żywcem wzięte z filmów wyświetlanych w sobotnie wieczory w sali gimnastycznej.

– Dziewczęta, nie martwię się tym, że współ... współpracujecie. Ale o czym chciałyście powiedzieć?

– O zwłokach, Nabilu – mówi Megan. – Widziałyśmy zwłoki. Chyba

ludzkie.

Nessa otwiera usta, żeby zaprotestować, by powiedzieć, że ona nic nie zauważyła, ale twarde spojrzenie Megan zamyka jej usta. „Chcesz to zobaczyć czy nie?” – wydaje się mówić jej spojrzenie. Od tej pory więc Nessa przytakuje wszystkiemu. A któż nie byłby zaintrygowany, gdy użyte zostaje słowo „chyba” w odniesieniu do ludzkich zwłok?

– Ale tam było coś więcej niż ciało – ciągnie Megan. – Myślę... myślę, że ktoś z nauczycieli powinien iść tam z nami. Może pan Hickey. Pani Breen i pani Sheng.

– Pójdę po lampy łukowe. – Taaft wstaje, już całkowicie opanowana.

Nabil kiwa głową. Drapie się po bliznach na brodzie. Zawsze wygląda na zmęczonego, ale nigdy nie zaniedbuje uprzejmości.

– Megan, idź po panią Breen i innych, których potrzebujesz. Nesso, pójdź do pana Hickey’a, żeby odwołał polowanie, a potem do nas dołączył. I poproś w moim imieniu w kuchni o trochę kanapek. Będziemy musieli się posilić.

Ma rację. Mija godzina, zanim wracają do lasu, zmarznięci i mokrzy, przy akompaniamencie oddechu Hickey’a, tak ciężkiego, że zagłuszał nim wszelką próbę podjęcia rozmowy. Ale Megan potrzebuje zaskakująco mało czasu, żeby znaleźć miejsce, gdzie zeszła ze ścieżki, a kiedy wspinają się na wzgórze, i Nessie okolica wydaje się znajoma.

Byłam tu kiedyś? Za dnia?

Chmury przesłaniają księżyc, ale zaraz na ogromny omszały głaz staje w świetle lamp łukowych i wszyscy równocześnie nabierają tchu.

Na skale leży dziewczyna. Czy też raczej gnijące zwłoki, na widok których kanapki w brzuchu Nessy mają ochotę wyskoczyć na zewnątrz. Ale to tylko połowa ciała, ponieważ od bioder w dół dziewczyna zanurzona jest w kamieniu, a ręce ustawione ma w taki sposób, jakby w chwili śmierci próbowała się z niego wydostać.

– To Aes Sídhé – mówi pani Breen, a Hickey potwierdza. Wciąż dysząc, wskazuje na duże puste oczodoły.

– Musi tu być od niespełna dwóch tygodni. – Spluwa. – Nie widziałem żadnego z tych potworów od dwudziestu lat.

– Jest tutaj dłużej niż dwa tygodnie – mówi pani Sheng, chuda jak szkielet nauczycielka medycyny polowej. – Proszę mi zaufać.

A potem jej głos staje się wyższy o oktawę.

– Ale to jest kurhan! – krzyczy. – Stoimy na szczycie kurhanu!

I wszyscy nauczyciele wpatrują się w ziemię pod stopami, jakby była trująca.

– To jest Wróży Fort? – pyta Megan. – Prawdziwy Wróży Fort?

Ale wszyscy ją ignorują.

– Nabilu – mówi dyrektor Breen – sierżant Taaft. Nie prowadźcie tu żadnych

treningów przez kilka dni. Proszę nie wypuszczać uczniów z boisk, dopóki nie sprowadzimy zespołu z Dublina.

I to wszystko. Obie dziewczyny i nauczyciele szybko wracają do szkoły, nie uzyskując odpowiedzi na pytania. Właściwie Megan upiera się, że to przecież „my znalazłyśmy to coś!”, ale pani Breen odpowiada jej:

– Waszym zadaniem, dziewczyno, jest przetrwać. Dla Narodu. Zróbcie to, a potem, jeśli zdecydujecie, czy chcecie pracować nad czymś głębszym, wróćcie do mnie. Teraz musicie odpocząć.

– Mam spać po tym, co zobaczyłam? Zwłoki Sídhé? Wtopione w skałę?

– Lepiej tak, dziecko. – Dyrektorka ze wszystkich sił stara się zapanować nad drżącym głosem. – Ponieważ trzeba się zatroszczyć o żywych. Idźcie już. I nikomu nie mówcie, co tu widziałyście, albo do końca tygodnia będziecie siedzieć w Klatce.

– Co to było? – Piskliwa Emma chce się dowiedzieć następnego ranka. – Co tam widziałyście?

Dwie dziewczyny z Donegalu przyszły na śniadanie wcześniej i zajęły pusty stół dla siebie, ale Emma nie zrozumiała aluzji.

Megan, zadowolona z zainteresowania, uśmiecha się tajemniczo.

– Pewnie żałujesz, że nas złapałaś, co, Ems? Może wtedy bym ci powiedziała.

– A ty, Królowo Śniegu? Powiesz? – To było do Nessy, która tylko wzrusza ramionami i skupia się na swojej owsiankopodobnej breji w misce.

Megan i Piskliwa Emma są jednak dobrymi przyjaciółkami i kiedy Nessa podnosi wzrok, widzi wymianę porozumiewawczych mrugnięć, która wywołuje uśmiech na twarzy drobniejszej dziewczyny i ucina kolejne pytania. Piskliwa Emma wraca do stołu, gdzie reszta kończy już jeść.

– Mam nadzieję, że nie planujesz jej powiedzieć, Megan Donnelly.

– A dlaczego nie? – Niewinnie różowe policzki Megan wyglądają jak z wiktoriańskiej puszki na ciasteczka. – Ludzie nie mogą się doczekać, żeby z nimi o tym rozmawiać.

– Czekaj nas Klatka, jeśli plotka się rozejdzie. A plotka rozchodzi się zawsze.

– No co? Dobrze znam Klatkę, jak ci wiadomo. Nawet zaczynam to lubić.

Uśmiecha się i ściska dłoń przyjaciółki. Zmienia nawet temat w sposób tak oczywisty, że Nessa nie może się oprzeć, by nie wywrócić oczami.

– No, ale co z tym PWF, Ness? Tuż pod szkołą!

– PWF?

– Pieprzony Wróży Fort. – Megan uśmiecha się ustami pełnymi wyciekającej owsianki. Bez względu na to, jak ohydne jest jedzenie, nie mogą zostawić nawet ociupiny.

– Myślałam, że znaleźli już wszystkie w kraju.

Wszyscy znają fragment z *Księgi podbojów*, ten o Aes Sídhie udających się na wygnanie przez przejście „pod kurhanem”. A na wyspie nie brakuje sztucznych pagórków pasujących do opisu: umocnienia z epoki żelaza, miejsca pochówku z epoki kamienia, średniowieczne zagrody dla bydła. Przez wieki te miejsca zaczęły rodzić legendy o złych i pięknych istotach, które kradły dzieci. Nazwano je Wróżymi Fortami albo po prostu WF.

– Myślałam, że zbadaliśmy je co do jednego – mówi Megan. – Harvey Wielki Cymbał mówił nam tak na zajęciach z archeologii, nie? Wszystkie forty zostały rozkopane i zniszczone i nie znaleźli tam nic oprócz świecidełek i zgniłych kości.

Nessa wzrusza ramionami.

– Musieli się upewnić. Legendy zawierają w sobie wiele prawdy.

– Ale też i bzdur! Na mleczne cycki świętej Danú! Cała ta gadka, że świat Sídhie jest rajem! Wyspy Błogosławione! Kraina wiecznej młodości!

Tak właśnie w tej chwili wyglądał refektarz, kraina młodości, w której coraz więcej i więcej uczniów ustawiało się w kolejce po miski pełne zastygłej papki.

– Wszyscy Sídhie są młodzi, Megan. Wiecznie młodzi, z tego, co wiemy.

– Prawda, Ness. To prawda.

Megan spogląda pożądliwie w dal.

– Ta laska, którą znalazłyśmy, też jest młoda, nie? Na Croma, chciałabym ją zobaczyć jeszcze raz, w świetle dziennym. Prawdziwa Sídhie!

– Nie możemy, Megan.

– Mamy do tego pełne prawo! – Megan uderza ręką w stół. – Szkoła przetrwania ma nas nauczyć wszystkiego o tych mendach. Cała klasa powinna tam pójść, przejść koło tych zwłok i na nie napluć. A nawet ugryźć!

– Megan!

Megan szeroko się uśmiecha.

– Taa, masz rację, Ness. Zdążyła już trochę nadgnić. Pewnie smakuje jak ta śmierdząca owsianka.

Jej słowa uzmysławiają Nessie pewien fakt.

– Czeka! – Łapie przyjaciółkę za rękę. – Tam nie śmierdziało, pamiętasz? Kiedyś znalazłam zdechłą owcę. Tam powinno cuchnąć rozkładem, rozumiesz?

– Dobrze! – mówi Megan. – Ciekawe. Bardzo dobre. To co, idziesz tam ze mną?

– Wiesz doskonale, że nie...

– Skoro ty ze mną nie pójdziesz, Piskliwa Emma zrobi to z radością.

Nessa, wciąż trzymając ją za rękę, wzmacnia uścisk, żeby podkreślić znaczenie swoich słów.

– Posłuchaj mnie teraz, rozumiesz? Jesteśmy na Piątym Roku.

– Phi.

– Nie możemy ryzykować Klatki. Żadna z nas. Ponad połowa klasy zostanie Wezwana i wiesz, że...

Drużyna Conora pojawia się w drzwiach i zmierza do stołów chłopców; na ich twarzach goszczą zdrowe rumieńce po porannej gimnastyce. Zwykle zachowywaliby się hałaśliwie i dumnie, ale dziś zatrzymują się na chwilę za wahadłowymi drzwiami i zamieniają między sobą kilka słów, patrząc na dwie dziewczyny przy stoliku. Wieści już się rozeszły i chłopcy tak samo jak inni chętnie poznaliby sekret. Ale Conor wybucha nagle śmiechem i wskazuje na Nessę.

– Prawie cię wczoraj dopadliśmy, Kuścyczko, ale potrzebowaliśmy prawdziwego wyzwania, nie, chłopaki?

Nessa nie podnosi wzroku znad miski. Drży, ale nie z powodu gniewu; dręczy ją pokusa. Usłyszała, jak Conor i chłopaki nazywają siebie „rycerzami”. Są śmieszni! Jak siedmiolatki z drewnianymi mieczami.

Teraz ma nad nimi przewagę – mogłaby ich upokorzyć swoją wiedzą. Oddech jej przyśpiesza i już otwiera usta. Conor jest dla niej jednak prawdziwym zagrożeniem, dlatego nie ulegnie pokusie tylko po to, by rozkoszować się bezsensownym zwycięstwem. Zamyka usta. Jej samokontrola jest godna podziwu.

Megan tak nie potrafi.

– Hau, hau – woła, żeby przypomnieć Conorowi poprzednią zniewagę. Conor uśmiecha się, udaje, że nie wie, o co chodzi, ale oczy ma zmrużone i Nessa wie, że Megan zapłaci za to szybciej, niż sądzi.



Ciekawość

Mija tydzień, odkąd do lasu poszli specjaliści z Dublina. Byli w średnim wieku i mieli zaciśnięte usta. Alexandra z Szóstego Roku została Wezwana i cudem uciekła. Od czasu Ponzy'ego przeżyła jako pierwsza i w przeciwieństwie do niego nie doznała, jak się wydaje, żadnego uszczerbku na zdrowiu, przynajmniej fizycznym. Wszyscy świętują! I mimo że przez ten tydzień żałobny dzwonek zabrzmiał dwukrotnie, wszystkim przepelnia nadzieja.

Ale Nessa czuje się daleka od radości. Jej jedyna prawdziwa przyjaciółka spędza zbyt wiele czasu w towarzystwie Piskliwej Emmy, obie czają się jak złodziejki i z całą pewnością planują wizytę u dziewczyny w skale. Na pewno! I to teraz, gdy w lesie aż roi się od nauczycieli i badaczy, a Klatka tylko czeka na przyłapanych. Na Kocioł Dagdy, czy całkiem im odbiło? Ale Nessa nie zamierza przeciwstawiać się Megan, więc skupia się na nauce. Trenuje nowe techniki w sali gimnastycznej. Przetrzęsa podręczniki do polowania w poszukiwaniu użytecznych wskazówek, a dobiegające z bliska śmiechy informują ją, że Anto zabawia kolegów opowieściami o „zbyt ciekawskim myszokoczku” lub „pijanym ciotce”.

Nessa używa całej swojej siły, by powstrzymać się od odwrócenia głowy w jego stronę. Tyle że w większości przypadków, kiedy zawodzi ją samokontrola, wcale nie napotyka spojrzenia Anto, tylko Conora.

Nadchodzi piątek, wolny dzień Nabila. Również w ten poranek uczniowie Piątego Roku mają całą bibliotekę dla siebie. Jest to duże pomieszczenie pełne wąskich przejść i zatęchłych regałów. Sporo tu zacisznych kątek, a gdzieś tam w milczeniu toną w kurzu stare komputery; prowadzące donikąd kable sieciowe wciąż tkwią w gniazdkach.

Nessa i tak woli książki. A zwłaszcza niekończące się szeregi tomów Świadectw ocalałych, które z definicji kończą się happy endem. Od przybycia do szkoły zappełniła kilkanaście notatników nieczytelnymi bazgrołami. Wskazówkami dotyczącymi Szaroziami. Strategiami walki z przeróżnymi niebezpieczeństwami, które ją czekają, gdy przyjdzie jej pora. Nadziejami.

Dziś siedzi w swoim ulubionym zaułku ze zniszczonym wydaniem *Księgi podbojów* na stoliku, obok najnowszych Świadectw. Drugie krzesło jest teraz puste,

ale leżą tu długopis i notes Megan. Jak to u niej, otwarty jest na prawie pustej stronie ze szczątkowymi notatkami po angielsku. Uwagi nie mają większego sensu: „Chwyć za kostkę”. I: „Trzymaj się prawej strony”.

Nie po raz pierwszy Nessa traci cenne minuty na zamartwianie się o przyjaciółkę. Na dodatek postępuje głupio, dopuszczając do tego, by niepokój narastał. To normalne, że młoda osoba wyobraża sobie śmierć współtowarzyszy zawsze, kiedy ci się rozpraszają. Kiedy, jak Megan teraz, spędzają za dużo czasu w łazience. To bezcelowe i Nessa z powrotem skupia się na rozłożonej przed sobą książce, całą uwagę kierując na historię Rose Smyth, która dźgnęła księcia Sídhe w twarz zaostrzoną kością. Nessę najbardziej interesuje jednak fakt, że Rose, jako jedna z nielicznych ocalałych, doświadczyła w Szaroziemii fenomenu „okien”. Ale rozproszenie znów bierze górę, ponieważ gdy ona czyta kolejne linijki, Megan nadal nie wraca.

Wstaje z westchnieniem. Pewnie będzie tak jak ostatnim razem, kiedy zapukała do drzwi kabiny tylko po to, żeby usłyszeć odpowiedź Megan:

– Co? Zamierzasz włożyć tu rękę i wyszarpnąć mi tego klocka osobiście? Przysięgam, że po tej lazanii to prawie jak poród...

Ale Nessa wstaje i tak, idzie wysokim korytarzem między regałami, a potem wąskim przejściem przedostaje się do działu archeologicznego i do okna, które wychodzi na dziewczęcą łazienkę. I tam dostrzega przyjaciółkę, a raczej jej plecy, ponieważ z biblioteki rozciąga się widok na jezioro i ścieżkę do lasu, a Megan pośpiesznie oddała się nią razem z Piskliwą Emmą i inną dziewczyną z burzą jasnych włosów. Pewnie Aoife.

Nessa obserwuje, jak znikają, a w gardle czuje lekki skurcz zazdrości. *Możesz iść z nimi* – myśli, opierając czoło o chłodną tafłę szyby, a jej oddech pokrywa szkło parą. Lepiej będzie jednak wrócić do nauki. Musi przebrnąć przez więcej Świadectw. Wyznaczyła sobie jako cel pięć dziennie, ale w dzień biblioteczny może spokojnie przeczytać dwa razy więcej i jeszcze znaleźć chwilę na jeden czy dwa wiersze.

Dziewczyny znikają między drzewami, a Nessa już ma zawrócić do biblioteki, kiedy widzi, że tą samą ścieżką idzie inna grupa. Rycerze. Czy raczej kilkoro z nich: Conor, Liz Sweeney i Chuckwu. Poruszają się z jeszcze większą ostrożnością niż dziewczyny przed nimi i Nessa od razu się orientuje, że je śledzą. I na pewno nie mają szlachetnych zamiarów! Conor chce w końcu zemścić się na Megan za szyderstwa o psach.

Nie wtrącaj się. Jak sobie pościeliła, tak się wyśpi...

Ale to tylko odzywa się zazdrość i Nessa już kieruje się do tylnego wyjścia, skąd na zewnątrz prowadzą rzadko używane schody.

– Będziesz potrzebowała pomocy.

Aż podskakuje na ten szept. To tylko Anto. Nieznacznie góruje nad nią

wzrostem, ale jest równie smukły i dobrze zbudowany co inni chłopcy, pomimo dziwacznej diety.

– Skąd wiesz, co zamierzam zrobić?

– Och. – Uśmiecha się, bez żenady pokazując lukę po zębie, który stracił w zeszłym roku. – Nikt nigdy nie wie, co zamierzasz, Nesso. O to właśnie chodzi, prawda? Ale Megan... to inna historia. Idzie do tego czegoś, co odkryłyście we dwie w noc polowania. A wielkie galopujące stado Rycerzy sławetnego Okrągłego Stołu również chce to coś zobaczyć.

Walczy, walczy, by nie ulec jego magicznemu uśmiechowi. Zatem Anto również wie o „rycerzach”?

Może naprawdę przyda jej się pomoc Anto. Sama nie wie jeszcze, co planuje, ani też czy jest się czym martwić. Przecież Conor być może chce tylko poznać sekret na własną rękę. Ale Nessa w to wątpi. Megan jest mu coś winna, a Conor wie, że dziewczyna nie zamelduje o niczym nauczycielom, nawet jeśli wróci ze złamaną ręką, albo gorzej. W tej szkole donosiciele nie mają racji bytu.

– Chodź – mówi Nessa i odwraca się, żeby ukryć rumieniec.

W bibliotece są inni uczniowie, ale pełne regały pomagają im wyjść niepostrzeżenie.

Trzeci tydzień października przyniósł lodowaty wschodni wiatr, który sprawia, że tęsknią za kurtkami, a przede wszystkim za butami. Rankiem na trawie pokazał się szron, a wszędzie pełno jest wilgotnych i śliskich liści.

Anto nie zwraca uwagi na niewygody i pada na kolana, zbliżając twarz do ziemi.

– Nie musimy ich tropić – mówi Nessa. – Wiem, dokąd idą, pamiętasz?

– Wiesz, gdzie jest ich cel – poprawia ją. – Ale będą unikać nauczycieli i wszystkich innych, którzy mają nie dopuszczać nas do lasu.

– Punkt dla ciebie – stwierdza i czuje się głupio. Zostawia go, a sama wybiera sobie gałęzie na kule i niemal bez hałasu wyłamuje je silnymi rękami, nad którymi tak ciężko pracowała.

– Zawsze się zastanawiam – mówi Anto – dlaczego nie zrobisz sobie takich na stałe?

– Dla zasady – mówi, obrywając gałązki i zbędne kikuty. – Tak jak w szkole zabraniają nam nosić butów, ponieważ nie będziemy ich mieć, kiedy zostaniemy Wezwani.

Anto kiwa głową. Widział, jak uczyła się poruszać na własnoręcznie zrobionych kulach. A coraz sprawniejsze ich wykonywanie również bardzo jej się przydaje, ponieważ teraz w dwie minuty ma gotową parę kul: dwie giętkie, ale mocne jesionowe kije, które instynktownie dobrała tak, by wytrzymały jej ciężar.

– Poszli tędy – mówi Anto.

– Rycerze czy dziewczyny?

– Jedni i drudzy, z tego, co widzę.

Przez jakiś czas nie powiedzą nic więcej. Znają zarówno rolę myśliwego, jak i ofiary. Mogą porozumiewać się za pomocą różnych sygnałów i znaków, ale teraz, na Piątym Roku, są tak wytrenowani, że nawet i to nie jest im potrzebne.

Za dnia o tej porze roku, nawet przy tak nędznej osłonie i nieuważnych ofiarach, nie muszą wcale zwalniać. Żadna z grup nie wie, że ktoś za nimi idzie, ale Nessa również nie może się pozbyć wrażenia, że ktoś ją tropi. Tyle samo czasu poświęca na patrzenie naprzód i na oglądanie się za siebie. A co, jeśli gdzieś tu jest Taaft i wszystkich ich wyłapie? Ale nie. To nie byłoby w jej stylu. Po cóż miałyby się za nimi skradać, skoro już obecność tutaj wystarczyłaby, żeby wysłać ich do Klatki?

Ale im bardziej zagłębiają się w las, tym silniejsze dreszcze odczuwa Nessa. Anto zapewne też. Trzyma kurczowo krzyżyk od matki, aż bieleje mu kciuk.

Na Croma! – myśli Nessa. *Jaki on jest kochany. Nawet chód ma uroczy, harmonijny, a kroki stawia tak lekko, że nie porusza leżących liści.*

Dobrze wykorzystują swój czas i świetnie im idzie praca w zespole. Chociaż Nessa – nie może sobie tego podarować – popisuje się umiejętnościami, które nie są niezbędne przy tej akcji. W pewnym momencie, ryzykując złamaniem kuli i skręceniem kostki, przeskakuje nad powalonym drzewem, na które Anto musi się wdrapać. Zachowuje spokój, kiedy na niego czeka, i udaje, że bada ślad w błocie po drugiej stronie.

Uśmiecha się szeroko, gdy chłopak ją dogania. Anto odgrywa rękami pantomimę przedstawiającą jej lot i unosi brwi w uznaniu dla wyczynu. Stoi tak blisko, że Nessa prawie czuje ciepło jego skóry. Chce odciągnąć go na prawo, i zrobiłaby to, gdyby nie dziwne wrażenie, że nie są sami. Każdy włoszek na jej ciele stoi dęba.

Skup się, mówi do siebie. *Skup*. Musi teraz się zastanowić, co dziewczyna o kulach i pacyfista mogą zrobić, żeby powstrzymać osobników w rodzaju Conora. I musi to wymyślić bardzo szybko, ponieważ przed nimi słychać krzyk, krzyk Megan:

– Och, na Croma! Uważajcie!



Wróży Fort

– To będzie coś niezwykłego – orzeka Megan. Czuje się, jakby rzucała grochem o ścianę, więc zaczyna się wkurzać. Wystarczy popatrzeć, jak te dwie trzymają się za ręce! Aoife nie bardzo obchodzi cud, jaki ma zobaczyć. Kiedy jest przy niej Emma, z jej szerokiej chłopskiej twarzy nigdy nie schodzi uśmiech.

– Za chwilę zaintonuje cholerną pieśń triumfalną – mamrocze Megan.

– Co? – pyta Emma.

– Powiedziałam, że musimy iść dalej. Jest zbyt spokojnie.

Niech sobie będą zachwycone swoim towarzystwem, skoro tak lubią – myśli. Ale to, na Croma, cholernie niegrzeczne, kiedy są tu we trzy, razem, a w dodatku to ona robi im przysługę! I co na to powie Nessa? Wzór wszelkich cnót tkwiący w bibliotece? Pogniewa się? Nie ma co tego roztrząsać, myśli Megan, ponieważ lojalna do grobowej deski Nessa zapewni jej najlepsze alibi bez najmniejszego mrugnięcia okiem i z niewzruszonym wyrazem twarzy.

– Co to znaczy, że jest zbyt spokojnie? – pyta Emma. Dziewczyna wygląda dziwnie nieswojo. Megan nie jest pewna, czy kiedykolwiek widziała ją tak spoconą po równie niewielkim wysiłku.

– Powinni rozkopywać wzgórze. Pilnować, żebyśmy się nie zbliżyli, nauczyciele i inni.

– Mają przerwę na herbatę – mówi Aoife. – Codziennie o tej porze. Obserwowałyśmy ich.

Chyba chciałaś powiedzieć, że ja obserwowałam!

Szczerze mówiąc, to Emma zauważyła ten rytuał. Za to Aoife pociągnie je w dół. O tak, przecież to taka życzliwa dusza. Ma najszerszy uśmiech ze wszystkich dziewcząt w internacie. Rozdaje słynne ciastka, każde wypieszczone przez nawiedzoną polską staruszkę. Ale gdyby tylko miała taką okazję, mogłaby spać dwadzieścia cztery godziny na dobę, i w dodatku nie wykazuje się większą inicjatywą od jednego z tych suchych patyków w lesie. Tylko Emma trzyma ją na tym świecie.

Przyczały się pod spływającymi gałęziami zimozielonych drzew. Ziemia jest tu sucha, a gałęzie osłaniają przed wiatrem i nauczycielami, na wypadek, gdyby jacyś się tu kręcili. Niecałe dwadzieścia metrów przed nimi ziemia gwałtownie wznosi się do miejsca uznanego obecnie za Wróży Fort.

– Na szczęście nie puścili tu psów – mówi Emma. Jej głos brzmi ochryple. Ścisła rękę Aoife tak mocno, że prawie ją miażdży.

– To dlatego, że biedakom padło na mózgi – odzywa się Aoife. – Pamiętacie pierwszą noc? Ależ narobiły rabanu! Nie mogli tu teraz wypuścić psów. Obcy, choćby nawet był zwłokami Sídhé, doprowadziliby je do szału.

Megan zerka na mechaniczny zegarek dziadka.

– Zostało nam dziesięć minut do końca przerwy – informuje. – Teraz albo nigdy.

Ale nie bardzo ma ochotę opuścić schronienie pod drzewami i jest to do niej zupełnie niepodobne. *Ktoś tam jest*, myśli. Ale nie ma nawet pewności, gdzie jest to „tam”. To tylko przeczucie.

Wyczołguje się spod gałęzi i słyszy, że Aoife podąża jej śladem, ale nie słyszy Emmy. Nikt nie słyszy Emmy, jeśli ona nie chce być słyszana. A jednak musi tam być, inaczej Aoife wcale nie ruszyłaby się z kryjówki.

Megan porusza się na czworakach od drzewa do drzewa i żałuje, że liście tak bardzo pod nią szeleszczą, a jej głośny oddech brzmi w nocnej ciszy jak alarm przeciwpożarowy. Ale czuje, jak uśmiech wstępuje jej na twarz. *Uwielbiam być zła!* – myśli. *Na włochate cycki Danú, uwielbiam to!*

Wspina się na zbocze, a chwilę później ich oczom ukazuje się dziewczyna w skale. Megan z trudem tłumi okrzyk zachwytu, ponieważ widok jest o wiele, wiele lepszy, niż się spodziewała.

Badacze nie przypominają dawnych archeologów, którym pasja naukowa kazała ślęczeć tygodniami i pracownicy omiatać miotełką z kurzu każdy zatęchły kawałek ceramiki. Ci goście przybyli z Dublina jako element maszyny wojennej. Wiele istnień – przyszłość całego Narodu – zależy być może od ich szybkości i sprawności. Dlatego bez wahania rozkuli cały głaz, z którego uwolnić się chciała kobieta Sídhé. Teraz widoczne jest też ciało dziewczyny od bioder w dół i przedstawia się ono nadzwyczajnie z dwóch powodów. Po pierwsze, skała całkowicie zapobiegła rozkładowi zwłok. Jej złociście cętkowana skóra jest naga i doskonale widoczna. Cóż za niezwykły gatunek, tylko że... tylko że...

– Jest skurczona! – stwierdza Aoife, zdyszana, albo po biegu, albo z powodu niesamowitego widoku, jaki stanowi ciało Sídhé.

Dolna część jej zwłok jest o wiele mniejsza, nieproporcjonalna. Im dalej w dół, tym bardziej się kurczy: ma pośladki dziesięcioletniego dziecka, kolana niemowlęcia, łydki noworodka, a stopy nie przekraczają wielkości kciuka Megan, podczas gdy palców nóg w ogóle nie widać.

– Nie podoba mi się to – szepcze Emma.

Mówi z lekkim akcentem z Galway, szczególnie słyszalnym, kiedy się boi. Przez ostatnie kilka minut akcent stał się tak silny, że w połączeniu ze spółgłoskami wszystkie „o” brzmią jak „a”, a „s” jak „sz”. Jej wąskie ramiona

drżą na wietrze.

– Ktoś tu jest – mówi. – Ja... ja to czuję. Tutaj zdecydowanie ktoś jest.



Sławetny szturm Rycerzy

Conor uśmiecha się szeroko. Ma u boku dwóch najlepszych rycerzy i wszyscy ukrywają się pod tym samym drzewem co przed chwilą tropiona przez nich trójka. Czyż nie ma lepszego dowodu ich słabości niż to, że nawet nie obejrzały się, żeby sprawdzić, czy nikt za nimi nie idzie?

Dziewczyny wspięły się na stok razem. Megan, Piskliwa Emma i niezdatna do niczego Aoife. *Wszystkie trzy to strata środków* – myśli. No, może z wyjątkiem Emmy, która ma diabelne szczęście.

Chuckwu leży na brzuchu i jak zwykle coś żuje, lepiej nie wiedzieć co. Liz Sweeney czeka po jego prawej i właśnie łamie dyscyplinę, szepcząc:

– W nosie z głupią tajemnicą. Trzeba po prostu je skopać, póki mamy szansę.

Conor rozważa jej propozycję. Nie odnajduje specjalnej przyjemności w okrucieństwie, no i w sumie tylko Megan jest winna. Ale może nie byłoby to takie złe, przyzwyczaić wojsko do zapachu krwi.

– Powinniśmy zawrócić – mówi Chuckwu.

Conor prawie się dławi.

– O czym ty mówisz?

Chłopak jako jeden z nielicznych w szkole ma naprawdę ciemną skórę, ale otwarte usta i gwałtowne mruganie powiekami świadczy o tym, że odczuwa mdłości, jakby kolejne przełknięcie śliny mogło skończyć się wymiotami.

– Chuckers, ty się boisz?

Odpowiedź brzmi: tak. Jest wypisana na całym ciele chłopaka.

– Nie... nie tych trzech... Na Lugh, nie! Ale nie czujecie tego?

Tak się składa, że Conor czuje. Nie tak mocno jak Chuckwu, a wcześniej Piskliwa Emma czy Anto znajdujący się jeszcze dwieście kroków w tyle. Ale czuje

to. Cokolwiek to jest. Nieprzyjemne mrowienie. Presję.

To wyzwanie – myśli sobie. Wyzwanie dla jego autorytetu, dla wspaniałej przyszłości. Decyduje się je podjąć.

– Podoba mi się pomysł Sweeney – mówi. – Podbiegniemy tam i każde z nas weźmie jedną. Skopać, ale nie wyrządzać trwałych szkód, rozumiecie? Patrzę na ciebie, Liz Sweeney! Wiem, że Emma wykiwała cię kiedyś na polowaniu. Ale nie wolno nam zrobić nic poważnego, co zaszkodziłoby im podczas Wezwania. Zginą i tak, ale wina za to nie może spaść na nas.

Potwierdzają kiwnięciem, a Liz Sweeney, czerwona na twarzy z powodu reprimendy, pyta:

– A co z tą tajemnicą? Musimy sprawdzić, co przed nami ukrywają.

– Przekonamy się, kiedy tylko wejdziemy na wzgórze, jestem tego pewny. Ale bez względu na to, co to jest, przyjrzymy się tej sensacji dopiero po udzieleniu nauki tym, którzy na nią zasłużyli. Zrozumiano? Brak koncentracji zabił tysiące osób w Szaroziem. Skupcie się na zadaniu.

Mówi stanowczo, jak przystało na dowódcę. Conor upewnia się, że oboje towarzysze kiwają głowami na zgodę, chociaż Chuckwu wygląda nieszczęśliwie jak nigdy.

Wyczołgują się spod drzewa i jak najlepsi sportowcy wbiegają w milczeniu po liściach w górę zbocza. Dziewczyny stoją do nich plecami, ale Megan w samą porę zerka w tył, by krzyknąć ostrzegawczo, głośniejsz, niż powinna:

– Och, na Croma! Uważajcie!

Wystraszona grupka ofiar rozpierzcha się za głaz i stos sprzętu.

Liz Sweeney nurkuje za Emmą, ale zahacza stopą o kabel rozciągnięty między wiertarką a małym generatorem. Upada. Nie widać nigdzie Chuckwu ani Aoife, a Megan nie ma czasu martwić się o nich, ponieważ Conor naciera na nią z pięściami jak lokomotywa.

Megan potyka się o coś – nie ma pojęcia o co – ale jest już na przeciwległym zboczu kurhanu, turla się w dół po paprociach i zatrzymuje przy każdym kamieniu na tyle długo, by poznać je swoją krwią.

Kompletnie ogłuszona zatrzymuje się na rozłupanym przez piorun pniu. Jest jednak doskonale wyszkolona i bez zwłoki zrywa się ponownie na równe nogi. I w tym momencie zjawia się Conor, który zbiega za nią po stoku. Próbował hamować, kiedy ona zatrzymała się na jesionie, ale siła rozpędu niesie go o kilkanaście kroków za daleko. Wówczas Megan otrząsa się z szoku i ucieka wzdłuż podnóża kurhanu w stronę szkoły. Przyjaciółki będą musiały poradzić sobie same. Nikt nie zaprzeczy, że to Conor zagrażał jej najbardziej ze wszystkich uczniów Piątego Roku i długo czekał na tę sposobność...

Conor walnąłby sam siebie, gdyby mógł. Pozwolił, żeby emocje wzięły nad

nim górę i pognął w dół jak szarżujący byk, podczas gdy ofiara elegancko wywinęła się spod jego młócających pięści. Ale złapał się gałęzi i rzucił w pogoń za Megan.

Prawda jest taka: Conor należy do najszybszych biegaczy na roku, a Megan nie. Jest najlepszym bokserem w całej szkole; naturalnym przywódcą; doskonałym myśliwym. Ona mogłaby o tym wszystkim tylko pomarzyć.

Megan ma nad nim tylko jakieś pięćdziesiąt metrów przewagi i nawet jeśli Conor musiał wcześniej pokonać wzgórze, by dotrzeć do tej dziwnej postaci w skale, czy czymkolwiek, do diabła, to było, nie ma po prostu takiej możliwości, żeby dziewczyna umknęła przyszłemu królowi.

Jedynym talentem Megan jest wyszczekana gęba i sama myśl o tym, jak bełkocze ze strachu i zalewa się krwią, napełnia go zadowoleniem.

Wkrótce Conor zmniejsza dystans do dwudziestu metrów. Mijają drzewo, pod którym wcześniej ukrywały się obie grupy. *Dobrze biegnie*, zauważa. Nie traci energii na panikę; nie rzuca za siebie bezsensownych spojrzeń. Wszystko może się zdarzyć. Jeśli Conor się potknie, jeśli skręci kostkę, Megan dopadnie ścieżki na czas i umknie przez lukę na boiska, skąd słychać wysokie głosy Pierwszorocznych.

Ale on też jest zbyt dobrze wyszkolony, żeby teraz zawieść. Część uwagi zawsze skupia na terenie przed sobą. Omija stopy śliskich liści, ostre skały i złamane gałęzie. Dwadzieścia metrów, potem piętnaście, potem pięć...

A potem, z lewej strony, wyłania się Nessa. Nessa! Nigdy dotąd nie poruszała się szybciej na tych swoich prowizorycznych kulach. Są jak długie, długie nogi i dają jej – przy ogromnym wysiłku! – krok giganta. Nikt nie wytrzyma takiego wyścigu długo, używając tylko rąk, ale Nessa już nie musi.

Conor obserwuje ją, jak ląduje na wzniesieniu po jego lewej stronie, łapie równowagę na słabych nogach i odbija się na kulach. Potem leci w stronę Conora, nogami do przodu, jak ludzka strzała. Kule się połamały, ale nie ma to znaczenia. Ból eksploduje w brzuchu i biodrach Conora. Potem głową odbija się od pnia drzewa i pada na ziemię.

Mija wieczność.

– Czy on... Zabiłaś go, Ness?

Obie pochylają się nad chłopakiem.

– Nic mu nie będzie – mówi Kuścyczka. – Musimy stąd spadać. Znajdźmy tylko Anto. Jest gdzieś tutaj...

– Jesteś pewna, że z Conorem wszystko w porządku?

Nessa musi potwierdzić to skinieniem, gdyż Megan wzdycha, a potem pluje – ona naprawdę pluje na Conora! Ślina pada mu na twarz i chłopak siada, obolały, wściekły. Ależ wszystko go boli.

– Tylko spokojnie, wielkoludzie – mówi Megan – albo poczujesz ten kamień na twarzy.

W oddali słyhać krzyk Aoife i Conor myśli, że przynajmniej Chuckwu wykonał zadanie jak należy.

Ale nie, wcale nie o to chodzi.



Emma

Emma nigdy nie daje się złapać podczas cotygodniowych polowań. Umiejętność ukrywania się jest jej dumą i radością, do tego stopnia, że to nią szczyli się w pierwszej kolejności, kiedy późno w nocy wślizguje się do łóżka Aoife.

- Nigdy mnie nie złapią – szepcze. Na co Aoife nieodmiennie odpowiada:
- Ale teraz jesteś w mojej pułapce!

Odpowiada, o ile nie śpi. W przeciwnym razie powitanie jest o wiele mniej uwodzicielskie i składa się wyłącznie z przekleństw.

Już nigdy się nie pocałują.

Nie każdy, kto zjawia się w Szaroziem, ma szczęście znaleźć się tam w samotności. Piskliwa Emma pojawia się naga przed grupą Sídhé, która zasiada przed nią niczym komisja kwalifikacyjna. Emma gwałtownie łapie powietrze i powoli się cofa. A wtedy okazuje się, że są inni, tuż za nią, że stoi w ich kręgu.

Potem księżniczka, najpiękniejsza dziewczyna, jaką Emma kiedykolwiek widziała, ze skórą błyszczącą w srebrzystym świetle, o nienaturalnie wielkich oczach, podnosi się, robi krok do przodu i wypełnia lukę między nimi.

– Proszę... – mówi Emma. Każdy centymetr jej ciała pokrywa gęsia skórka i wszystkie włoski stoją jej dęba. Księżniczka kładzie rękę nad lewą piersią Emmy.

– Och, to serce! – wykrzykuje Sídhé. – Jak szybko bije! Cudowne serce!

– Proszę...

– Muszę skosztować sama.

I palce zagłębiają się w pierś Emmy jak w miękki ser.

Mija wiele, wiele czasu, zanim z nią kończą.



Anto i Chuckwu

Anto zauważa, że Nessa rusza w sekundę po tym, jak dostrzega Megan uciekającą między drzewami. Dzięki supermocy zapewnianej przez kule zdąża w samą porę, aby odciągnąć Conora od ofiary. Kosztuje ją to jednak wiele sił, dlatego kłopoty się nie kończą.

Wszyscy w szkole myślą, że Anto jest pacyfistą i w pewnym sensie mają rację: nie jada zwierząt, które nie próbują jeść jego. I prędzej zniesie pobicie, niż zniży się do poziomu oprawców.

Ale jeśli przez Conora Nessa spadnie z głowy choćby jeden włos, wszystko może się zdarzyć. Rusza więc za nią, las rozmywa mu się przed oczami. Widzi, jak Nessa kołysze się na kulach u szczytu pagórka...

I wtedy Nessa znika! Anto krzyczy, pewny, że została Wezwana.

Ale to nie ona, nie Nessa. Cały świat wokół niego rozplywa się w szarość, srebrzystość i czerń. Powietrze staje się tak ostre, że parzy go w gardło. Wdziera się mu aż do brzucha i tam się zatrzymuje, jak skażona ręka, która leniwie miesza w resztkach śniadania.

Z łzawiącymi oczami, nagi, pada na kolana. No jak to tak?

Przed nim, w miejscu, gdzie przed chwilą znajdowała się Nessa, rysuje się szczyt wzgórza porośniętego ostrotrawą i młodymi krzewami pajęczymi, walczącymi o życie w jałowej glebie między porzucanymi kamieniami.

Zaczyna biec. Sídhé zawsze wiedzą, kiedy mają gości i gdzie się oni pojawiają. Komitet powitalny zjawi się lada chwila i jeśli Anto chce jeszcze kiedyś zobaczyć Nessę, musi uciekać. Ale dokąd?

I wtedy słyszy krzyk – bez wątpienia ludzki – za znajdującym się przed nim wzgórzem. Może to podstęp, ale Anto i tak musi sprawdzić, więc wspina się na grzbiet, gdzie czeka na niego zdumiewający widok. Stok po drugiej stronie pokrywają potrzaskane pnie drzew – Crom jeden wie, skąd się tu wzięły – a trochę dalej Chuckwu wymachuje gałęzią i walczy o życie, rozpaczliwie, daremnie, z tuzinem śmiejących się Sídhé.

Tańczą dookoła niego, odskakują przed jego atakami, przykucają pod gałęzią, żeby potem radośnie zerwać się na nogi, aż furkoczą za nimi szare

pajęczyny ich strojów.

Anto nie waha się, nie czuje nawet strachu. To wszystko nadal wydaje mu się snem. Łapie długą nadgniłą gałąź i, trzymając ją przy brzuchu, przypuszcza atak z góry. Słysząc trzask pękających kości i Sídhé rozpierzchają się we wszystkich kierunkach. Przemoc powinna go brzydzić, ale kiedy Anto rzuca broń i biegnie dalej w dół, mijając uciekających wrogów, wydaje okrzyk euforii.

Tak jak przypuszczał, Chuckwu rusza za nim, ale Sídhé na szczęście nie. Anto rzuca okiem przez ramię i widzi, że skłębieni podekscytowani napastnicy potrzebują chwili, żeby się pozbierać.

Chłopcy biegną. W dół zbiega, ciągle w dół. Jeszcze nie wiedzą, jak fatalna to decyzja, ale kto ma czas na namysł pośród cudów i strachów Szaroziemi?

Mijają bagno, gdzie bańki wielkości ludzkiej głowy pękają z trzaskiem, wołając przy tym o pomoc w różnych językach. Widzą powykręcane stworzenia, niegdyś mężczyźni i kobiety, polujące na siebie nawzajem w sięgającym kostek lasku; piją ze strumyków, w których płynie woda o smaku łez, a każdy łyk na kilka uderzeń nasycza serce smutkiem.

Gdy wydaje się, że zgubili pościg, Chuckwu kładzie Anto rękę na ramieniu i mówi:

– Dziękuję.

Anto kiwa głową.

– Zrobiłbyś to samo dla mnie.

– Nie zrobiłbym.

To wyznanie sprawia, że obaj czują się niezręcznie, ale prawda jest zawsze ważna dla Chuckwu. Jest o pół głowy wyższy od Anto i prawie tak dobrze zbudowany jak Conor. Wykazuje się większą wytrzymałością niż reszta uczniów Piątego Roku i patrząc na niego teraz, Anto myśli: *Nawet nie ma zadyszki.*

– No a teraz? Po tym, co przeszliśmy?

– Przykro mi. – Chuckwu wzrusza ramionami. – Nie jestem taki odważny. Najpierw zadbam o siebie i będzie uczciwie, jak dowiesz się o tym od razu.

Zapada krępująca cisza.

Pierwszy przerywa ją Anto.

– Jesteś odważniejszy, niż myślisz. Walczyłeś sam, mając przeciwko sobie kilkunastu wrogów! I nieźle im dopieprzyłeś.

– Nie, wcale nie. – Ale Chuckwu nieśmiało się uśmiecha. – Oni nawet nie próbowali walczyć. Tylko, wiesz, tańczyli dookoła, tak jak w zabawie z Pierwszorocznym, wiesz, zabierasz mu książkę i trzymasz się na odległość.

Idą teraz już nie przy strumieniu, lecz przez las pełen dziwnych, przerażających odgłosów, przedzierając się przez oślizgłe pierzaste liście, które owijają im się dookoła kostek.

– Byłem zaskoczony, gdy zobaczyłem cię na tym wzgórzu, jak lecisz do

mnie, Anto. Czy walka, no nie wiem, czy to nie jest wbrew twoim zasadom, czy jak to nazwać? To znaczy, nieźle dajesz przy pojedynkach na sali. Ale ja normalnie słyszałem, jak im pękają karki!

Anto również to słyszał i poczuł, że robi mu się niedobrze.

– Zawsze będę walczył za przyjaciół. Zawsze.

– Ale my nie jesteśmy przyjaciółmi, no nie, Anto?

– Oczywiście, że jesteśmy, Chuckwu! Musimy być, inaczej bym ci nie pomógł.

Chuckwu śmieje się, nie może się powstrzymać i przez ten moment, spod zsuniętej maski, Anto dostrzega dzieciaka, który przyjechał do szkoły pięć lat temu, ściskając pluszowego misia. Rozstał się z maskotką dopiero po dwóch latach szukan.

– Sídhé nigdy się nie poddają – mówi Chuckwu. – I znają to miejsce lepiej niż my. Więc gdzie teraz są?

– Gdzieś przed nami – zgaduje Anto.

– Jasne, na pewno są przed nami. I za nami chyba też. Jak długo tu jesteśmy? Z godzinę?

Anto odczuwa zimno. Nie jest to zwykły chłód Szarozemi. Ich próba dopiero się rozpoczęła. Jeszcze cały dzień walki przed nimi. Kilkanaście srebrzystych spirali powoli obraca się na niebie. Tutaj nie ma dnia ani nocy, ale w niektórych książkach pisano, że upływ czasu da się oszacować na podstawie prędkości przemieszczania spirali i ich położenia na niebie. Może.

– No to tak – mówi teraz Chuckwu. – Powiedziałem, co prawda, że nie będę za ciebie walczył, ale nie ma powodu, żebyśmy nie mogli współpracować. Kiedy zastawią pułapkę, ty biegniesz na lewo, ja na prawo. Bez względu na to, gdzie jesteśmy. W lewo i w prawo. Ile pary w nogach.

– Chyba że przyjdą z lewej. Lub z prawej.

– Prawda. Prawda. Może więc powinniśmy się od razu rozdzielić, co? Anto?

Może powinni, ale jest już na to za późno. Kilkunastu Sídhé nadbiega ze strony, z której chłopcy przyszli, co zmusza ich do biegu przed siebie, w dół, zawsze, zawsze w dół. Biegną, jak im się zdaje, przez kilka godzin. Może rzeczywiście tak jest. Są poobijani, krwawią od ostrotrawy i atakujących ich z powietrza jak bombowce ludzików wielkości gołębi. Kilkanaście razy natknęli się na najbardziej koszarne widoki, jakie można sobie wyobrazić, nawet po latach czytania Świadectw. Powietrze rozrywa im płuca i piecze w oczy. Ale Sídhé nie zbliżają się do nich.

– Będą musieli zaraz coś dla nas wymyślić – stwierdza Chuckwu.

Anto nie musi pytać dlaczego. Wróg będzie chciał się trochę „pobawić” chłopcami, zanim ich zabije. Przez chwilę zastanawia się, czy nie powinni zawrócić i spróbować przedrzeć się przez grupę tropiących ich myśliwych, ale

strzały zmuszają ich do parcia naprzód, na coś, co wygląda jak brukowana ścieżka.

Prowadzi ona do bardzo wąskiej doliny o niezwykle stromych zboczach ograniczających ją z obu stron. Jest jednak na tyle szeroka, że chłopcy swobodnie biegną obok siebie, szybciej od leniwie poruszających się myśliwych, więc wydaje im się, że znów ich zgubili.

Ale dopiero gdy docierają do samego środka doliny, uświadamiają sobie, że są sami. Zwalniają, w końcu całkiem się zatrzymują. Anto pochyla się, oddycha ciężko, a pot chłodzi jego ciało, lecz Chuckwu patrzy w górę, na strome zbocza po obu stronach.

– Słyszysz to? – pyta.

Anto wstrzymuje oddech, nadstawia uszu i tak, słyszy. Chichot. Przygląda się błotnistym stokom doliny. Tylko jakieś sto kroków wspinaczki dzieli ich od krawędzi, gdzie znajdują się głazy i drzewa. Jednak zbocza są bardzo gładkie, bez punktów zaczepienia. Ale to teraz nieważne, ponieważ chłopcy właśnie dochodzą do wniosku, że Síðhe przez cały czas chcieli ich tutaj zagnać. To tutaj mają umrzeć.

Ścieżka biegnie dalej doliną i wydaje się, że droga jest wolna.

– Powinniśmy tam pobiec – mówi Anto, chociaż nie ma już siły.

Chuckwu stanowczo potrząsa głową.

– Musimy w górę. Oni czekają na nas na dole. Cały komitet powitalny jest...

– Uważaj!

Z góry leci gład i spada na ścieżkę dokładnie w miejscu, gdzie stali chłopcy, zanim odskoczyli. Odbija się od podłoża, uderza w ścianę dziesięć kroków dalej i spada znowu. Chłopcy nie mają chwili oddechu, ponieważ ze wszystkich stron nadlatują kolejne kamienie. Gigantyczne kule bilardowe rozbijają się o siebie, a odłamki ranią i rozdzierają im skórę.

Leci kamień dla Chuckwu – wielki prawie jak jego głowa, ale chłopak ratuje się, nurkując za gruzowisko usypane z wcześniejszych pocisków. Czekają tam już na niego Anto, jego twarz wygląda jak maska ze zbryzganego krwią kurzu.

Lawina ustaje. Z góry dobiegają do nich wiwaty i śmiechy. Kiedy Anto szuka schronienia za gruzowiskiem, widzi, że na górze tuż nad jego głową Síðhe podtaczają kolejne kamienie.

– Ja uciekam tam – mówi, wskazując koniec doliny.

– Nie możesz! – mówi Chuckwu. – Zostaniesz zmiażdżony. Możemy się tu ukryć. Musimy tylko poczekać, aż zrzucą swoje kamienie. Potem będziemy z nimi walczyć. Jeśli tylko uda nam się utrzymać do czasu, gdy...

– Nie! Nie! – Anto chwyta go za rękę tak mocno, że chyba zostawia mu siniaki. – Nie możemy czekać. Wiem, że możemy to zrobić! My...

Nie może dalej mówić, gdyż zaczynają spadać kolejne kamienie. Anto ciągnie Chuckwu, ale kolega mu się wyrywa.

– Proszę, Chuckwu!

– Boże. To dlatego nie wierzę w Twoje istnienie. Inaczej jak mógłbyś jej to zrobić? – modli się.

Do zmęczonego i zdezorientowanego Anto dopiero po kilku minutach dociera, że to jego szansa na uratowanie życia. W tym cmentarzysku statków muszą być tysiące kryjówek. Miliony! I żaden „pies” nie złapie tropu w wodzie. Ale musi zniknąć im z oczu, zanim dotrze tu pościg z doliny. Ma nad nimi co najwyżej kilka minut przewagi.

Chwiejnym krokiem Anto rusza naprzód. Najpierw idzie przez jałową plażę pokrytą twardymi kamykami, które wbijają się mu w poranione stopy. Potem rozciąga się warstwa mokrego, drapiącego piachu, wydzielającego przy każdym kroku obrzydliwy odór wymiocin. No i wreszcie sama woda. Mulista jak stara owsianka, która zostawia na jego skórze oleisty połysk, gdy Anto próbuje zmyć krew. W każdym razie, o ile Świadcstwa nie kłamały, jest nieszkodliwa.

Morze sięga mu do pasa, kiedy zbliża się do pierwszego wraku, samolotu pasażerskiego, a pościgu wciąż jeszcze nie widać.

Woda przelewa się przez rozerwany kadłub. To niezła kryjówka, ale Anto czułby się lepiej, gdyby miała jakieś drugie wyjście. Idzie więc dalej, głębiej, aż zimne maziowate morze sięga mu do mostka. Kawałek dalej czeka na niego wyglądająca obiecująco łódź rybacka. A teraz, kiedy bryła samolotu zasłania go od plaży, ma czas, żeby się tam dostać.

I właśnie wtedy, dokładnie w chwili, gdy zastanawia się, czy nie przepłynąć ostatnich trzydziestu metrów, coś, co wydaje się pływającą blachą, zaczyna się poruszać.

Woda wokół niego trzęsie się jak galareta, po czym rozsuwa się, a wtedy zardzewiały metal okazuje się być skorupą potwora wielkości czołgu. Anto zamiera. Od zarania dziejów taki jest naturalny odruch stworzeń mniejszych od drapieznika. *Może mnie nie zauważy, jestem nędznym okruchem, niewartym, żeby zadać sobie trud zjedzenia mnie...*

Mimo to zwraca na siebie uwagę potwora okrzykiem. Ponieważ właśnie dostrzega, że monstrum ma nie jedną twarz, ale dziesiątki, dziesiątki twarzy. Są stłoczone jedna przy drugiej pod kopułą krabiego pancerza. Wszystkie ludzkie, stopione ze sobą, z ustami powykręcany bólem, gniewem lub głodem. Tysiące mrugających załzawionych oczu; twarzy wszystkich narodów świata.

Najbliżej Anto, nad powierzchnią wody, znajduje się głowa kobiety, zakryta częściowo resztkami munduru pilota, wgnieciona i wrośnięta w skórę zawodzącego mężczyzny w średnim wieku w nadgniłej czapce rybackiej.

A wtedy wszystkie usta otwierają się i rozbrzmiewa chór furii i głodu. Masywne pięści rozgarniają wodę, są szorstkie, złożone z niezliczonych ludzkich ciał, a każdy wielki knykieć chroni pancerz z blachy wyrwanej z kadłuba statku.

Ale Anto nie chce tak umrzeć. Ten potwór nie jest jedynym okazem. Na

powierzchnię wynurza się drugi; spycha wraki ze swojej drogi i kieruje się do pierwszego stworzenia. Rozgarnia wodę z taką siłą, że fala podnosi Anto i ciska go do kadłuba leżącego za nim samolotu. W jednej chwili „kraby” zaczynają walczyć ze sobą. Ich metalowe pancerze zgniatają się i rozdierają z hukiem, który musi się nieść na wiele kilometrów we wszystkich kierunkach. Chór głosów wyje z bólu, a krew leje się do czarnej wody. Anto, dysząc z przerażenia, widzi, że niektóre twarze na cielskach obu tytanów są już martwe.

W końcu jednak jedna ogromna pięść przebija pancerz wroga. Wydziera ciało i wpycha je delikatnie, acz stanowczo, we własne cielsko, które mocno się rozrasta. Tymczasem przegrany chwiejnie cofa się w stronę Anto, skurczony, nie większy od furgonetki, krwawiący, zdezorientowany.

Anto widział już dość. Wie, że jeśli teraz nie ucieknie, zakończy żywot pod jednym z pancerzy. Albo los ten spotka jego członki.

Od pływa, a raczej przedziera się przez wodę pod wrakiem samolotu na jego drugą stronę. Musi się stąd wynieść. Musi.

Wrzaski dobiegające z tyłu informują go, że olbrzymy jeszcze ze sobą nie skończyły. Robią teraz coraz większe fale, a jedna z nich jest tak duża, że porywa Anto i niesie go do góry nogami na plażę.

Nie jest to to samo miejsce, w którym wszedł do morza: ani nawet jego okolice. Właściwie to wylądował tuż przy „oknach”.

Siły już go opuściły, a wraz z nimi cała wola i wyobraźnia. Teraz nie jest już zdolny nawet pomyśleć. Ale kolory przyciągają jego wzrok.

„Okna” to dobrze znany, choć słabo zrozumiany fenomen. Są jak dziury w powietrzu. Każde jest wysokości dwóch dorosłych ludzi i trzy razy tak szerokie, a można przez nie zobaczyć Irlandię sprzed kilkudziesięciu lat. Świadczenia odnotowały dotąd osiemdziesiąt oddzielnych scen. Bez wyjątku przedstawiają one szczęście.

W oknie najdalszym od Anto widać stado żrebaków, które pasą się na wiosennej łące. Zieleń trawy aż pali go w oczy, wydaje się tak intensywna pośród nieszczęsnej Szarozemi. Inne okno pokazuje przyjęcie, tańczących ludzi w staromodnych ubraniach. Anto zastanawia się, jaka muzyka tak bardzo ich porywa, że wyglądają, jakby mieli powpadać na siebie nawzajem w radosnym zamęcie.

W najbliższym oknie są ludzie, którzy, podobnie jak on, spędzają dzień na brzegu morza. Wygrzewają się na słońcu, nie bacząc na piękno plastikowych wiader, kostiumów kąpielowych, ręczników. Z gardła Anto wyrzywa się szloch, a chociaż to tak nie działa – nie może działać! – wstaje i próbuje dostać się do środka...

Wtedy nadciągają Sídhé. Dwunastoosobowa grupa.

Anto nie da rady uciec. W baku nie została ani odrobina paliwa. Nawet

utrzymanie się na nogach jest ponad jego siły. Po raz drugi w ciągu dwudziestu minut paraliżuje go strach.

Podchodzą bliżej, a wtedy Anto dostrzega, że ich piękno jest iluzją. I oni też o tym wiedzą. Ponieważ zamiast go szukać, ich wzrok przyciągają konie i zieleń, i roztańczone pary.

Widzi tęsknotę w ich idealnych twarzach i zastanawia się, kto stworzył to piekło. Kto, w swym okrucieństwie, zostawił te okna, aby przypominały im wszystko, co im skradziono? Przypominały o złodziejach, którzy rozkoszują się każdym odcieniem zieleni, złota i czerwieni? Którzy czują ciepło słońca oraz krystalicznie czyste krople deszczu na skórze?

Po raz pierwszy Sídhé się nie uśmiechają. Wałą się w piersi jak oszalałe goryle. Ale dalej prą naprzód i teraz kolejno zwracają oczy na Anto, aż wreszcie wszyscy, cała dwunastka, patrzą wprost na niego.

I wtedy mijają go, a on uświadamia sobie, że biorą go za element sceny w oknie. Śmiech bulgocze mu w środku, ale wydanie jakiegokolwiek dźwięku oznacza śmierć, więc całą mocą usiłuje go stłumić. Obok przechodzą trzy kobiety Sídhé w płaszczach z kolczastych liści. Za nimi idzie czterech mężczyzn z napiętymi łukami w rękach.

– Nie mamy czasu – mówi jeden. – Złodziej nam ucieka.

– Każdy, który nam umknie – odpowiada drugi – to o jeden więcej, który będzie z nami walczył, kiedy światy znów się połączą. To już niedługo... Ale ten złodziej chyba jeszcze tu jest. Czuję, że zostało jeszcze sto uderzeń serca, zanim odejdzie.

Mijają go kolejni dwaj mężczyźni i dwie kobiety. W scenie za oknem obok Anto stoi dziewczyna. Jasne włosy wpadają jej w oczy, a ona odgarnia je z twarzy. Anto porusza bezgłośnie ustami udając, że z nią rozmawia.

A potem wokół jego nadgarstka zaciska się ręka. Przez chwilę Anto myśli, że to ta dziewczyna, że wyszła do niego przez okno. Ale to ostatnia Sídhé. Wysoka kobieta o migoczących oczach i szerokim, szerokim triumfalnym uśmiechu.

– Och, najbystrzejszy ze złodziei – mówi. Jest taka uradowana, że go zauważyła. Jak dziecko na gwiazdkę. – Ale zauważyłam, że twoje włosy nie poruszają się w tę samą stronę co jej.

I zaczyna wykręcać mu rękę. A ból jest nieznośny.

– Zrobimy z ciebie olbrzyma!



Żałobne dzwony

Nessa i Megan przechodzą obok porzuconego dresu Anto, nie dostrzegając go. Nie wiedzą, że został Wezwany. Aoife ciągle krzyczy za kurhanem, u którego szczytu dziewczyna wiecznie walczy o wydostanie się ze skały.

Hałas zwrócił również uwagę kilkorga nauczycieli: między drzewami, jak para duchów, zmaterializowali się Tompkins i Horner. Tompkins się odzywa, zwracając się w stronę Nessy.

– Odejdźcie stąd. Nie wolno tu być.

Ale nie zatrzymuje się, żeby sprawdzić, czy polecenie wykonano, więc obie dziewczyny okrążają wzgórze w kierunku, skąd słychać zachrypnięty już głos Aoife, która szlocha nad przerażającymi szczątkami Piskliwej Emmy. Liz Sweeney kuca obok, próbuje nie patrzeć, ale nie może się oprzeć.

– Nie... nie jestem pewna, czy chcę podejść bliżej do t e g o – mówi Megan, a Nessa może się tylko zgodzić. Piskliwa Emma zawsze była trochę dziwna: tajemnicza, ale wesoła i zuchwała. Mogła gadać godzinami o potrawach, których nigdy nie spróbowała, ale nie okazywała większego zainteresowania tym, co rzeczywiście znajdowało się na stole. Czasem potrafiła być zabawna, kiedy miała odpowiedni nastrój. Nessa nie chce patrzeć na to, co z niej zostało. Fragmenty, które widać zza Aoife i Liz są powiększone i maziowate. To dla niej za wiele.

Zawracają i spotykają sierżant Taaft, która ciężko kroczy w ich stronę po zwiędłych liściach.

– O, i jeszcze wy – mówi.

Ale wtedy słychać inne głosy.

– Chuckwu! Znaleźliśmy Chuckwu! Znaczy, to chyba jest on.

I Taaft przeklina.

– Dwoje na raz? Wracać! Wracajcie do szkoły. Natychmiast!

Wracają tą samą drogą, którą przyszły, a skoro nie zauważyły pustego dresu Anto, idąc tutaj, z pewnością nie mogły się zorientować, że teraz zniknął. Został tylko krzyżyk, zmatowiały w leśnym mroku.

Tego dnia dwukrotnie zabrzmiały żałobne dzwony, w obu przypadkach dla

Piątego Roku. W refektarzu Megan próbuje pocieszyć zapłakaną Aoife, ale natura nie obdarzyła jej delikatnością, poza tym sama ma mokre policzki.

Nessa nie nadaje się do pocieszania nikogo. A wszystko przez Maryę, która biega dookoła i rozpowiada, że Anto też został Wezwany, ale wrócił żywy.

Myśli Nessay krążą tylko wokół niego. Co teraz będzie? Co może być? Jest jak ogłuszona, a mimo to za każdym razem, gdy otwierają się drzwi, podrywa głowę, czeka, aż zobaczy, jak do niej idzie, żeby mogła mu pogratulować.

Zdarzało się to już wcześniej: ocaleni paradowali przed rówieśnikami; z opatrzonymi ranami, obmytymi twarzami, w zwykłych ubraniach i nawet – na Kocioł Dagdy! – w butach. Częściej jednak potrzebowali „pomocy” przy uporaniu się z doświadczeniem. Czasem nie wracali do życia w społeczeństwie przez wiele miesięcy. Czasem pilnowano, żeby nie popełnili samobójstwa. Do końca ich życia.

A jednak, pomimo to, ich rówieśnicy, których jeszcze czekała próba, zazdrościli im i świętowali te rzadkie zwycięstwa intensywniej, niż oplakiwali stratę.

W refektarzu śpiewano piosenki i serwowano ciasto z bezcenną kawą. Wszyscy są nieco rozproszeni i hałasują. Korzystając z tego harmidru, Megan nachyla się do Nessay; oczy ma czerwone z powodu oplakiwania Emmy.

– Cieszysz się? – pyta. – Zawsze wiem, kiedy się cieszysz. To twój chłopak.

– Nie jest moim chłopakiem.

– Będzie twój, jeśli tylko go zechcesz.

Nessa nie odpowiada. Przecież Megan ma rację. Połowa niemożliwych do spełnienia fantazji stała się rzeczywistością. Nessa zastanawia się, czy Anto wróci do szkoły jako weteran. Wielu tak robi. Jak biedny Shamey. Jak Diane Mallon, która w momencie, gdy została jej jeszcze minuta pobytu w Szaroziemni, zeskoczyła z klifu i wróciła do własnego świata chwilę przed uderzeniem o skały. Oboje mają problem z rozpoczęciem nowego życia, a Nessa zastanawia się, dlaczego tak się dzieje. Jest jeszcze trzeci weteran, biedna Melanie, której dosłownie pęknie serce, jeśli znowu się za mocno zdenerwuje. A co jeśli Anto też będzie teraz taki? Szaroziemnia zabija na wiele sposobów i nie zawsze od razu.

Proszę, Boże! – Nessa nigdy się nie modli! – *Matko Święta, spraw, żeby wszystko było z nim dobrze.*

Po raz drugi tego dnia za plecami dziewcząt z Donegalu pojawia się Taaft. Kładzie im ręce na ramionach.

– Pani Breen chce was widzieć – mówi. – Wcale nie zapomnialiśmy, że byliście dziś w lesie.

Nessa podnosi głowę i napotyka wzrok Conora, który gapi się prosto na nią zza stołu chłopców. Ta specyficzna nienawiść, jaką do niej żywi, zawsze wisi w powietrzu. Do tego stopnia, że Nessa rzadko w ogóle odnotowuje ten fakt. A po tym, co zrobiła mu w lesie, zarobiła sobie na kolejną porcję niechęci.

Muszą siłą ciągnąć Aoife za sobą. Zadanie nie jest łatwe. Biedaczka porusza się jak we śnie, a Nessa wyobraża sobie, że sama miałaby taki wyraz twarzy, gdyby na miejscu Piskliwej Emmy znalazł się Anto. Tyle że Anto jest jej chłopakiem tylko w marzeniach. Nie ma prawa czuć się w ten sposób.

Taaft zostawia je z Liz Sweeney, która już czeka pod gabinetem dyrektorki.

– A jak tam nasz amator szczeniactwów? – pyta Megan. – Zajęty dziś?

– To znaczy kto?

– Sro. Twój szef. Conor Bystronogi.

– Crom roztrzaska cię na pół, ty nienawistna, mała ruda dziwko.

– Poważnie pytam. Gdzie on jest?

– Nauczyciele nie widzieli go w lesie. Nikt nie wie, że tam był, i nie ma powodu, żeby im o tym mówić, prawda, Megan Donnelly?

Megan wzrusza ramionami.

– Nie jestem kablem, Lizo Sweeney. Chyba że widział coś przydatnego do Świadectw.

Liz Sweeney mówi, że nic nie widział, więc kończą temat. Megan puka do drzwi pani Breen.

– Wszystkie pójdziemy do Klatki – stwierdza Liz.

Cztery dziewczęta wchodzą stłoczone między stosami książek i pożółkłych kartek, do których nikt nie zajrzał od ćwierć wieku, odkąd zakonnicy przekazali budynek państwu. Unosi się tu woń mentolowego tytoniu, którego pani Breen używa do fajki, i teraz też zaciąga się nim, spoglądając na nie znad klawiatury starego komputera.

– Zostaniecie ukarane – mówi swobodnym tonem – ale najpierw musimy ustalić kilka rzeczy, ponieważ to wszystko jest dziwne. Troje ludzi Wezwanych tak blisko siebie i w tym samym czasie. W promieniu... no, jakim? Dwudziestu, trzydziestu metrów?

– To ta dziewczyna w skale – mówi Nessa. Ponieważ, oczywiście, również myślała o tej zbieżności.

Indyczka potwierdza skinieniem głowy.

– Ale dlaczego wy nie zostałyście Wezwane? Ty i Megan odkryłyście ją tydzień temu. Podeszłyście do niej... prawda?

Kiwają głowami.

– Dotknęłyście jej? Emma jej dotknęła? Albo Chuckwu i Anto?

– Nie miałyśmy okazji – mówi Megan. – Śledzili nas...

– My ich śledziliśmy! – pośpiesznie wtrąca Liz Sweeney. – Ja i Chuckwu. We dwoje. O to jej chodzi. My... byliśmy ciekawi, ale dziewczyny zaczęły uciekać. Musiały wziąć nas za nauczycieli lub instruktorów. Więc pobiegły.

Głos pani Breen brzmi srogo.

– Czy którekolwiek z was jej dotknęło, czy nie?

– Nie sędę – odpowiada Megan. – Tak jak mówi Liz Sweeney, rozbiegliśmy się, zanim mieliśmy na to szansę.

– A już na pewno nie miał jej Anto – mówi Nessa.

– Byliście razem?

Nessa czuje, jak rumieniec wypływa jej na twarz, ale udaje jej się zachować pewność w głosie.

– Siedzieliśmy w bibliotece, proszę pani. Zobaczyliśmy... Liz Sweeney i Chuckwu i zastanawialiśmy się, dokąd idą.

Dyrektorka wzdycha.

– I tym sposobem – stwierdza – poszliście jak stado baranów na skały. Cudownie.

Przez chwilę pyka fajkę, ignorując dziewczęta, zatopiona we własnym świecie. Ale Nessa czuje się w obowiązku mówić dalej:

– Moim zdaniem to stało się dlatego, że otworzyli skałę, proszę pani. Wśród drzew panowało dziwne napięcie, ono nie było tak silne, kiedy pierwszy raz zobaczyłyśmy... tę dziewczynę Sídhę. I... to coś dotknęło Anto mocniej niż mnie. On trzymał ten swój krzyżyk i był bardzo spocony.

– Na Kocioł Dagdy! – wykrzykuje Liz Sweeney. – To samo było z Chuckwu!

– I Emmą... – Te ostatnie słowa szepcze Aoife. – Ona... nigdy wcześniej niczego się nie bała, a wtedy... zdenerwowała się bardziej niż Megan. I... i nawet bardziej niż ja.

– Dobrze – mówi Indyczka, fałda na szyi lekko jej faluje. – To dobrze.

Kiedy sporządza notatki, słychać stukanie klawiszy brudnego komputera, a fajka dynda niepewnie w zaciśniętych wargach dyrektorki. Tylko jej pytanie wygłoszone w języku sídhe brzmi pięknie.

– Coś jeszcze? – pyta. – Macie coś jeszcze?

Nessa ma pytanie. Ma ich właściwie całą masę. Na przykład, gdzie jest Anto? Wróci do szkoły? Czy wszystko z nim w porządku?

Ale to Megan się odzywa.

– Dlaczego ta dziewczyna Sídhe się kurczy? Tym mocniej, im głębiej jej ciało weszło w skałę?

Breen wzrusza ramionami, jakby pytanie nie miało żadnego znaczenia.

– Dostajecie trzy dni w Klatce – pada odpowiedź.

– To za długo! – protestuje Megan. – Byłyśmy dziś na skale z Piskliwą Emmą i Chuckwu, więc skąd wiadomo, czy my też nie dostaniemy Wezwania?

– Nie wiadomo, dziecko. Nigdy tego nie wiadomo. Ale musimy trzymać się zasad, dla dobra wszystkich i...

– A sytuacja się pogarsza – przerywa jej Megan. – Prawda? Kryzys się pogłębia. Wszyscy to mówią, i jeszcze ta akcja ze szkołą w Mallow! Ale wy,

nauczyciele, nie chcecie tego powiedzieć na głos. Myślę...

– Dość tego! – Ton Indyczki jest dostatecznie chłodny, żeby zbić z tropu nawet Megan. Ale Nessie wydaje się, że widzi w jej oczach wątpliwość. – Ty, moja droga dziewczyno z Donegalu, dostajesz jeden dzień ekstra za bezczelność.

Nawet Megan wie, że lepiej na tym zakończyć i zamknąć buzię w porę.

– Nesso – ciągnie pani Breen – ciebie nie poślę do Klatki.

– Nie... nie pośle mnie pani?

– Zachowałam się najgłupiej ze wszystkich, idąc za innymi bez powodu. Dlatego dla ciebie mam coś o wiele gorszego. Zostaniesz jeszcze, a reszta... – Wskazuje na drzwi cuchnącą fajką. – Mam nadzieję, że dokończyłyście swoje ciasto. Znajdźcie Tompkinsa i niech was zaprowadzi na górę.

Wyszły więc, zostawiając Nessę na pastwę losu.

– Damy im pięć minut – mówi pani Breen życzliwszym tonem.

– Pięć minut na co, proszę pani?

– Nigdy nie siedziałas w Klatce, prawda, Nesso?

Czeka na potwierdzenie.

– No więc właśnie, teraz też cię tam nie poślę.

– Jak zatem zostanę ukarana?

– O, wcale nie zostaniesz. Nie chciałam cię przy nich zawstydzić. Chodzi o to... nie możemy cię teraz osłabić, prawda? – I puszcza oko. Mruga. Jakby dawała do zrozumienia, że robi jej potężną przysługę, ponieważ jej życie jest równie krótkie i mało znaczące co to mrugnięcie okiem.

Nessa musi użyć całej siły woli, żeby zachować kamienną twarz, żeby nie podnieść stołu i nie zatłuc nim Breen na śmierć. Bierze kilka głębokich oddechów i uświadamia sobie, że one też zostaną odczytane przez jej dręczycielkę jako wyraz „ulgi”. Słabość.

Ale tak naprawdę to właśnie jej siła. Wykorzysta idiotyczną litość Breen, żeby osiągnąć swój cel. Pyta więc prosto z mostu o Anto.

– Czy Anthony Lawlor wróci tutaj? – Zachowała idealną obojętność w głosie. Być może nawet zbyt idealną, bo kto nie byłby ciekawy, co się dzieje z pierwszym uczniem w klasie, który przeżył Wezwanie? To wielkie wydarzenie dla Piątego Roku. Wielkie.

– Jest w drodze do Dublina.

– Czy nic mu się nie stało?

Twarz pani Breen krzywi się nad fajką, jakby w głowie starannie rozważała tuziny różnych zdań, zanim wreszcie jakieś wypowie.

– Lekarze są... są dobrej myśli.

– D-dobrej myśli? Myśli o czym?

– Och, dziecko. To był długi dzień, prawda? Wracaj do refektarza i powiedz pozostałym, że zostałam surowo ukarana. Wymyśl coś. Jesteś dość inteligentna. Idź

już.

Nessa znów jest na korytarzu. Zatrzymuje się w pół drogi, przed oknem zamazanym kroplami deszczu. Myśli o wszystkich Świadectwach, które czytała, o dziwacznych i straszliwych stanach, w jakich wrócili mniej szczęśliwi ocalali. Dziewczyna-syrena, Angela Heffernan. Ten chłopak z Tuam, jak on miał na imię? Ten, który wrócił z uszami nietoperza i głosem o tak wysokiej częstotliwości, że nikt nie był w stanie go usłyszeć.

A były też gorsze przypadki! Choćby weteranka Melanie, która jest w ich szkole! Piękna, naprawdę piękna dziewczyna. Ale nie dlatego ludzie wymieniają o niej uwagi szeptem. Jej Świadectwo cieszy się w bibliotece największą popularnością, ponieważ każdy chce zobaczyć rysunki jej niesamowitych „ran”.

– Dobrej myśli – powiedziała Breen, kiedy Nessa spytała o Anto. – Lekarze są... – zawahała się. Zawahała się dokładnie w tym miejscu! Czyli że wcale nie są cholernej dobrej myśli!

Nessa wraca do refektarza, a jej umysł nadal dręczą obawy. Wtem staje jak wryta.

Jest tu Conor. Siedzi wygodnie rozparty we wnęce, w której znajduje się posąg świętego z czasów, kiedy ten fragment szkoły był klasztorem. Patrzy na nią i musiał tu być przez cały ten czas, gdy patrzyła przez okno.

– Chyba złamałaś mi zebro – mówi.

Jest jak zjawa. Nie przynależy do tego miejsca, miejsca, gdzie jej myśli krążą wokół innych spraw.

– Głupio zaryzykowałaś dla Megan. Moim obowiązkiem było dać jej nauczkę, ale nie zrobiłbym jej krzywdy. Małe lanie by jej nie zaszkodziło, prawda?

Nessa nigdy nie staje obok Conora, z wyjątkiem chwil, kiedy są w jednej parze na sali gimnastycznej, a to nie zdarzyło się od kilku miesięcy. Zdążyła już zapomnieć, jaki Conor jest duży, i nagle uświadamia sobie, że bez względu na to, ile kilogramów przybierze czy ile obrzydliwego jedzenia wchłonie, nigdy nie będzie tak silna jak on.

– Czego chcesz? – pyta.

Conor nie jest głupi, a jednak to proste, oczywiste pytanie wprawia go w zakłopotanie. Jakby go zaskoczyło. Rozgląda się po pustym korytarzu, patrzy znowu na nią, a rytm jego oddechu się zmienia.

– Posłuchaj – mówi. Jego głos przechodzi w szept. – Posłuchaj. To dla ciebie szansa. Nikt się nie dowie.

– O... o czym ty mówisz?

I wtedy ustami miażdży jej wargi. Ot tak, po prostu, i Nessa musi naprawdę wyczerpać wszystkie siły, żeby go odepchnąć.

– Co ty...? Conor!

– Nie bądź głupia – mówi. – Możesz po prostu wziąć, co ci dają. Oczywiście, nie możesz nikomu powiedzieć ani słowa. Ale ty nie jesteś jak ta kretynka Sherry. Spławiłem ją, spławiłem dla ciebie.

Wtedy znowu ją całuje. Szorstko i bez wprawy. Ręce bezceremonialnie wpycha jej pod dres, przesuwa wprost do jej niedużych piersi, napierając na nią masywnym ciałem.

– Przecież możesz to zrobić – dyszy. – Wszyscy, którzy tu jesteśmy, możemy w każdej chwili zostać Wezwani. Więc korzystajmy! Korzystajmy na całego.

I nagle zaczyna krzyczeć.

Nigdy wcześniej podczas pojedynku Nessie nie udało się go celnie uderzyć, ale teraz, z jakiegoś dziwnego powodu, Conor zupełnie się tego nie spodziewał. A już na pewno nie potężnego ciosu między nogi. Ani drugiego, zanim nerwy dadzą mu znać, że coś jest nie tak. Ani trzeciego. Nie jest gotów na to, by ktoś chwycił go za ucho i wykorzystał je jako rączkę tarana, kiedy Nessa rzuca go na ścianę. A żebro? To wcześniej uszkodzone. Czemu nadal tak boli, zwłaszcza kiedy dziewczyna dźga je wyprostowanymi palcami?

Zostawiwszy go bezradnego na ziemi, Nessa chwiejnym krokiem stara się oddalić. Ale Conor przeszedł takie samo szkolenie jak ona. Wie, że pozostanie na miejscu równa się śmierci, bez względu na odniesione obrażenia. Zrywa się na równe nogi i rzuca w pogoń za nią, chociaż krew zalewa mu oczy. Łapie ją, zanim udaje jej się dopaść tylnych drzwi refektarza i odciąga do tyłu, jakby była kawałkiem papieru. Nessa upada na wypolerowaną podłogę i zostaje zaciągnięta do tej samej wnęki, gdzie zaczęło się ich spotkanie.

Tym razem nie uda mi się go wziąć z zaskoczenia – myśli. Klatka, Klatka byłaby lepsza niż to! Próbuje się podnieść, ale wtedy znienacka pojawia się sierżant Taaft i przyciska ją czarnym błyszczącym butem do podłoża.

– Sprzeczka kochanków? – pyta.

Nessa nie widzi twarzy Taaft, ale słyszy szczerą żądzę w jej głosie, gdy pyta Conora:

– Chcesz walczyć ze mną, dzieciaku?

Na pokieszowanej twarzy Conora nie widać strachu. Mimo to z żalem odpowiada:

– Jest pani lepiej wyszkolona niż ja.

– Nie żartuj.

– Ale ja będę coraz silniejszy.

Teraz Taaft brzmi, jakby pluła.

– Nie w Klatce. Napastować niepełnosprawną! Rzygać mi się chce, jak na ciebie patrzę.

Ale tak naprawdę to Nessa ma mdłości i walczy z sobą, żeby nie uronić ani

jednej łyżki upokorzenia.



Śnieg

Nie był to najlepszy tydzień w życiu Liz Sweeney, i jeszcze ten śnieg!

Wszyscy mówią, że zimy są teraz chłodniejsze niż wcześniej, że temperatury nigdy nie były aż tak niskie na tydzień przed Halloween. Ale obecnie słupki rtęci w termometrach zawsze spadają na początku października, a instruktorzy, jak gdyby nigdy nic, wyciągają klasy na bieg boso po lodowatym błocie.

– Bez urazy – mówi Aoife do Hornera. – Bez urazy, proszę pana, ale ja i Liz Sweeney dopiero co wyszliśmy z Klatki. Ten herbatnik to nasz pierwszy posiłek od kilku dni, wie pan?

Horner rzadko się odzywa, czy to po angielsku, czy w sídhe, w ogóle. Nie zwykł nawet wzruszać ramionami, ale teraz robi to, wydobywając się tym samym z wojennej czarnej dziury, która trzydzieści lat temu pochłonęła jego osobowość. Ma drobną, łagodną twarz, posiwiałe kręcone włosy i wielkie oczy, z których dumny byłby każdy Sídh. Liz Sweeney musi siłą odwracać od nich wzrok, zanim wessą ją w nicość. Samo patrzenie na niego przyprawia ją o dreszcze, bez względu na pogodę.

Ta Aoife, leniwa gówniara – myśli Liz Sweeney, ale tym razem zachowuje tę opinię dla siebie. Dziewczyna przeplakała cały pobyt w Klatce, i to wcale nie z powodu jedzenia, chociaż wszystkie skręcało z głodu. Patrząc na jej łzy, Liz Sweeney nie myślała o słabości, jak Conor. Nie, ona też miała ochotę zapłakać. Nad sobą. Nad Chuckwu. Nad utraconą siostrą. Nad bratem Kieronem, z Szóstego Roku w innej szkole, który jeszcze nie został Wezwany.

Już wkrótce dostanie o nim wiadomość. Tak, ponieważ dalej na północ, koło Bangor, Kieron Sweeney również został wysłany na bieg po śniegu. Tam jest trudniej, właściwie panuje zamieć, a za pół godziny od tej chwili jego porzucony dres będzie mókł przez trzy minuty i cztery sekundy.

Liz Sweeney nie może o tym wiedzieć. Jako członek Okrągłego Stołu nieustannie przypomina sobie, że jest silna. Jak niewiele czuje – oprócz pogardy – do wszystkich Aoife tego świata, i jak wiele ma podziwu dla Conora.

Za chwilę jej życie wywróci się do góry nogami.



Historia Kieron

Kieron przeżył Wezwanie. Wrócił i jest teraz zupełnie innym człowiekiem. Stoi nagi nad swoim mokrym ubraniem, a wokół niego pada śnieg. Strasznie się trzęsie i nagle pada na kolana, otwiera usta, ryczy jak zwierzę. Widział rzeczy, jakich nie widział dotąd żaden człowiek.

Równoległe ślady przebiegają przez jego pierś w miejscu, gdzie „pies” Sídhé rozorał mu skórę, ale rany nie krwawią: wyglądają na stare, zgrubiałe, a Kieron krzyczy:

– Żałuję, że mnie nie zabiliście! Dlaczego mnie nie zabiliście?

To jednak tylko szok. Niedowierzenie. I chociaż sny będą go dręczyć do końca życia, będzie z nimi walczył, walczył o życie, walczył o szczęście.

Został do tego wyszkolony i pomimo wszystkiego, co przeszedł, należy do grona szczęśliwców.

Zgrzyta zębami. *Nie zamarnąć na śmierć.* Ta uwaga sprawia, że zaczyna się śmiać jak szalony. Pobyt w Szaroziemii wyzuł go z całej energii, ale Kieron zbiera swoje przemoczone ubranie i chwiejnie brnie w głębokim do kostek śniegu. *Już blisko, już blisko.* Oczywiście dookoła nie ma nikogo. Wszyscy rozkoszują się leniwym śniadaniem, ale on był na tyle głupi, że kpił sobie z instruktorki, Sicari, a ona to usłyszała.

– Na zewnątrz, Sweeney! Ale już! – krzyknęła. – Jedno okrążenie dookoła parku.

– Skąd pani wie, że je przebiegnę? – Nie mógł się oprzeć przed zadaniem tego pytania, a instruktorka zmrużyła oczy tak mocno, że blizna na jej czole całkiem zbielała.

– Myślisz, że cię nie sprawdzę w tych warunkach? – Wskazuje głową białą mroźną warstwę, która przez noc pokryła Bangor. – Masz szczęście, że nie wyśle cię do Klatki, mała gnido. Szósty Rok czasem kombinuje. Wszyscy to wiedzą. Jesteście jak małe dzieci. A teraz zasuway, gnojku, no już. Pełne okrążenie albo, na Boga, nie dostaniesz jeść przez tydzień.

Wydaje się, że rozmawiali dawno, dawno temu. W innym życiu, oczywiście. W tym niewinnym, w którym nie widział... owocowych drzew w Szaroziemii. O Danú! O Lughu! Na samą myśl o nich pada na kolana z odruchami wymiotnymi.

Miał strasznego pecha, że został Wezwany w połowie okrażenia. Zna to miejsce jak własną kieszeń, ale spadło więcej śniegu niż zwykle i znajome kształty okryły się bielą – pomnik, duży cis, i tak dalej. Nie czuje palców. Ma mętlik w głowie. Ale tuż obok widzi odciski stóp, tak samo bosych jak jego własne. Może jakiś chłopak z innego roku dostał taką samą karę jak on? Zapewne chłopiec, bo odciski są zbyt duże, żeby mogły należeć do dziewczyny. A dokąd ten drugi chłopak miałby pójść, jeśli nie do szkoły?

– Dzięki, o Lughu – woła nadaremno do wrogiego boga.

Udaje mu się wstać. Jeśli ślady stóp mają go uratować, musi iść po nich, zanim śnieg całkiem je zasypie.

Idzie więc. Sprowadzają go ze ścieżki między milczące drzewa. Teraz, myśli, jest tu ktoś, kto się nie boi, że Sicari go sprawdzi!

Droga prowadzi go bezpośrednio do budynku i wkrótce zza białej zasłony wyłania się kuchnia.

Uczniom nie wolno korzystać z tego wejścia, ale ocalałemu nikt nie odmówi! Sto metrów przed drzwiami traci cenne sekundy na decyzję, czy założyć mokre ciuchy, by osłonić nagość przed kucharkami, ale dochodzi do wniosku, że musi być w gorszej kondycji, niż mu się zdawało, ponieważ ubranie musiało gdzieś po drodze wysunąć się z jego bezużytecznych palców.

Wszystko jedno. Najważniejsze to dostać się do środka, do ciepłych światła. Kieron orientuje się, że płacze. Już nie potrzebuje śladów stóp. Ale kiedy znowu na nie patrzy, widzi, że jednak mogły należeć do dziewczyny, ponieważ są mniejsze, niż wcześniej sądził. *Nie, ty idioto. To śnieg, częściowo zasypał je śnieg, i tyle.* Idzie dalej.

Przy wejściu obawia się, że będzie musiał krzyczeć, żeby go wpuścili, albo łomotać w zaparowane okna pięściami pozbawionymi czucia. Ale nie, drzwi są otwarte. Wymyka się przez nie cholerne ciepło! Wydaje okrzyk radości. Zamyka drzwi za sobą i ślizga się gołymi stopami po podłodze, mamrocząc na w pół zapomniane modlitwy z dzieciństwa.

Dopiero po dłuższej chwili uświadamia sobie, że nie słyszy głosów. Gdy mija odrętwienie, zaczyna go boleć całe ciało, i teraz Kieron zwraca uwagę na coś dziwnego: na linoleum widać ślady stóp, są to te same ślady, które biegły przez śnieg. Musi zmrużyć oczy, żeby się im przyjrzeć, ponieważ zdążyły już wyschnąć i został tylko ich brudny zarys.

W każdym razie właściciel tych stóp nie mógł mieć więcej niż osiem lat.

Czy naprawdę wydawało mu się, że w śniegu widzi ślady męskich stóp? Był wyczerpany. Trząsł się ze strachu i prawie zamarzał na śmierć. Musiał sobie

wymyślić ten większy rozmiar.

– Kogo to obchodzi? – mówi głośno.

Nad jego głową wiszą ubrania kucharek. Sięga po nie i uważając, żeby nic nie uszkodzić, pożyczą sobie największe. Ten wysiłek wiele go kosztuje i ma teraz ochotę paść na podłogę i zasnąć pod przykryciem starych fartuchów. Ale doszedł już tak daleko.

– Kieron – mamrocze – Kieron Ocalały.

Będzie bohaterem. Ożeni się. Zrobi wszystko, wszystko, co zechce.

– Kieron Ocalały. Kieron Sweeney.

A potem wchodzi do kuchni, w której wszyscy śpią. Z otwartymi oczami.

Widok jest tak dziwny, że przechodzi dalej, jak we śnie, do refektarza. W przeciwieństwie do szkoły siostry, Bangor działa w kompleksie nazywanym „Wielkim Domem”. Budynek osiemnastowiecznych stajni połączono w szereg niedopasowanych zabudowań, które utworzyły długi szereg pomieszczeń zastawionych stołami wszelkich kształtów i rozmiarów.

Są tu wszyscy uczniowie, chcą go powitać, Kierona Bohatera. Leżą wszędzie, z otwartymi ustami, rozwartymi oczami, z kończynami jak u szmacianych lalek. Jego umysł nie chce się uruchomić i zrozumieć, co tu się dzieje.

Coś mu się kołacze w pamięci o innej szkole, ale co? Co tam się stało?

A potem, zza pleców, słyszy słabe głosy. Dobiegają z kuchni.

Mały człowieczek, nie większy od dłoni, siedzi w wielkim kotle owsianki. Kieron podchodzi kilka kroków bliżej i widzi, że stwór śmieje się i śmieje.

– Nie zrobiłem tego – piszczy. – Ale obietnica pozwoliła mi przybyć i to zobaczyć!

Jest nagi jak Kieron, ale ma rysy Sídhé, błyszczącą skórę i wielkie oczy.

Chłopak wydaje okrzyk i chwytą ludzika, ale niewyobrażalny ból sprawia, że od razu go puszcza – na jego dłoni pojawia się rozcięcie. Będzie je nosił do końca życia. Ludzik odskakuje. Wściekły Kieron ściga go po kuchennych blatach, a człowieczek kurczy się coraz bardziej i bardziej.

Małeńki Sídhé wskakuje na kuchenkę, ale teraz jest wielkości kciuka Kierona i to go gubi, ponieważ wpada w fajerkę. Chłopak może z łatwością go uwięzić, przykrywając po prostu rondelkiem.

A potem, ze zwierzęcą przyjemnością – ponieważ ręka nadal go boli – Kieron zapala gaz i zabiera garnek.

Ludzik skurczył się jeszcze bardziej i przez chwilę potyka się, przypominając żywą pochodnię. Potem, jakby w układzie synchronicznym, obaj, ofiara i zabójca, osuwają się na ziemię. Jeden obraca się w popiół, drugi zapada w sen.



Powrót Megan

Megan wychodzi z Klatki jako przedostatnia. Został tylko Conor. Skoro już i tak siedziała jeden dzień dłużej od innych, nie mogła się oprzeć i pozwoliła sobie jeszcze bardziej przedłużyć wyrok, narażając się Tompkinsowi, kiedy ten przyszedł wypuścić Aoife.

Megan wychodzi z celi zgarbiona jak staruszka.

– A co, jeśli zostaniesz teraz Wezwana? – pyta Nessa. – Dlaczego mi to robisz?

– Tobie? – Megan uśmiecha się szeroko. Rude włosy są już za długie i teraz ma ich sporo, zczesła je na jedną stronę. I, oczywiście, prawie cały czas mówi po angielsku. – Poza tym, co tu robisz, Ness? Myślałam, że siedzisz w bibliotece i piszesz pieprzony wiersz. Och! Nie rób takiej miny, nikt przecież nie słucha. Powiedziałabym to, gdyby ktoś słuchał?

Nessa wie, że by nie powiedziała. Megan jest potworem, ale to potwór Nessay.

– Daj spokój – mówi do Megan. – Powiedzieli, że mam cię zabrać do refektarza. Dostaniesz bulion. I musisz obciąć włosy.

Megan przewraca oczami, ale idzie, wolniej od swojej utykającej przyjaciółki, schodami w dół. Ale nie uszły daleko, kiedy wyczuwa, że coś jest nie tak.

– No, wykrztuś to z siebie – mówi.

I Nessa jej opowiada, szeptem.

– Kolejna szkoła wymarła.

– Co? Jak... tak jak Mallow?

– Tak, właśnie tak. I słuchaj... – Oddycha głęboko, do tej pory wstrząśnięta rozmiarem tragedii. – Był tam brat Liz Sweeney i tylko on przeżył. Został... został Wezwany w czasie, kiedy to się stało. Dokładnie w tym czasie. A przynajmniej tak mówią plotki. I podobno widział jednego z Sídhe. W naszym świecie.

– Niemożliwe! – Megan przerywa i chwieje się u stóp schodów. – Wszystkie

te głupie historie o szpiegach są prawdziwe?

– Tak jakby. Według opowieści, Sídhe błakają się po naszym świecie przebrani za ludzi albo wręcz w ludzkim ciele naciągniętym na swoje własne. Ale ten... ten... kurczył się, im dłużej tutaj był.

Obie myślą o dziewczynie w skale, chociaż u niej skurczyła się tylko połowa ciała.

– Szlag – mówi Megan. – Nie mogę w to uwierzyć. Szlag.

Klatka – czyli tak naprawdę szereg zamkniętych małych cel – mieści się dokładnie nad kwaterami personelu, zwanych koszarami, na północ od refektarza. Muszą wyjść na zewnątrz, żeby dostać się do refektarza w głównym kompleksie budynków, a Megan trzęsie się przez całą drogę. Ale już mogą wyczuć lekki zapach śniadania i słyszą chropowaty głos pani Fortune, która rzuca polecenia przy odgłosach siekania.

– Nie powinnaś być na zajęciach, Ness? Dziś chyba są walki?

– Wszyscy nauczyciele są na zebraniu. I... poczekaj zresztą, sama zobaczysz.

Teatralnym gestem otwiera drzwi do refektarza, a tuż za nimi na straży stoi Tompkins. Trzech czy czterech innych uzbrojonych instruktorów nadzoruje wydawanie jedzenia. I po raz pierwszy pojawiły się tu psy, które obwąchują wszystkie kąty i zachwycone merdają ogonami.

– Taaft poszła do miasta... sprawdza, czy jedzenie dla nas nie jest zatrwane. Wszystkiego najpierw próbują świnie.

– Ha! – Megan udaje się puścić oko. – To wyjaśnia, dlaczego mnie wypuścili. Pewnie mam spróbować bulionu. Nie, żebym nie była głodna.

Rozmawiają, a Megan siorbie zupę. Nessa przywabia ponurego, ale pięknego dobermana i drapie go za uszami.

– A co z Anto? – pyta Megan. – Wiadomo już coś?

– Nie.

– To wszystko? Nie masz nic więcej do powiedzenia na ten temat?

Ani na ten, ani na inny. Nessa naprawdę chce jej opowiedzieć, co wydarzyło się między nią a Conorem, ale nie jest pewna, od czego zacząć.

Uszkodziła go, i to porządnie, ale tylko dzięki zaskoczeniu. Potem, kiedy ją złapał, jego siła okazała się przerażająca. Nessa zwykle zasypia z łatwością, ale teraz raz po raz odtwarza ten moment: zwisa mu z ręki jak chwast wyrwany w ogrodzie i rzucony do kompostu. I do tego to straszne, straszne poczucie bezradności. Że jest niczym. Że jest skazana. Całe wyszkolenie i determinacja, wszystkie jej inteligentne obejścia problemów i sztuczki, wszystko to się nie liczy i nie będzie się liczyło następnym razem, kiedy znów ją dopadnie.

– Wszystko gra, Ness?

Kiwa głową. Uśmiecha się.

- Dobrze, że już wróciłaś, Megan.
- Cholernie dobrze.
- Jesteś moim ochroniarzem.
- I to najlepszym.

Spontanicznie przybijają sobie piątkę w idealnej harmonii, a plaśnięcie dłoni sprawia, że doberman podskakuje i znowu zaczyna warczeć. Ale one tylko się śmieją.

Obiad zaczyna się o normalnej porze, ale dziś refektarz jest bardziej zatłoczony niż zwykle, ponieważ obecni są wszyscy nauczyciele i weterani. Przyniesiono dodatkowe krzesła, a Szóstorocznych i dwoje uczniów z Siódmego przeniesiono ze zwykłych miejsc, aby przedłużyć stół na szczybie.

Wyciągnęli z nory nawet Frankensteina, z ogromnymi oczami w wychudłej twarzy. Dziobie jedzenie, jakby nie był do końca przekonany, że świnię odpowiednio przyłożyły się do zadania. Po jego prawej stronie pan Hickey pochłania posiłek z wojskową metodycznością.

– Na cycki Danú – mówi Megan. – Niech ktoś da mu lejek, zanim umrze z głodu!

Diane Mallon wreszcie opuściła szkołę, więc z weteranów zostali tylko Shamey i Melanie. Oboje popijają coś, co trzymają pod stołem, chociaż krąży pogłoska, że Melanie spodziewa się dziecka, a Shamey jest ojcem. To oczywiście absurdalne. Wszyscy wiedzą, że przy jej problemach z sercem ciąża ją zabije.

Dalej siedzi pani Breen, Indyczka, która unosi drobny podbródek i lustruje salę, a każdy uczeń czuje, jak przemyka po nim jej podejrzliwe spojrzenie. Przy głównym stole nie pada żadne słowo, ani jedno, dopóki ostatni kęs ohydneho „puddingu chlebowego” nie dociera do żołądka Indyczki.

Wtedy dyrektorka wstaje, gestem odprawia pracowników kuchni, którzy już wystawili gorące imbryki z herbaty z pokrzywy na stół pierwszorocznych.

– Posłuchajcie – mówi i wszyscy zamieniają się w słuch. Milknie nawet wiecznie rozgadana Megan. – Wiemy, że już słyszeliście, co wydarzyło się w szkole przetrwania w Bangor. I, oczywiście, wcześniej w Mallow. Wielu z was pyta, dlaczego tak się dzieje. Dlaczego Sídhé, wróg naszego Narodu, nadal nie mordują nas powoli, jednego po drugim. Dlaczego po tysiącach lat teraz stali się tacy... tacy niecierpliwi. Cóż, mogę tylko powiedzieć, że głowią się nad tym najtęższe umysły w kraju. Ale gdyby ktoś spytał mnie, to ja odczytuję tę niecierpliwość jako znak naszego sukcesu. Waszego sukcesu. Każdy kolejny ocalały przynosi nam nowe informacje o nich, mamy ich coraz więcej i więcej. – Uśmiecha się okrutnie, jakby chciała umocnić w sobie wiarę we własne słowa. Jakby strata dziewięciu na dziesięciu członków społeczeństwa, które miało trwać nieprzerwanie, mogła się dobrze skończyć.

– Kilka rzeczy musi się jednak zmienić. Najpierw dobre wieści. Kolejny z naszych wspaniałych weteranów, Shamey, wyprowadza się do domu.

Shamey podnosi wzrok, zaskoczony i przestraszony. To dla niego nowość. Ale nie protestuje.

– Pewnie idzie do szpitala, żeby odessali z niego cały alkohol – mówi szeptem Marya i Nessa może się tylko z tym zgodzić, ale serce bije jej mocno z podniecenia, ponieważ wie, co teraz usłyszy.

– A nasz Anthony Lawlor, dla większości z was Anto, wróci do nas. Wróci i podzieli się swoimi... hmm, świeżymi wspomnieniami i metodami na przetrwanie.

Nessa czuje, że pali ją twarz. Tego właśnie pragnie, ale wszystko wywraca jej się w środku, emocje wahają się między radością, strachem a zakłopotaniem, i uświadamia sobie, jak trudno będzie jej się skupić, kiedy Anto wróci do szkoły. Jego powrót to dla niej niebezpieczeństwo, jeśli nie nauczy się panować nad uczuciami. A z całą pewnością jej się to nie uda. Teraz to wie. Potrafi tylko je ukrywać. Pierwszy test następuje już kilka sekund później, kiedy Marya mówi:

– Przystojny chłopak, ten Anto. Ciało pływaka, jakby powiedziała moja mama. Nie miałabym nic przeciwko, mówię wam.

– Wcześniej nawet na niego nie spojrzałaś, Maryo! – Mówi to Megan, która nie ma czasu na chłopaków. Na dziewczyny zresztą też nie.

– No tak. – Marya ma wąskie nadgarstki i małe dłonie, którymi podkreśla każde słowo. – Przez ten cały jego głupi wegetarianizm. I niechęć do walki.

Innymi słowy: spodziewała się, że Anto zginie.

– Może wszyscy powinniśmy tak robić. W jego przypadku zadziałało.

Conor nie spróbuje pacyfizmu. Wysłuchał wystąpienia i siedzi na swoim zwykłym miejscu między Fiverem a Keithem. Liz Sweeney dosiadła się do nich przy stole chłopców, a po tym, co przytrafiło się jej bratu, żaden nauczyciel nie myśli nawet, żeby kazać jej się przesiąść. Jakby była jakimś cudem albo, wręcz przeciwnie, zarazą. Niektórzy siedzący przy szczytowym stole szepczą i zerkają na nią. Niektórzy w ogóle jej nie zauważają.

Conor odwraca się i zatrzymuje wzrok na Nessie. Nessa przywykła do myśli, że chłopak jej nienawidzi. Dopiero teraz rozumie, o co chodzi z tą niby nienawiścią. Prąd elektryczny z oczu Conora przebiega przez jego ciało, usztywnia je. Chłopak opuszcza podbródek tak, że czołem kieruje się w stronę dziewczyny, jakby mierzył w nią rogami. Nie wygląda jak chłopak. Ani dzikie zwierzę. Ani wąż. Jest jak duch Wezwania. Śmiercionośny, nieuchronny i nieodwracalny.

Nessa aż podskakuje, kiedy Megan mówi jej prosto do ucha:

– Ten biedak Conor wygląda, jakby miał zaparcie.

Czy tylko tyle dostrzega? Nessa zastanawia się nad tym, gdy jej przyjaciółka

zajmuje się deserem, nie dbając o resztę świata. Czy naprawdę tylko tyle ludzie widzą, gdy patrzą na Conora?



Ukrywanie

Trudno unikać kogoś ze swojego roku, a szczególnie Conora. Jego tak zwani „rycerze” są wszędzie i wszyscy oni zwracają na Nessę baczniejszą uwagę. Tony, o brwiach starca i trądzikowej cerze; Bruggers, najniższy z nich, ale o ruchach gada zrywającego się do lotu; Keith i Liz Sweeney, i nawet uczniowie z innych klas, na przykład pogrążona w żałobie i porzucona Sherry, która rozpaczliwie dąży do powrotu na tron królowej.

Umiejętność ukrywania emocji przez Nessę sprawiła, że jej jedynym obrońcą pozostała Megan, a Megan nie może być przecież w więcej niż trzech miejscach na raz.

Dlatego, kiedy kilka dni później odbywają się pojedynki na sali, Bruggers rozprawia się z Nessą i wali jej głową o podłogę. Gdy Nessie wciąż jeszcze dzwoni pod czaszką, słyszy, jak rywal się kaja.

– Na Croma, przepraszam, Nabilu. Myślałem, że jesteście na macie.

Podczas obiadu Liz Sweeney upuszcza kubek bardzo gorącej herbaty i tylko przypadkiem wrzątek nie ląduje na kolanach Nessy.

– Ups – mówi.

Nessa chwytą ją za nadgarstek.

– Co ty wyprawiasz, Liz Sweeney?

– No przecież mówię „ups”. Czy w Donegalu już nie mówicie po angielsku?

– To jest poważna sprawa, Lizo Sweeney. – Nessa jest dumna, że jej głos brzmi tak bardzo spokojnie. – Nie powinniśmy... nie powinniśmy robić sobie nawzajem krzywdy.

– No. Mogłaś o tym pomyśleć, zanim nakablowałaś na Conora i zafundowałaś mu Klatkę. I te kłamstwa, których o nim nagadałaś! Jakby on... Jakby on chciał przespać się z jakąś powykręcaną Kuścyczką! – Nessa nigdy nie widziała jej takiej wściekłej, a wszystko dzieje się tydzień po tym, jak jej brat przeżył Wezwanie! – A ty jesteś normalnie jak jakiś człowiek-słoń. Więc tak, Nesso, to poważna sprawa. Sama jesteś sobie winna, a teraz walka zaczyna się naprawdę.

W tym momencie Liz Sweeney gwałtownie łapie powietrze i oczy wychodzą jej z orbit, a Nessa uświadamia sobie, że ciągle ściska dziewczynę za nadgarstek, tak mocno, że czuje, jak jej kości trą o siebie.

– Mogłabym je złamać – oznajmia Nessa.

Połamane kości na Piątym Roku to poważna sprawa. Potencjalny wyrok śmierci.

– Masz rękę jak witka.

– No, dawaj. Nie będę krzyczeć.

– Ale ja nie muszę ci nic łamać. Mówię tylko, że masz zachować między nami pokój.

– No, dawaj, mówię ci. Rozmyślne uszkodzenie ciała oznacza wywalenie ze szkoły. Conor będzie zachwycony.

– Zaryzykujesz tylko po to, żeby mnie wywalili?

– Jeśli nie zamierzasz mi nic łamać, to muszę iść po drugą herbatę.

I Nessa z wymuszonym wzruszeniem ramion puszcza ją, ale w środku czuje przejmujący chłód.

Dwa następne dni mijają bez kolejnych ataków Rycerzy Okrągłego Stołu. Kilka razy rozbrzmiewają żałobne dzwony, ale nie dla Piątego Roku. Nie ma też nowych ocalałych, których powrót szkoła mogłaby uczcić. Przynajmniej nie ma już śniegu, stopił się, a w jego miejsce pada marznący deszcz.

Shamey powstrzymuje się od picia na czas pożegnań, głównie z Melanie, koleżanką weteranką, oraz Anne-Marie, ostatnią z Siódmego Roku, która jeszcze czeka na Wezwanie. Shamey to smutny nieduży chłopak. Rusza w kierunku Boyle w ubraniu, które dostał, niezręcznie poruszając się w butach. Nikt go nie zastępuje. Na razie.

Następnego dnia przypada Halloween. Sídhé uczcili święto prezentem w chłopięcej sypialni. To Keith, jeden z Rycerzy Okrągłego Stołu. Wyrzeźbili jego twarz na kształt kwiatu z krwi i skóry.

Wściekłość i wątpliwości ogarniają pozostałych rycerzy.

– Jesteśmy elitą – tłumaczy im Conor. – Będziemy mieli wyższy odsetek ocalałych niż inni.

Jednak Keith, Cahal i Chuckwu wpadli w ręce Sídhé, i to na tyle wcześniej, że wrogowie zdążyli się z nimi nieźle zabawić. Odszedł też Rodney, który okazał się zbyt powolny, aby umknąć Cahalowi. Dlatego do tej pory jedynym ocalałym z Piątego Roku pozostawał chłopak odżywiający się trawą, Anto.

Kiedy tego dnia rano spotykają się przed śniadaniem, Conor wie, że może ich stracić.

– Mówię wam, chodzi o szanse – ciągnie. – Przynajmniej trojgu z nas musi się udać. Gwarantuję wam.

Ale oni potrzebują czegoś więcej i w sumie, o dziwo, on też. Czuje, jak uśmiech wykrzywia mu twarz.

– Przynajmniej dopadniemy Kuścyczkę – mówi im. – Muszą pozbyć się dziewczyny Sídhé z lasu i ogrodzić kurhan. A to oznacza, że wrócą cotygodniowe polowania. Więc – jego wielka postać jest imponująca, a gesty godne starego mędrca – musimy pokazać jej, gdzie jej miejsce.

– Jej miejsce jest pod ziemią – mówi Bruggers, wciąż pławiący się w triumfie nad Nessą w sali gimnastycznej.

A Conor przytakuje i po kolei patrzy wszystkim w oczy, żeby pokazać, jak bardzo jest poważny, i wezwać ich, aby dołączyli do niego na tym kolejnym etapie.

– Z Megan też powinniśmy się rozprawić! – wtrąca Bruggers, ale Conor, niczym rozniewany, ale dumny ojciec, potrząsa głową.

– Mała ruda dziwka na pewno na to zasługuje. Ale może dojść tylko do jednego... jednego wypadku. Rozumiecie? Każdy kolejny wzbudziłby podejrzenia. Plan jest taki...

Nessa unika przyjaciół Conora ze wszystkich sił: udaje chorobę, kiedy orientuje się, że ma stoczyć pojedynkę z którymś Rycerzem; pozostaje w polu widzenia instruktorów, gdy tylko może. Ale to tylko działania na krótką metę.

Mija cały tydzień listopada, zanim Nessa uświadamia sobie, że to oni unikają jej. Dlaczego? Co planują? Pewnie coś większego niż pobicie. Coś o wiele gorszego.

Nagle nachodzi ją myśl, że musi opuścić Boyle. Widziała, jak któregoś dnia Conor na nią patrzył, a wyraz jego twarzy nie wskazywał na to, żeby miał postępować powściągliwie.

Pani Breen zorganizuje jej przeniesienie, jeśli o to poprosi, ale gdy Nessa podchodzi pod drzwi jej gabinetu i podnosi rękę, nie decyduje się zastukać. Jak pięknie. Dziewczyna, która najbardziej ze wszystkiego pragnie przeżyć, pozostaje jednak w otoczeniu wrogów, żeby jeszcze raz, ten ostatni raz, zobaczyć się z Anto.

Wyobraża sobie, jak z nim rozmawia, naprawdę rozmawia, i ma te same odczucia co wtedy, kiedy po raz pierwszy wychodziła przez okno łazienki. Zawroty głowy, oszołomienie, radość.

Nessa przeprosi go, że w niego wątpiła, w taki sposób, w jaki wszyscy wątpią w nią. Oboje są teraz zdecydowanie silniejsi, niż kiedy się tu zjawili i związali ze sobą. Albo raczej zwiążą się, kiedy ona również okaże się tego godna.

I właśnie tego wieczoru, kiedy nie zapukała do gabinetu z prośbą o przeniesienie, Anto wraca. Marya, którą przyciąga nawet najdrobniejsza sensacja, jest świadkiem jego przyjazdu i wpada do sypialni, żeby wszystkim o tym powiedzieć.

Na zewnątrz panuje już mrok i wszystkie dziewczęta z Piątego Roku poza

Aoife przytulają się jednego z dwóch kaloryferów, które wystają z podłogi w jednakowej odległości od wszystkich łóżek.

– Co się stało, Maryo? – pyta Nicole, która uważa się za mądrą. Dużą głowę zawsze nosi zadartą, a kąciaki mięsistych warg ma skierowane ku górze. – Wygrałaś na loterii?

Marya w odpowiedzi posyła jej promienny uśmiech i macha rękami z podekscytowania.

– Och, no prawie, dziewczyny! Prawie! Widziałam Anto!

I opowiada im o busie, który zajechał na tyły szkoły.

– A co ty tam robiłaś? – Chce wiedzieć Nicole, ale inne głosy każą jej „zamknąć się, bo inaczej za chwilę będzie pluła zębami”. Każda dziewczyna przebywająca w pomieszczeniu przeszła dostateczny trening, aby zrealizować tę groźbę, chociaż Nicole jest równie żylasta i przebiegła jak pozostałe.

– Zahamował z piskiem opon – opowiada Marya z szeroko otwartymi brązowymi oczami i wyciągniętą przed siebie ręką, jakby sama chciała zatrzymać pojazd – a chłopak wyskoczył z auta. Ale słuchajcie! Miał na sobie pelerynę, taką jak Drakula. I w chwili, dosłownie w tej samej chwili, kiedy dotknął nogami ziemi, ruszył sprintem, dosłownie to mam na myśli, sprintem, do drzwi budynku instruktorów. Nigdy czegoś podobnego nie widziałam. I biegł jakoś dziwnie, jakby utykał. A potem, kiedy dotarł, tam chyba było zamknięte, dobijał się i dobijał, cały spanikowany.

– To podobne do Anto – komentuje Liz Sweeney, przewracając oczami.

A Marya celuje w nią palcem.

– Nie mów tak o ocalałym!

Wszystkie głowy kiwają i Liz Sweeney wycofuje się zawstydzona.

– W każdym razie – ciągnie Marya – nie wiedziałam, że to on. Było ciemno. I, Jezus, to znaczy byłam sama. Byłam tam sama i musiałam mrużyć oczy. A potem on się rozejrzał i go poznałam. Pomachałam i zawołałam: „Cześć, Anto!”. I zaczęłam iść w jego stronę. I wtedy – przełyka ślinę i teraz nawet Nessa, która spija z jej warg każde słowo, robi się nerwowa.

– No, dalej! – ponagla Megan. – Na Kocioł Dagdy, wykrztuś to z siebie!

Marya bierze głęboki oddech.

– Powoli się do niego zbliżałam. Wiecie, tam jest ten żwir, który wbija się w bosc stopy.

– Właśnie po to tam jest – zaczyna tłumaczyć Nicole, ale inne jej przerywają.

– A on mnie zobaczył... i był przerażony. I walił, walił w te drzwi, i krzyczał, żeby go wpuścili. Wreszcie ktoś mu otworzył, a on wpadł do środka. A mnie wmurowało.

– Wziął cię za Sídhę – mówi Megan.

– Niech cię Crom porwie, ty beznadziejna ruda zdiro!

Ale Megan podnosi rękę na znak zgody.

– Nie, Maryo. Nie to miałam na myśli.

– Akurat! – wtrąca Nicole.

– Miałam na myśli – ciągnie Megan – że to pewnie szok pourazowy, nie?

I Marya od razu się rozluźnia.

– A, racja. Co to ja mówiłam? Och, dobra. Z tego wszystkiego zapomniałam.

W jej głosie słycać ulgę, a wszystkie mądrze kiwają głowami, jakby od razu same na to wpadły.

– No, w każdym razie – mówi Marya – Anto wrócił.



Żałoba Aoife

To nie tak, że w tym okresie ludzie nie rozmawiają z Aoife, chodzi raczej o to, że stała się dla nich niewidzialna. Niesie Chorobę Zagłady i nikt nie chce się nią zarazić.

Nie jest głupia, pomimo legendarnego już lenistwa i skłonności do pobłażania wszystkim swoim wadom. Jest świadoma czyhających niebezpieczeństw i prześlizguje się od jednego pustego doświadczenia do drugiego: od apatycznego zachowania na sali gimnastycznej; przez biegi po wzgórzach; po zajęcia z własnoręcznego wykonywania włóczni. Nie podnosi ciężarów podczas treningu kondycyjnego, a kiedy przychodzi pora na pompki, leży twarzą na macie i ze wszystkich instruktorów tylko Taaft ma, lub właśnie nie ma, serce, aby pokrzyknąć na nią z obowiązku.

– Kłopot w tym – mówi ktoś, konkretnie Nicole – że nie ma pogrzebów. Lubiałam Piskliwą Emmę.

Drapie się po brązowej szczecinie na głowie.

– Też mi jej brakuje. Chcemy przeżyć prawdziwą żałobę, a nigdy, nigdy nie mamy takiej szansy, prawda?

Liz Sweeney uśmiecha się tylko szyderczo w odpowiedzi.

– Gdyby miały odbywać się dwa albo trzy pogrzeby tygodniowo, to nie byłoby już czasu na nic innego. W każdym razie to, co Sídhé odesłali, co zostało z Piskliwej Emmy, nie zmieściłoby się do żadnej trumny. Widziałam.

W tym momencie Aoife zarzuca jej poduszkę na głowę. Musi. Woli siedzieć w Klatce. W celi zimnej jak śmierć, całej wyłącznie dla niej, której czarne ściany w wyobraźni pomaluje – ma do tego wielki talent. Jest dziewczyną, która może marzyć, o czym tylko zapragnie. Ale to trudne zadanie i wszystko wali się na najmniejszą wzmiankę o tym, co wydarzyło się w lesie.

Aoife nie wie, ile dni minęło od tamtej pory. Wystarczająco dużo, aby wszyscy przestali ją pytać o zdanie, aby Marya przestała nakłaniać ją do wysłuchania najnowszej sensacji, aby Nicole otwarcie grzebała w szafce Aoife na jej oczach. Czy Nicole zawsze to robiła? Czy okradała kumpele z sypialni? Była to pierwsza rzecz, jaką od jakiegoś czasu Aoife się zainteresowała. To jednak ciągle

było za mało.

Do przebudzenia Aoife doszło dopiero dwa dni po powrocie Anto, kiedy do sypialni wchodzi Sherry i zastaje tam tylko Liz Sweeney. No i, oczywiście, Aoife, na którą już nikt nie zwraca uwagi.

Ma głowę przykrytą poduszką, która zagłusza rozmowę.

– Nie możesz tu przychodzić, jesteś z Czwartego Roku, jakbyś zapomniała.

– Ja tylko na chwilę. – Głos młodszej dziewczyny jest pełen urazy i nieco drżący. – Muszę z tobą pomówić.

– No to mów.

Sherry najwyraźniej wykonuje jakiś gest, ponieważ Liz Sweeney prycha i mówi:

– Ach, ona, jej tu właściwie nie ma, rozumiesz? Ona prześpi Wezwanie, kiedy już ją spotka. Już nie żyje.

– Wolałabym...

– Crom ma gdzieś twoje „wolenie”, dziecinko. Musisz się z tym pogodzić. Król już cię nie chce.

– Ale... ale on musi. Chciałabym, żebyś go do tego nakłoniła.

– Nakłoniła? Nakłoniła, żeby z tobą gadał? Dlaczego, u licha... och.

Faktycznie: och! Żadna dziewczyna w ciąży nigdy nie przeżyła Wezwania. Kiedyś kilka z nich świadomie postarało się o dziecko w nadziei, że to zmieni je z „nastolatek” w osoby dorosłe. Taka w każdym razie była teoria, ale żadnej z nich to nie uratowało. Zatem kiedy państwo ustanowiło system szkół, miało silne argumenty, aby rozdzielić dziewczęta i chłopców. Aoife nie może sobie przypomnieć, dlaczego do tego nie doszło. Dla niej nie ma to najmniejszego znaczenia. System ignoruje homoseksualnych uczniów. Mogą sobie robić, co chcą, pod warunkiem, że przeżyją Wezwanie. Dopiero potem społeczeństwo nęka ich i nęka, żeby mieli dzieci, bez względu na ich własne pragnienia...

– Ja to załatwię – mówi Sherry. – Pozwolą mi. Ale on zasługuje na to, żeby się dowiedzieć. A ja do niego nie pójde.

– No, ani mi się waź! Albo ci zdefasonuję tę dziwkarską buziuchnę!

– O! – Sherry przybiera srogi ton głosu. – O! I to akurat ty śmiesz mnie nazywać dziwką, Lizo Sweeney?

– Co masz niby na myśli?

– Chcesz go mieć dla siebie, właśnie to. Ale on cię nie tknie palcem, Liz Sweeney, z tą twoją męską twarzą i męską figurą. Może ten gnojek Bruggers byłby bardziej w twoim typie!

Zgrzytają sprężyny łóżka, kiedy Liz Sweeney zrywa się na nogi, żeby spuścić lanie młodszej koleżance, chociaż niektórzy z Czwartego Roku potrafią już całkiem niezle oddać.

A wtedy Liz Sweeney zamiera w pół ruchu.

– Masz... Przyniosłaś tu nóż? Oszalałaś?

– Robię to, co muszę – odpowiada Sherry. – Czy nie tego uczył nas Conor? Trzeba się trzymać zasad, no i ja właśnie się ich trzymam. A teraz posłuchaj, on ciebie nie chce i nie chce także mnie, na razie. On chce jej, Kuścyczki.

– On... coś ty powiedziała?

– Uwierz mi. O, widzę, że mi wierzysz. Poderżnę jej gardło. Przysięgam na Kociół Dagdy.

– Nie. – Liza Sweeney prawdopodobnie potrząsa głową. – Conor nie chce Nessay, a dowód zobaczysz jutro. Wznawiają polowania.

– Macie plan? Żeby ją dopaść?

– To plan Conora. W lesie Nessa...

Prawdopodobnie Liz Sweeney uświadamia sobie, co zamierza powiedzieć w obecności Aoife. Prawdopodobnie wykonuje jakiś gest.

– Tylko tyle ci powiem, że z nią skończymy.

Gdzieś w głębi umysłu Aoife coś drga. Nie, że nie lubi Nessay, pomimo tego, że Emma zawsze ją adorowała. „Niestety, Emmo, nie jesteś w jej typie” – powiedziała jej raz Aoife, udając, że nie czuje się zraniona. I sama musi docenić urok dziewczyny z Donegalu: te rozmarzone oczy, ten królewski sposób bycia. Ta aura tragedii, która ją otacza, niczym cierpiące na raka bohaterki książek tak uwielbianych przez Aoife w pierwszych latach pobytu w szkole. Aoife też miewa fantazje na temat Nessay, choć wszystkie zawsze rozbijają się o jej wyniosłą postać.

Ale mimo wszystko. Mimo wszystko. Czy one planują ją zamordować?

– Mogę... mogę pomóc – proponuje młodsza dziewczyna.

– Co? Chcesz się popisać przed nim, mała Sherry, nie? Ciężarna Sherry Idiotko? – Z brzmienia głosu Liz Sweeney można wywnioskować, że jest szalenie rozbawiona. – Jesteś na Czwartym Roku i nie będziesz jutro na polowaniu. Wy będziecie kokosić się w łózkach z misiami i bać psów na korytarzach.

– A co, jeśli dopadnę ją pierwsza?

– Nie bądź głupia! – I zniża głos do szeptu. Zbyt cichego, aby Aoife mogła coś usłyszeć. Nie, żeby próbowała.

Sherry wychodzi i drzwi cicho się za nią zamykają.

Przez chwilę Aoife myśli o tym, że powinna ostrzec Nessę, że szykują jej coś okropnego. Ale obraz zwłok Emmy wraca do niej w myślach, więc musi się teraz z całej siły skupić na opanowaniu mdłości.

Świadectwa są pełne najkoszmarniejszych opisów. I od lat między tomami encyklopedii w bibliotece ukrywa się przed uczniami zakazane zdjęcia najbardziej zmasakrowanych ofiar Sídhé. Aoife nie widziała nigdy nic gorszego od tego, co zrobili jej Emmie! Nessa zostanie schwytana przez nich na tyle szybko, że czeka ją podobny los. Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. Straszliwe ręce na żywca wywrócą jej czaszkę na lewą stronę.

Gang Conora zrobi właściwie Nessie przysługę. Zemszczą się na niej za tę nieokreśloną zniewagę i będzie wolna.

Poza tym Aoife nie może interweniować. Sama musi walczyć o tyle rzeczy: musi wzmocnić swoje wewnętrzne mury, żeby zapanować nad okropnościami, które ją czekają. Jeśli jej się to uda, będzie w stanie wyobrazić sobie wycieczkę do stanowiska archeologicznego z epoki żelaza, gdzie Emma, zupełnie niespodziewanie, pierwsza ją pocałowała. Emma nigdy wcześniej się nie ujawniła! Cicha jak myszka, od której zyskała to głupie przydomko. I ten pocałunek! Tuż pod nosem pani Buckley kryjącej się za stosem kamieni! Czuje te drobne dłonie w swoich i pamięta, jak jej ciało samo się wygięło, żeby ich wargi mogły się spotkać...

A potem ktoś zrywa jej poduszkę z twarzy i słońce razi ją w oczy.

– Jeśli powiesz słowo – mówi Liz Sweeney – choć jedno słowo o tym, komukolwiek, pożałujesz, że sam Crom się tobą nie zajął.

– Daj mi spokój – odpowiada Aoife, wściekła, że Liz Sweeney pakuje jej się z wielkimi buciarami w najcenniejsze wspomnienia.

Może to z powodu czerwonych, bardzo czerwonych oczu. Albo znacznej utraty wagi. Albo drżących warg. W każdym razie Liz Sweeney tylko szyderczo się uśmiecha, odrzuca poduszkę i wychodzi z sypialni.

Kilka godzin później Aoife podskakuje na dźwięk dzwonu. To po prostu dzwon na obiad. Uświadamia sobie, że zasnęła. Zwykle jest wielkim łakomczuchem i teraz z przyzwyczajenia nogi niosą ją schodami w dół i przez dwa korytarze do refektarza. Idzie tak wolno, że dociera na miejsce jako jedna z ostatnich. Cały Piąty Rok zajmuje już swoje miejsca. Niektórzy się śmieją, twarze mają zarumienione, włosy rozwiane po biegu, z którego najwyraźniej dopiero wrócili. Pada deszcz, szyby są zaparowane, a całe wielkie pomieszczenie rozbrzmiewa brzękami, rozmowami i pokrzykiwaniami.

Aoife nie może się oprzeć, by nie przesunąć wzrokiem po pustych miejscach przy stołach. Nie ma ich jeszcze aż tak dużo: Sídhé zabili mniej niż dziesięcioro z sześćdziesięciorga uczniów Piątego Roku. Jeśli takie tempo się utrzyma, to do lata będą mieli jeden zgon na tydzień.

Podchodzi do swojego miejsca obok Maryi i Megan. I tutaj widzi puste krzesło, którego się nie spodziewa. Przez chwilę zastanawia się, czy nie przeoczyła dzwonu żałobnego, ale wtedy przypomina sobie, że Nessa zawsze kończy bieg dziesięć lub dwadzieścia minut później niż reszta klasy, zależnie od długości trasy.

Megan wzrusza ramionami.

– Wyglądasz, jakbyś dopiero się obudziła.

– Tak? – Po drugiej stronie, przy stole chłopaków, Liz Sweeney ryczy jak osioł i Aoife sama jest zaskoczona swoimi słowami. – Jestem głodna! – mówi. Jej przebudzenie jest powolne, jak wiosna, ale głęboko w środku nowy cel kielkuje

i szuka światła.

Ale wtedy zapomina o głodzie i wstaje.

– A ty dokąd? – pyta Megan.

– Ja... Muszę się z kimś zobaczyć. Natychmiast! Ale z tobą też muszę porozmawiać, Megan. Później.

Wychodzi, a rudowłosa Megan podąża za nią wzrokiem.



Wizyta

Większości uczniów zwykle trudniej trenuje się w deszczu, ale Nessa, dzięki swojej nadzwyczajnej koordynacji i świetnemu refleksowi, zawsze potrafi nieco szybciej poruszać się po błotnistym gruncie. Lubi się ślizgać. Wykorzystuje każdą cechę terenu: zjeżdża po zboczach, łapie się i odpycha od drzew, i szybko porusza się na kamienistym podłożu o kulach. O ile się jej nie złamią, oczywiście. Jest to jednak męczące i po jakimś czasie zawsze zostaje w tyle.

Ale tym razem, zamiast walczyć i się nie poddawać, Nessa po prostu stoi i czeka. Nabil i Horner zrobili już okrążenie z główną grupą. Kiedy skończą trasę, instruktorzy i uczniowie pójdą pod prysznic, a potem popędzą na obiad. Ich radary nie wykrywają Nessy – w końcu i tak zawsze jest ostatnia.

Dziewczyna przez chwilę idzie spokojnie, lekko drży, wsłuchuje się w tysiące szelestów w niskich krzewach, po czym przystępuje do realizacji planu.

Teraz, kiedy Shamey się wyniósł, jego pokój w kwaterach personelu zwolnił się dla Anto, a ona jest gotowa na każde kłamstwo, byle tylko się do niego dostać. Chce się pożegnać, zanim załatwi sobie przeniesienie u dyrektor Breen.

Idąc, walczy ze smutkiem, że będzie musiała się rozstać z Megan. Anto przynajmniej już przetrwał próbę, ale wszystko wskazuje na to, że Nessa już nigdy nie zobaczy przyjaciółki.

Przestań! – nakazuje sobie, kiedy łzy napływają jej do oczu. *Po prostu przestań.*

Jest dopiero siedemnasta, kiedy wymyka się spomiędzy drzew na raniący stopy żwir koło wejścia do kwater personelu. Zbliża się już koniec roku, a z powodu deszczu w całej szkole palą się światła. To one prowadzą ją do drzwi, oświetlając jednocześnie napisy grożące Klatką każdemu uczniowi, który kręci się tu bez obstawy. Pomimo to Nessa, która zasłużyła już na karę opuszczeniem biegu, waha się.

Ale to nie wizja Klatki ją powstrzymuje.

Wie, że Anto nie będzie taki sam po próbie. Wie o tym. Zatrzymuje się na schodku i drży od kropel deszczu, który ściekają jej za kołnierz bluzy. A co, jeśli Anto wcale nie chce jej widzieć? Uciekał przecież przed Maryą. Jak przed

zadzumioną.

Drzwi otwierają się z łatwością i Nessa wchodzi w znajomy korytarz z pokojami instruktorów. Na każdych drzwiach znajduje się tabliczka z nazwiskiem. Idzie dalej, do pogrążonego w mroku końca, gdzie ze wspólnego kosza na pranie wysypują się brudne dresy, jeszcze wilgotne po biegu. I tam widzi drzwi z odręcznym napisem: „Anthony Lawlor”.

Ależ jest zdenerwowana! Spocone ręce, nieustanne przelykanie śliny. Układa rękę w pięść i przysuwa ją do drzwi. *Lepiej to przemyśl*. Zamiast zastukać, przykłada ucho do drewna. Nie słyszy nic, zupełnie nic.

Kto lub co jest w środku? Tak, słowo „co” jest ważne, ponieważ ludzie często wracają stamtąd z uszkodzeniami nie tylko na ciele, ale też na umyśle. Tak jak Eithne Fitzgerald ze splątanymi nogami. Jak Ryan McMurty, który nosi ślady palców Sídhé na czole. Do końca krótkiego życia cierpiał na okropne bóle głowy i dziwaczne wizje, które uważał za prorocze. Wszystkie zostały spisane, chociaż nikt nie znalazł w nich najmniejszego sensu.

Mogłam zabrać wiersz. Wsunęłaby go przez szparę pod drzwiami. Byłoby to przypomnienie, że komuś na nim zależy. Bez względu na to, czym się stał. I uświadamia sobie, że musi mu to powiedzieć osobiście. Zanim duchy Wezwania porwą ją do Szaroziem.

I wtedy otwierają się główne drzwi – te, którymi weszła, na drugim końcu korytarza. Nessa pakuje się pod stertę śmierdzących dresów, nie ma nawet czasu, żeby zostawić sobie miejsce do obserwacji i modli się, by ten ktoś nie zauważył jej ruchu.

Kroki zbliżają się do jej kryjówki i Nessa czeka tylko, aż ktoś zerwie z niej osłonę. Zamiast tego słyszy jednak delikatne pukanie w drewniane drzwi i sceniczny szept:

– Anto? Anto, jesteś tam?

– Odejdź. – Nessa aż podskakuje, chociaż stłumiony głos jest na pewno jego głosem. Wypalonym i pustym.

– To ja, Aoife. Mogę wejść?

Aoife? Ze wszystkich ludzi jej Nessa spodziewałaby się tu jako ostatniej. Nie żeby Aoife i Anto byli wrogami – raczej wręcz przeciwnie. Aoife rzadko częstowała chłopców ciastkami babci, ale Anto, dzięki swojej łagodności, czasem miał okazję ich skosztować.

– Anto? Chodzi o Nessę.

Nessa zastyga w swojej norze. Nigdy tak bardzo nie wyęczała sił, żeby coś usłyszeć, ale brudne ubrania, odległość oraz fakt, że drzwi były drewniane, bardzo jej przeszkadzały w podsłuchiowaniu. Z tego, co wywnioskowała, Aoife nie doczekała się odpowiedzi.

– Posłuchaj – nie ustępuje Aoife. – Jutro po południu ma być polowanie

i gang Conora... gang Conora planuje... myślę, że oni planują ją zabić.

Co takiego? – myśli Nessa. Co planują? Mimo wszystko jakoś jej to nie zaskakuje i uświadamia sobie, że jej samej podobne zamiary z ich strony wydawały się możliwe, od kiedy Liz Sweeney niemal oblała ją gorącą herbatą.

W pierwszej chwili Anto nie odpowiada, ale Nessa przykuca pod ubraniami jak kot w pudełku i czeka, czeka, żeby się dowiedzieć, czy jest żywa, czy martwa.

A potem wszystkie możliwości obracają się w proch i zostaje tylko jedno: wyrok śmierci.

– Nic mnie to nie obchodzi! Idź sobie, Aoife. Idźcie sobie, wszyscy.

– Po co tu w ogóle wróciłeś? Nie musisz przecież pracować jako weteran!

Ale wygląda na to, że Anto nie ma nic więcej do powiedzenia.

Aoife odchodzi, a Nessa robi to zaraz po niej, bo kiedy dochodzi do siebie, postanawia pospacerować w deszczu, nie bardzo wiedząc, dokąd ani po co idzie. To ona miała go odrzucić. Dla własnego bezpieczeństwa. To ona zawsze musiała walczyć ze szkodliwymi fantazjami, w których żałuje romantycznych gestów, żałuje Anto i boi się o niego.

Za każdym razem, gdy go spotykała, kiedy on patrzył na nią tymi wilgotnymi oczami, ona odpowiadała: „O, nie, dzięki! Nie ma mowy!”. I po co? No po co?

Oczami wyobraźni widzi, jak jej farma w Donegalu rozplywa się i zmienia w brudne mieszkanie w jakimś miasteczku, gdzie Nessa mieszka sama.

W końcu zimno każe jej wejść do środka. Po raz drugi tego dnia używa zakazanych drzwi i przypada do starodawnego kaloryfera, drżąca i zbyt pusta na łzy.

Niedługo potem znajdują ją psy.

Zawsze kręci się tu ich stadko, rasowych i kundlów. Są wśród nich zarówno okazy agresywne, jak i przyjacielskie, więc kiedy Jack Russell na nią warczy, to wielki doberman go odpycha. Potem kładzie swoje ciepłe śmierzące cielsko obok niej i się przytula. Potem podchodzą następne, a w końcu cała ich gromada tłoczy się wokół niej, dysząc, ziewając i puszczając baki. Nessa zasypia.

Następnego dnia rano zostaje wezwana do gabinetu pani Breen.

– Twoje zachowanie, Nesso... Twoje zachowanie robi się coraz dziwniejsze. Jesteś tego świadoma?

Nessa stoi przed nią w zagraconym gabinecie przesiąkniętym mentolowym zaduchem. Zwłoki reagowałyby żywiej.

– Bóg jeden wie, jak bardzo staram się, żebyś nie trafiła do Klatki, ale skutecznie mi to uniemożliwiasz. A teraz znajdujemy cię z psami w nocy! W korytarzu Siódmorocznych, akurat tam!

Pani Breen patrzy na nią niecierpliwie, oczekując wytłumaczenia, przeprosin, ale żadnej z tych rzeczy się nie doczeka. Wreszcie wzdycha.

– Zatem bardzo dobrze. Jutro rano po śniadaniu meldujesz się u Nabila.

I wreszcie beznadziejną rozpacz dziewczyny przerywa ślad emocji: zdziwienie.

– Jutro, proszę pani?

– Ach, myślisz, że wykręcisz się z dzisiejszego polowania? I to w sytuacji, gdy wasz rok miał trzytygodniową przerwę z powodu... z powodu tej Sídhe, którą znalazłyście w skale? Nie, nie. Dostajesz dwa dni kary, ale od jutra.

Nessa ma teraz idealną okazję, żeby poprosić ją o przeniesienie z powodu śmiertelnego zagrożenia albo przynajmniej niezborności kończyn. A jednak chwilę później jest już znowu na korytarzu, gdzie szare dzienne światło wpada przez górne okna, a z mocnego postanowienia nie zostaje już ani śladu.

Musi zawrócić. Jeszcze nie jest za późno. Zamiast tego, podobnie jak psy zeszłej nocy, tym razem znajduje ją grupa dziewcząt, z Megan na czele. Znowu otacza ją ciepło i, tak, miłość.

– Aoife wszystko mi powiedziała – mówi Megan. Obejmuje zdruzgotaną Nessę muskularnymi ramionami. – Nie pozwolę, żeby te zarzygane mendy tknęły cię choćby palcem. Rozumiesz?

– Mhm.

I Megan wali ją tak mocno, że Aoife, Marya i Nicole odskakują do tyłu.

– Właśnie tak, Nesso! Czas się obudzić! Za chwilę są zajęcia z Frankensteinem, a potem fascynująca godzina z Indyczką. A potem przystąpimy do planu upokorzenia króla Conora i jego rozbrykanej gromadki. Słuchasz mnie? Jeszcze jedna wpadka i nawet Liz Sweeney wyrzuci go jak śmierdzącą skarpetę do kosza.

I teraz Nessa czuje, że uśmiech wstępuje jej na twarz, i wreszcie nie próbuje go ukryć. Zamiast tego ściska dziewczyny. Wie, że Megan zrobi dla niej wszystko, a Aoife jest tak przepelniona dobrocią, że pomogłaby nawet wrogowi. Obecność Maryi i Nicole stanowi dla niej jednak duże zaskoczenie.

Nessa pozwala, aby koleżanki zaprowadziły ją do klasy.

Nie siadają obok siebie, aby uniknąć podejrzeń.

Aoife, chudsza niż kiedykolwiek wcześniej, kładzie głowę na ławce w pierwszym rzędzie i zasypia. Nawet jeśli Frankenstein to widzi, nic nie mówi. Mruga niewzruszenie zapadniętymi sowimi oczami i powoli cedzi słowa słabym głosem. Ostatnio ciągle się poci, jakby roztopiał się od słabego ciepła grzejników.

– Oczywiście, Sídhe uprawiają różne formy sztuki. Muzyka i taniec są tu oczywiste. Rzeźbią wspaniałe narzędzia z kości... – Zagryza obwisłe wargi – jeśli wierzyć plotkom, najbardziej lubi zwilżać je tanią wódką. Nawet w trzecim rzędzie

uczniów odrzuca od jego obrzydliwego oddechu. – Ale najlepsze pomysły zachowują sobie dla dzieł, które wykonują w ludzkich ciałach. To jedyna forma magii, na której istnienie mamy naukowe dowody.

– Jak można to udowodnić? – pyta Bruggers i tym celnym pytaniem szokuje Frankensteina.

Po kilku kolejnych bezowocnych próbach zwilżenia warg, nauczyciel mamrocze coś o komórkowych strukturach w ciałach, zarówno żywych, jak i martwych, które powróciły z Szaroziami, ale Nessa już nie słucha. Nagle odkrywa, że wpatruje się w twarz Frankensteina. Jest w niej coś, czego nie potrafi określić.

Został nauczycielem na długo przed jej przyjazdem do szkoły i na początku jego wykłady o dziwnej biologii Szaroziami należały do jej ulubionych. Ale potem wydarzyła się ta historia z jego żoną. To była zła śmierć, jak na standardy tego świata, a najwyraźniej facet nie miał żadnych przyjaciół, którzy ściągnęliby go z powrotem na ziemię, ponieważ stoczył się już do tego stopnia, że podobno pani Breen dała mu ostatnie ostrzeżenie.

Nessa zawsze uważała, że to smutna, ale romantyczna historia i do tej pory nie poświęcała jej większej uwagi.

Podnosi rękę.

– Hmm... Frank?

Nauczyciel przerywa na chwilę mamrotany wywód, a Nessa ciągnie.

– Czy, hmm, czy jest pan chory?

– Chory, dziecko?

– Pańska twarz, proszę pana. Jest... żółta.

Niezupełnie cała żółta, ale pod strużkami potu spływającego mu po twarzy rzeczywiście pojawiają się żółte smugi.

– Och, Boże, tylko nie to. – Ma najsmutniejszy głos, jaki Nessa kiedykolwiek słyszała. – To jest... Nie żeby to była wasza sprawa. To żółtaczka. Ja... maskowałem ją...

– Makijażem? – To Bruggers, który nie zadaje sobie nawet trudu, żeby powstrzymać chichot. A Frank O'Leary odpycha się od biurka i wybiega z klasy.



Przeprosiny

W porze obiadowej dwukrotnie rozbrzmiewają żałobne dzwony. Anne-Marie, ostatnią uczennicę z Siódmego Roku, spotkał srogi koniec; jej los podzielił chłopak z Szóstego. Dlatego do obiadu zasiedli w ponurym nastroju.

– Pomyślcie – mówi Marya. – Nie ma już Siódmego Roku!

Aoife, która znowu zaczęła jeść, nawet nie podnosi wzroku, ale Nessa oczami wyobraźni widzi dwie małe sypialnie i łóżka, które zostaną puste aż do wrześnie.

– Nie osiągnęli nawet średniej jeden na dziesięć – ciągnie Marya. Pochodzi z jednego z tych domów, w których nie widzi się nic złego w mówieniu z pełnymi ustami. Jednocześnie więc konsumuje i hojnie dzieli się jedzeniem z pozostałymi.

– My nadrobimy statystyki – wtrąca Nicole, ale nikt nie lubi mówić takich rzeczy ani nawet ich słuchać, więc dziewczyna urywa, gdy spojrzenia koleżanek się od niej odwracają.

– Nie chciałabym być ostatnia – mówi Marya, machając małymi piąstkami. – Możecie to sobie wyobrazić?

A one mogą. Spośród wszystkich możliwych straszliwych scenariuszy, ten raz po raz nawiedza ich myśli. To oznacza patrzeć na przyjaciół, żywych lub martwych, i wiedzieć, że przez cały czas wzrasta prawdopodobieństwo wezwania do Szaroziem. O wiele lepiej jest przejść próbę szybko. Byle nie teraz. Nigdy nie ma dobrego momentu!

– No dobra, to co robimy? – pyta w końcu Megan. – Myślałam, żeby poczekać na wywieszenie list myśliwych i ofiar. Szanse na to, że wszystkie będziemy w jednej grupie, są mniejsze niż zaszrane świńskie oczka Conora, prawda? – Potwierdzają skinieniem. – A więc jeśli Nessa będzie ofiarą, zorganizujemy to tak, że natknie się na myśliwego spośród nas, zostanie złapana i natychmiast wyprowadzona z lasu. Albo odwrotnie.

Plan jest tak oczywisty, że zakazują go zasady i grożą za to odpowiednie kary. Ale Megan uważa, że nawet jeśli będą miały przez to kłopoty, uratują życie przyjaciółki na najbliższe dwa tygodnie. I to być może wystarczy, bo kto wie, co zdarzy się przez dwa tygodnie? Może Conor zostanie Wezwany. Albo Nessa.

– Zawsze niepokoi mnie perspektywa Klatki – mówi Nicole, ale Megan tylko przewraca oczami.

– Spędziłam tam najlepsze chwile mojego pobytu w szkole. Bez twojego chrapania, Nicole.

– Ja nie chrapię!

– W takim razie trzymasz wiertarkę pod poduszką.

Marya klaszcze z uciechy, a Nicole może tylko cicho jęknąć:

– Kiepski dowcip...

Megan dopadnie każdą z nich, zanim zapadnie zmrok.

Nessa także się śmieje, ale wtedy uświadamia sobie, że przez cały ranek ani razu nie pomyślała o Anto. Ale teraz znowu wspomnienie kołacze jej się po głowie. *Powiedział, że nic go to nie obchodzi.*

Ale Megan znowu przywołuje ją do rzeczywistości, ściskając za ramię.

– Musisz się skupić – mówi. – Na cycki Danú, jesteś tępą zdzirą.

Tak wygląda delikatność według Megan.

– Myślałam, że lubisz swoje zdziry? – mówi Nicole, która wreszcie odzyskuje język w gębie. Nie jest dziś sobą. Może boi się tego, co ma się wydarzyć wieczorem, jeśli odbierze Conorowi jego ofiarę.

I ma powody do obaw – myśli Nessa.

Potem wszystkie podskakują, gdy przy ich stole zjawia się Liz Sweeney.

– Proszę, proszę – mówi, przenosząc wzrok z jednej twarzy do drugiej, zanim wreszcie zatrzymuje go na Aoife. – A więc nie umiałaś utrzymać jęzora za zębami. – Uśmiecha się, jakby ani przez chwilę w to nie wierzyła, czy raczej, jakby Conor nie wierzył. W końcu nie jest głupi, bez względu na to, co myśli o nim Nessa. Zatem musiał już odgadnąć, że szykują tak okropnie oczywisty plan i że musiał to brać pod uwagę.

– Mogę się do was dosiąść? – pyta.

– Nie – odpowiada Megan, ale Liz Sweeney tylko się uśmiecha i siada na pustym krześle Piskliwej Emmy.

Pani Breen nie zasiadła jeszcze przy stole nauczycielskim. Utknęła w gabinecie z wrakiem człowieka, Frankiem O’Learym, wciśniętym w twarde krzesło. Twarz ma pociągłą jak nigdy, nogi zbyt długie, aby zmieściły się między nim a biurkiem, oczy zieją mu pustką.

– Frank – mówi Breen – nie pozostawiasz mi zbytniego wyboru, wiesz?

– Obiecałaś... – odpowiada Frank odległym głosem egipskiej mumii, a każde jego słowo rozpada się w pył natychmiast po tym, jak dotrze do jej uszu. Nawet jego oddech cuchnie grobem. Dyrektorka stara się nie wzdrygnąć. – Obiecałaś, po tym, jak ona... jak umarła moja żona. Powiedziałaś, że na koniec roku z godnością odejdę na emeryturę. Po Bożym Narodzeniu, tak powiedziałaś.

Breen ciężko wzdycha, trze oczy i myśli sobie, że pewnie wygląda niewiele lepiej od niego. Źle sypia, zawsze nasłuchuje dźwięku dzwonów żałobnych,

pomimo tego, że zawsze dzwonią one na jej rozkaz i nigdy w nocy. Umysł potrafi jednak znieść tak wiele, zanim się załamie: tyle lat patrzenia na to, jak giną jej ukochane dzieci, tutaj, w szkole. Albo udawania mądrości i spokoju, podczas gdy tak naprawdę pragnie, aby zamknięto ją w jakimś cichym miejscu, gdzie nie będzie musiała podejmować żadnych decyzji. Ale w przeciwieństwie do Franka O'Leary'ego codziennie rano odnajduje w sobie nowe, niezbędne jej siły. Prowadzi tę okrutną grę od tak dawna, że w najgorszych chwilach wystarcza jej sam nawyk, by trzymać plecy prosto.

– Frank, posłuchaj – mówi. – Wyszedłeś z klasy. Jestem pewna, że przeżyłeś załamanie nerwowe, prawda? To oznacza, że jesteś obecnie bardzo wrażliwy. Zbyt wrażliwy do tej pracy.

Wie, że jej słowa ranią, że praca uczyniła z niej potwora, jednak nie przestaje mówić.

– Uczniowie potrzebują najlepszych, by przeżyć.

– Nikt nie wie więcej o Szarozemi ode mnie.

– Wiem. Twoje teksty są genialne. Dlaczego nie skoncentrujesz się na pisaniu?

Frank z trudnością unosi podbródek.

– Allanno – zwraca się do niej po imieniu, po raz pierwszy od ponad roku. – Posłuchaj. Ja... – Breen doznaje szoku, kiedy Frank osuwa się przed nią na kolana, a długie palce wbija w jej biurko. – Został jeszcze tylko... tylko miesiąc. Właściwie sześć tygodni. Pozwól mi... pozwól mi odejść z godnością. W wyznaczonym czasie. Nie zniosę tego. Ja już... – nagle przerywa, a Allana Breen myśli sobie, że Frank jest najbardziej żalowaną istotą, jaką kiedykolwiek widziała.

Ale pamięta też, jak śmiał się w lepszych czasach: głębokim, perlistym rykiem, który wypełniał cały pokój nauczycielski. I może to wcale nie taki zły pomysł, żeby poczekać do świąt. Uczniowie spędzą dwa tygodnie z rodzinami, a ona będzie miała dość czasu, żeby znaleźć nowego nauczyciela. W ten sposób nie zakłóci życia szkoły.

Wzdycha.

– Wstawaj, Frank. Niech będzie. Zostajesz do świąt, ale pod warunkiem, że będziesz radził sobie z dziećmi, rozumiesz? Jeszcze raz wyjdiesz z klasy i natychmiast znajdę kogoś innego. A teraz wybacz mi, muszę przemówić do uczniów.

Umyka do drzwi, zanim Frank zdąży wymamrotać podziękowania. A na korytarzu wpada prosto na Hornera, czyli jeszcze jednego złamanego człowieka. Ten zatrzymuje się, żeby ją przepuścić i, jak zawsze w jego obecności, dyrektorka musi się mocno starać, by nie uciec biegiem.

Tylko Tompkins potrafi się dogadać z tym człowiekiem, i tylko Tompkins,

jak się zdaje, znosi spojrzenie jego rybich oczu i wieczne milczenie. Nie po raz pierwszy zastanawia się, co ci dwaj musieli razem przejść, że niezłomny, zupełnie... n o r m a l n y Tompkins znosi to wszystko.

A potem przechodzi przez drzwi do zaparowanego, ciepłego pomieszczenia. Uczniowie piją już herbatę, więc bez zwłoki prosi o ciszę.

– A zatem – przerywa i jej wzrok pada na pusty stół Siódmego. Pamięta, jak pewnego roku jedna biedaczka siedziała przy nim samotnie aż do marca.

– Posłuchajcie – ciągnie. – Naród musi przetrwać. – Te słowa zawsze otrzeźwiają nawet najbardziej niesfornych czwartoroczniaków. – My, nauczyciele, chcielibyśmy przeprosić was, naszych uczniów. – Dostrzega wiele zdumionych spojrzeń. – Kilka tygodni temu podczas polowania uczniowie Piątego Roku znaleźli... no, sami wiecie, co znaleźli. Nasze próby, aby to ukryć, okazały się nie tylko bezskuteczne, ale wręcz niebezpieczne. Tak. Wasza ciekawość nie jest niczym nienaturalnym. Szczególnie że od tego zależy wasze przetrwanie. Ukrywaliśmy przed wami dziewczynę w skale, doprowadzając do tego, że troje uczniów Piątego Roku zostało Wezwanych równocześnie. – Nie wspomina o Anto, chłopcu, który wrócił żywy i który odmówił wyjścia z pokoju i zajęcia miejsca przy stole na szczycie razem z drugą weteranką, Melanie.

Lekarze z Dublina przysłali raport na temat jego „stanu zdrowia” i Breen nie może się doczekać, aż go przeczyta. Ale w tej chwili to tutaj stoi przed nią ważniejsze zadanie.

– Przepraszam za naszą tajemniczość. Pozwólcie, że powiem wam o tym kilka słów: zabraliśmy dziewczynę z lasu razem z głazem, w którym umarła. Uważamy, że... moc tego miejsca zniknęła razem z nią. Ale nie jesteśmy tego pewni, więc ogrodziliśmy cały kurhan. Chcę podkreślić, że ogrodzenie nie stoi tam po to, żebyście nie mogli tam czegoś zobaczyć, ponieważ daję wam słowo, że nie ma już nic do oglądania. I obiecuję też, że jeśli uczeni odkryją coś w związku z dziewczyną w skale, powiadomimy was o tym.

To akurat jest kłamstwo.

Nie powie dzieciom, że kilku uczonych na początku protestowało przeciwko ogrodzeniu kurhanu. Dziwne uczucie, o którym informowali uczniowie, zafascynowało ich.

– Moglibyśmy dowiedzieć się o tym więcej – sugerował pewien siwy starzec – gdybyśmy dokładniej zbadali ich odczucia. Gdybyśmy mogli jakoś świadomie sprowokować Wezwania.

Zmusiła uczonych do milczenia, żeby ochronić dzieci przed potworami z Dublina. Martwi się, że pewni przedstawiciele rządu mogą dalej próbować ją do tego zmusić.

Ale w tej chwili ufa, że udało jej się załatwić tę sprawę.



Ostatnie polowanie

I znów jest w lesie, a czoło polowania rusza tak szybko, że Nessa ledwo ma czas sklecić sobie kule. Nie są to nocne łowy. W cieniu drzew w połowie listopada jest wystarczająco ciemno, aby upodobnić otoczenie do Szaroziemni, a przynajmniej tak uważają nauczyciele.

Gdy tylko Nessa jest gotowa, kieruje się w stronę Wrózego Fortu.

Wpadła na ten pomysł podczas przemówienia pani Breen.

– Słuchajcie – powiedziała swoim sojusznikom, gdy tylko na tablicy Piątego Roku wywieszono listy myśliwych i ofiar. – Teraz wszyscy będą się bać kurhanu. Tego, że zostaną Wezwani.

– Racja! – zgadza się z nią Nicole.

– Najprawdopodobniej – mówi Nessa. – Wiecie, ja wiem, że to okropne, ale mamy tylko dwie możliwości: albo w tym miejscu nadal jest moc, albo nie, prawda? A jeśli jest, jeśli mamy zostać Wezwane, to lepiej, żeby to się stało na początku polowania, kiedy jesteśmy silne, najedzone i gotowe. Nie da się tego zaplanować lepiej.

Nicole nie wygląda na przekonaną, ale Megan jej przerywa:

– Och, na litość Croma! Dziewczyny w skale już nie ma, a my nie będziemy nawet mogły wspiąć się na ten cholerny kurhan. To tylko miejsce, gdzie się spotkamy, a oni nie będą się rwać, żeby szukać nas właśnie tam. Nesso, zauważymy cię po południowej stronie i tam cię „złapiemy”. I zasłużymy na przysznic.

– W moim przypadku zimny – odpowiada Nessa. Uśmiecha się jednak, i to nie tylko do najlepszej przyjaciółki, ale też do Aoife, Maryi i Nicole. Mimo że przez te wszystkie lata wielu ludziom okazywała chłód, tutaj są tylko one, cztery dziewczyny – właściwie młode kobiety – gotowe zaryzykować Klatką, spotkaniem z Conorem, aby uratować jedną osobę.

Jedyny problem polega na tym, że Conor z pewnością odgadł, co planują. Będzie szukał Nessy, szukał na ziemi niewyraźnych śladów stóp skierowanych do środka, zagłębień w gruncie pozostawionych przez prowizoryczne kule. A jeśli nie będą ostrożne, wytropi również jej towarzyszek.

Nessa planuje nie dać się wytropić Rycerzom Okrągłego Stołu, a to wcale nie będzie przyjemne zadanie. Z nieba sypie się grad, a wschodni wiatr wdziera się

między drzewa i wysysa ciepło z kości.

– Na Croma... – mruczy pod nosem.

Przerzuca kule nad stosem kamieni, a potem przechodzi przez niego na czworakach, omijając mchy i porosty, aby nie zostawiać śladów. Po drugiej stronie płynie lodowaty strumień.

Wielu ocalałych pisało w Świadectwach, że przeprawiali się przed wodę, aby ukryć trop. Ponieważ nie ma jednak zagrożenia ze strony „psów”, a lato dawno się skończyło, żadna rozsądna dziewczyna by się na to nie zdecydowała.

– Och, na Croma – powtarza, kiedy wchodzi do wody. Ból opanowuje ją stopniowo od kostek w górę, a zęby jej szczękają tak, że przygryza sobie język.

Wtedy słyszy róg sygnalizujący początek pościgu. Rycerze Okrągłego Stołu zobaczą, w którym miejscu weszła między drzewa, i ruszą jej tropem. Ma pięć, może dziesięć minut, zanim dotrą do tego miejsca, a wówczas ona musi być już daleko. Z drugiej strony, jej sojuszniczki ruszą prosto na kurhan...

– No cześć.

Nessa aż podskakuje z zaskoczenia. Ofiary powinny już być daleko przed nią, a polujący w tyle. Ale zza kamieni, przez które właśnie przeszła, wychodzi Liz Sweeney.

– C-co ty tu robisz?

Usta Liz Sweeney układają się w uśmiech zimniejszy niż woda, która tnie chłodem po nogach Nessy.

– Jestem ofiarą, tak jak ty, i mam prawo tu być.

Większa dziewczyna jest świetnie wysportowana i dostaje się na drugi brzeg strumienia jednym susem. A potem odwraca się twarzą do Nessy.

– Wiesz, że możemy współpracować? Nie ma zakazu. A ja coś ci przyniosłam.

Ale jedyne, co Liz Sweeney przyniosła, to podstęp. Chwyta za kulę Nessy i przełamuje ją na pół. Wszystko to dzieje się zbyt szybko, a Liz uśmiecha się tak szeroko, że mogłaby połknąć całą Irlandię.

– Założę się, że się nie spodziewałaś...

Nessa uderza ją w twarz drugą kulą, rozpryskując wodę końcem drzewca. Potem używa kuli jako włóczni i wali w splot słoneczny Liz Sweeney, która ciągle trzyma się za twarz. Liz upada i dyszy ciężko, skrzyta z bólu. Nessa ucieka tak szybko, jak tylko może, opierając się na jednej kuli, nie ma jednak czasu na sentymenty i zostawia za sobą tak wyraźny ślad, że wytropiłaby ją jej własna babcia. Ma tylko nadzieję, że Liz Sweeney nie ogarnie się przez dłuższą chwilę, a Megan zabierze ją stąd, zanim dopadną ją Rycerze Okrągłego Stołu w całej swojej chwale rodem z Monty Pythona.

Mija dziesięć pełnych udręki minut, gdy Nessa eksploatuje swoje bezużyteczne nogi bardziej niż kiedykolwiek całym swoim w życiu. Dyszy i poci

się tak mocno, że mimo panującego chłodu dres się do niej klei. Okrągły Stół musiał do tej pory znaleźć Liz Sweeney. Po prostu „upolują ją” i wrócą do szkoły na ciepły posiłek i prysznic. Z niewiadomego powodu Nessa powątpiewa, że będą chcieli ją dopaść akurat dziś.

Myśli, że zablądziła, ale wtedy wpada na wysokie ogrodzenie z siatki. Panuje tu jakaś dziwna atmosfera, Nessa czuje się, jakby ktoś stał tuż za nią. Dokładnie tak samo czuła się poprzednim razem, a teraz wie, że znalazła się przy ogrodzeniu wokół kurhanu, o którym wspominała Breen. Nie wie dlaczego, ale wyobrażała sobie, że będzie to płot z sosnowych desek z ostrzegawczą tabliczką. A nie ta nijaka siatka, na którą można się z łatwością wspiąć.

Idzie wzdłuż ogrodzenia, szukając kryjówki, w której zaczeka na Megan i pozostałe dziewczyny. Przytrzymuje się drutu, żeby łatwiej poruszać się po trudnym terenie, ale to niepokojące wrażenie, ta „obecność”, tylko nasila się, gdy Nessa idzie wzdłuż siatki. Ma straszne, naprawdę straszne wrażenie, że nie powinna tu być, że zaraz zostanie Wezwana. Wrażenie jest tak silne, że bezwiednie wymyka jej się jęk. Musi się opanować.

Nessa jest w lepszej kondycji niż dotąd. Prawdopodobnie już nigdy nie będzie tak silna. Czy nie to właśnie powiedziała Nicole? *Że to byłby dobry moment? Niech to się stanie!* Powtarza to wezwanie kilka razy. Kiedy nic się nie dzieje, łapie się ogrodzenia i idzie dalej. Nasłuchuje odgłosów pościgu, głosów koleżanek. Ale w połowie drogi dookoła wzgórza trafia na przeszkodę. Metalowy słupek ogrodzenia podtrzymujący siatkę leży przewrócony. Coś – głaz albo słoń – wgniotło go w ziemię od środka i rozerwało siatkę, rozrzucając jej oczka dookoła, jak płatki kwiatów latem.

Nigdy wcześniej irlandzkie dzieci tak doskonale nie znały własnego folkloru, szczególnie, że dotyczył on wroga.

W dawnych czasach farmerzy śmiertelnie bali się, że zablokują „Wróże Drogi” – tajemne przejścia, przez które Sídhé rzekomo przybywali do ich świata nocą. W takim miejscu nie mogło przetrwać żadne dzieło człowieka! Niektórzy zatem, zanim zbudowali dom, sprawdzali, czy Sídhé nie roszczą sobie jakichś praw do tego miejsca i oznaczali je stosami kamieni. Jeśli następnego dnia rano okazywało się, że kamienie zniknęły, budowniczy wiedział, że musi wynieść się gdzie indziej.

To musi być Wróza Droga – myśli Nessa, patrząc na porozrywany metal. *Bo cóżby innego.* I faktycznie, przerażające wrażenie, że ktoś znajduje się obok niej, nasila się jeszcze bardziej, kiedy Nessa mija wyłamany fragment ogrodzenia. Uczucie jest tak silne, że dwukrotnie ogląda się za siebie. Ale nie ma nikogo, a wrażenie mija, kiedy Nessa się oddala.

Wreszcie dociera na południową stronę kurhanu. Przykuca za rozłożystym rododendronem. Ma widok na zarośniętą ścieżkę, gdzie w szczęśliwszych czasach

spacerowicze i biegacze spędzali czas wolny.

Nie widać jeszcze koleżanek, ale cierpliwość Nessay jest niewyczerpana. Wie, że pojawią się najwcześniej za dziesięć minut. Muszą się upewnić, że nikt za nimi nie idzie.

– Coś ich nie widać.

Nessa podskakuje.

To Conor. Głosem i postawą wyraża smutek, powagę.

Nie widzi jej – patrzy w złą stronę! Ale ruszy, gdy tylko drgnie jej choćby jeden mięsień. Trzech chłopaków wychodzi zza drzew i staje obok niego na ścieżce: Fiver i Bruggers zajmują miejsca po prawej i lewej stronie swojego „dowódcy”, a Tony osłania tyły, chociaż powinien być, jak ona, ofiarą. Wygląda na bardzo niespokojnego i musi czuć, równie mocno co ona, moc kurhanu. Ale Conor nie ma żadnych wątpliwości.

Obraca głowę tak jak podczas poprzedniego polowania i przeczesuje wzrokiem krzaki, nozdrza mu drgają. Gwałtownie rzuca się naprzód, licząc na to, że sama jego obecność wyciągnie ją z kryjówki. Ale Nessa, którą przeraża myśl o tym, co Conor planuje z nią zrobić – co musi zrobić, żeby ocalić resztki autorytetu – obmyśliła inny plan dla siebie: przeżyć. Będzie walczyć z każdym, kto spróbuje jej to uniemożliwić. A już szczególnie będzie walczyć ze swoją słabszą połową. Połową zajmującą się przepisywaniem cudzych wierszy i podrzucaniem ich chłopakowi, którego ona nic nie obchodzi. Połową, która chce uciec jak przerażony królik, ku uciesze ścigających go wilków. Próbuje zapanować nad przyspieszonym tętnem i obnaża zęby w bezgłośnym warknięciu.

– Musimy je stąd przepędzić – mówi Conor do krzaków. – Te twoje małe przyjaciółeczki.

Mówi doskonałym, formalnym językiem sídhe, z rolowanym „r”, pamiętając o lenicji i idealnie dobierając końcówki wyrazów.

– Megan uciekała jak rudy szczur. Nicole kwiknęła, kiedy zagroziliśmy jej złamaniem ręki. Tylko Aoife się stawiała. Nie, Bruggers?

– A niech cię Crom przeklnie – odpowiada chłopak, a krew kapie mu z nosa.

– Trzeba było mi pozwolić połamać jej paluchy.

Ale król kręci głową.

– Mówiłem ci. Możemy sobie dziś pozwolić tylko na jeden wypadek. I przydarzy się on tobie, Nesso. Właśnie tobie.

– Kuścyczka chowa się za tym krzakiem. – Wtem pojawia się Liz Sweeney. Twarzą ma napuchniętą w miejscu, gdzie dosięgła ją kula Nessay.

Wszyscy jednocześnie odwracają głowy w kierunku rododendrona.

– Założysz się o deser, Lizo Sweeney?

– A ty? Ale słuchaj, Conor, ja chcę ją załatwić. Wybiła mi ząb.

Król z nieskrywanym żalem potrząsa głową.

– Nie jestem okrutny, ale odpowiedzialność spoczywa na mnie i nie zamierzam się od niej wymigiwać.

A potem bez ostrzeżenia skacze naprzód, lekko jak kozica, i ląduje na szczycie skały, tuż za kryjówką Nessa. Nessa nie traci czasu, tylko robi zamach kulą, celując w jego gołonie. Conor jednak przeskakuje nad nią, śmieje się i krzyczy:

– Zostawcie ją mnie! Jestem jej to winny!

I teraz powinien nastąpić koniec. Powinien się na nią zamachnąć, ale w tym momencie z lewej strony wyłania się Megan; zgięta w pół wpada na niego jak taran, aż nawet Rycerze krzyczą z wściekłości. Megan zrywa się już jednak na nogi i ucieka ścieżką.

– Uciekaj! Nesso! Uciekaj!

Nessa rzuca się w bok. Odrzuca kulę, woli wczepić się w siatkę ogrodzenia i zawierzyć los sile ramion. Lata treningów siłowych i determinacji, sprawiają, że pokonuje trudny teren równie szybko co ci, którzy biegają bez trudu. Słyszy za sobą więcej głosów: to Nicole i Aoife. Wszystkie przyjaciółki zjawily się tutaj, aby zwiększyć marne szanse Nessa na ucieczkę...

Ale ani Liz Sweeney, ani Bruggers nie dali się nabrać na zamieszanie wywołane przez Megan i pięć minut później Nessa spotyka ich na swojej drodze.



Pokrętna ścieżka

Nessa uskakuje w bok. Rycerze jeszcze jej nie spostrzegli. Idą z trudem, a pot spływa im po czołach. Każde z nich wyraźnie reaguje strachem na każdy gwałtowniejszy ruch tego drugiego, więc Nessa nie ma wątpliwości, że dopadła ich moc kurhanu.

Ale zbliżają się nieuchronnie, a to pozostawia Nessie okrutny wybór: albo rzucić się na czworakach do lasu, licząc na to, że mizerne jesienne liście zakryją jej ślady, albo prześlizgnąć się przez wyrwę w siatce.

To drugie rozwiązanie jest właściwie nieprawdopodobne. Niemożliwe. Każdy mięsień w jej ciele protestuje, każda komórka krzyczy. Ale wie, że właśnie to da jej największą szansę. Bo kto tam za nią pójdzie?

Nurkuje pod drutami, świadoma, że głos Bruggersa rozbrzmiewa już zaledwie dziesięć kroków od niej.

– Mam dość. Ona i tak umrze, gdy zostanie Wezwana. Nie rozumiem, dlaczego to my mamy się tym zająć.

Liz Sweeney uśmiecha się szyderczo.

– Jesteś zazdrosny, Bruggers? Chcesz Conora dla siebie?

– I co z tego? Wcale tego nie ukrywam. Jak niektórzy.

Liz Sweeney nie jest zadowolona z tej odpowiedzi, a Nessa próbuje się skupić na własnej sytuacji. Musi się schować na tyle szybko, żeby uznali, że uciekła. Tuż przy luce w ogrodzeniu tropy małego zwierzątka zygzakiem prowadzą na kurhan między skałami, krzakami i kępami trawy. Jakby to miejsce było stworzone, żeby ukryć ją przed wzrokiem wszystkich znajdujących się za ogrodzeniem.

Czołga się naprzód i walczy z oszołomieniem i zawrotami głowy. Ledwo dociera do pierwszego zakrętu ścieżki, kiedy słyszy, że jej prześladowcy znowu się kłócą.

– Nie ma mowy, żeby tam poszła! Nie poszła! Nie mogła!

– Jesteś śmierdzącym tchórzem, Bruggers! A właśnie, że tam poszła. Jej ślad urywa się dokładnie w tym miejscu. Dokładnie!

– To znaczy, że została Wezwana. To dlatego tu jest tak dziwnie! O bogowie! Na Croma. Zostań tu, jeśli chcesz!

Rozlega się głos Liz Sweeney, lekko drżący, ale nie pozbawiony brawury:

– Uciekaj więc, ty tchórze! Ja idę.

Nessa wykorzystuje tę kłótnię, żeby się oddalić. Mdli ją okropnie, ale to uczucie nadchodzi falami, i za każdym razem, kiedy słabnie, dziewczyna wykorzystuje tę chwilę, żeby jeszcze kawałek, jeszcze odrobinę przesunąć się w górę zbocza.

Liz Sweeney znajduje się najwyżej pięć kroków od niej, ale jej głos brzmi słabo, kiedy woła:

– Idę po ciebie, Kuścyczko! I nawet Kocioł Dagdy ci nie pomoże, kiedy z tobą skończę!

A potem słycać odgłos wymiotów.

Nessa czuje, jakby uciekała całą wieczność. Ścieżka musi się więc dookoła kurhanu, ponieważ bez względu na to, ile czasu się czołga, ciągle nie dociera do jej końca. I jeszcze te skały! Dlaczego ich nie widziała wtedy, gdy była tu z Megan? Są ogromne! Jedyne wytłumaczenie, jakie przychodzi jej do głowy, jest takie, że naukowcy musieli wykopać je spod ziemi. Ale to nie wyjaśnia, skąd wzięły się wyrastające wokół niej paproci rozmiarów drzew.

Mam halucynacje, dochodzi wreszcie do wniosku. To mdlące uczucie, jakby zakąszony palec utkwiał jej w gardle, mąciło także jej umysł.

Liz Sweeney ciągle idzie za nią.

– Dopadnę cię... – mówi chrapliwie gdzieś za jej plecami.

Nessa mogłaby zastawić na nią jakąś pułapkę, ale ta myśl nie przyszła jej do głowy. Cały dzień nastawiona jest na uciekanie. Krąży zatem wokół podstawy sztucznego pagórka, aż wreszcie ścieżka się kończy.

Widzi przed sobą coś, co może opisać tylko jako skalną ścianę o wiele, wiele wyższą od niej – wyższą niż cały kurhan. A w skale są drzwi. Chociaż „drzwi” nie wydają się odpowiednim słowem dla wejścia tak wielkiego i ciężkiego, wyrzeźbionego w tym samym kamieniu, którego stanowią część. Gdyby stanęły otworem, spokojnie przeszedłby przez nie słoń, nie ocierając sobie boków, a osoby siedzące na jego grzbiecie nie musiałyby nawet schylić głów.

Nessa zatrzymuje się na dwie długości ludzkiego ciała od drzwi. Nie jest w stanie podejść bliżej skały, nie może znieść jej widoku. Wtedy właśnie jej żołądek wyrzuca z siebie wszystko. Spodnie ma mokre od moczu. Nawet nie pamięta, kiedy to się stało.

– Wycofaj się – odzywa się głos z tyłu.

To Liz Sweeney. Po jej agresji nie zostało ani śladu, twarz ma bladą jak starożytny pergamin.

– Wycofaj się – powtarza.

A Nessa musi na to przystać. Jej śmierć tutaj wydaje się bez znaczenia. Jej kalectwo, jej życie. Życie Liz Sweeney.

Zawracają obie i chociaż teraz nie chowają się już przed sobą, nadal poruszają się na czworakach, jak najniższe z istot. Robak ma więcej godności niż

one.

Obie są niesamowicie wygłodzone, kiedy docierają do wyrwy w ogrodzeniu. Spędziły chyba cały dzień na wspinaniu się na wzgórze. Tak, to musiał być cały dzień. Niebo miało taki sam kolor jak wtedy, gdy zaczęły; padał ten sam grad.

Ludzie będą się zastanawiać, gdzie się podziały. Przeczesań las w poszukiwaniu ich ciał, wszyscy będą przekonani, że zostały Wezwane.

Nie kryją więc zaskoczenia, gdy wpadają na Conora, Tony'ego, Fivera i Bruggersa, którzy na nie czekają. Megan jest przywiązana plecami do drzewa i wygląda jakby spała.

– Dobra robota, Liz! – Conor uśmiecha się szeroko i naprawdę ciepło. – Szybko ci poszło!

Żadna z dziewcząt nie mówi ani słowa. Nie mogą. Mogą tylko patrzeć, jak Conor łagodnie je rozdziela. Potem przyciąga Nessę do siebie i szepcze:

– Żałuję, że mnie do tego zmuszasz. Muszę cię zabić. Powinienem cię zabić. Ale dziś połamię ci tylko ręce. Nie odnajduję przyjemności w zadawaniu cierpienia ludziom.

Oddech ma jednak tak samo przyśpieszony jak przed pierwszym, wymarzonym pocałunkiem. Chwyta ją za bezwładną lewą rękę, a Bruggers mówi:

– Zrób to!

Keith i Tony kiwają głowami, chociaż ten drugi wygląda na zawstydzonego.

– A Liz Sweeney? – pyta Conor. – Jakie jest twoje zdanie?

Ale Liz Sweeney nie ma teraz głowy do wyrażania opinii. Upadła na tyłek u stóp drzewa, a podbródek ma cały w wymiocinach.

– Cóż, skoro zatem wszyscy są za... Obraca Nessę tak, aby wszyscy widzieli jego twarz, by przekonali się, w jak dojrzały i wyważony sposób podchodzi do tej sprawy i, oczywiście, jak niewiele Nessa dla niego znaczy.

Ona jednak nadal nie stawia oporu. Patrzy teraz na kurhan. Nie obchodzi ją ręka. *Mogłabym się wspiąć na sam szczyt w dwie minuty!* – myśli. Na wzgórzu nie ma żadnych skał. Żadnych prehistorycznych ogromnych paproci. Widzi tylko zwykłe, wysokie do pasa, rośliny, które wyrastają z ziemi pomiędzy skupiskami kamieni wielkości pięści.

– Zostawi ją w spokoju.

Oswobodzona z chwytu Nessa upada u stóp Conora. To nie instruktor ich znalazł, ale jakiś nieznajomy: chłopak owinięty brudnym prześcieradłem, o potarganych krótkich włosach i z brodą nierówno pokrywającą skórę twarzy.

– Anto? – Conor jest całkowicie zaskoczony.

Oddziela ich tylko krzak wysokości dorosłego mężczyzny: dwóch chłopców, jeden u szczytu formy, drugi niczym duch.

– Nesso? – mówi Anto szeptem.

Nessa z trudem odrywa wzrok od kurhanu. Anto wzdraga się na jej widok,

spuszcza oczy.

– Aoife zapukała do mnie wczoraj. Powiedziała, że... grozi ci niebezpieczeństwo. Możesz... teraz możesz stąd iść.

Ale ona nie ma w sobie dość siły woli, żeby się ruszyć z miejsca.

A Conor wybucha śmiechem.

– Ach, a więc potężny zwycięzca powrócił, prawda? Ty? Ty uciekłeś od Sídhé?

Robi krok w jego stronę. Anto chwieje się i Nessa bezmyślnie rejestruje fakt, że jakoś dziwnie się porusza i coś nie gra w ułożeniu prześcieradła okrywającego jego ciało.

– Conor... – prosi.

– Czyli wcale nie taki bohater? – Król się uśmiecha. – Ostatnio utoczyłem ci litr krwi. Zrobię to jeszcze raz, jeśli mnie do tego zmusisz. A teraz odsuń się!

– Nesso? – szepcze Anto. – Idź. Idź już. Albo... albo na mnie nie patrz.

– Nie! – krzyczy Conor. – Ona nigdzie nie pójdzie! Nie obchodzi mnie, że jesteś weteranem. Ona musi zapłacić za brak szacunku. Dwie złamane ręce.

Pochyla się, żeby znowu chwycić Nessę za rękę.

– A ty możesz sobie popatrzeć.

– Nie... – mówi Anto nieco głośniejszym głosem niż wcześniej, a kiedy Conor łapie Nessę za łokieć, Anto krzyczy:

– Nie! Nie! – Łzy cierpienia spływają mu po twarzy.

– A właśnie, że tak! – krzyczy Conor. – Ja...

Wtedy Anto wydaje okrzyk.

Chwyta dzielący ich krzak i wyrywa go razem z korzeniami. Kręci nim młynka nad głową jak olbrzymią pałką. Kamienie wzniesione z ziemi rażą zarówno wrogów, jak i przyjaciół. Megan odzyskuje przytomność i krzyczy ze strachu. Bruggers i Fiver odskakują i gapią się na ten pokaz niemożliwej siły. Ale widzą nie tylko to.

Conor i jego sprzymierzeńcy, z wyjątkiem milczącej Liz Sweeney, ratują się ucieczką. Wściekłość powoli uchodzi z Anto i krzak opada na ziemię. Chłopak pośpiesznie owija się prześcieradłem, ale zanim to zrobi, Nessa dostrzega jego lewą rękę. Jest dwa razy grubsza od prawej, i tak długa, że sięga palcami ułożonymi w wielką pięść do ziemi.

– Nie patrz – mówi błagalnie, a Nessa nigdy w życiu nie widziała nikogo równie zrozpaczonego. A potem Anto też ucieka, biegnie krzywo, a prześcieradło powiewa za nim jak peleryna superbohatera.

Po godzinie Megan udaje się oswobodzić i odprowadza pozostałe dwie dziewczyny do szkoły. Zapada zmrok, a Nessa powoli wychodzi z odrętwienia.

– To był Anto – mówi z wielkim trudem.

– Tak – odpowiada Megan. – To był... on.

Ma zakrwawioną skórę na głowie, posiniaczoną twarz i kark. Nessa musi zebrać całą siłę woli, żeby podziękować przyjaciółce za uratowanie jej życia.

Gdzieś przed nimi, w drodze do łaźni, dres Tony'ego opada na ziemię, a sam Tony znika.



Tony

Podobnie jak dla większości nastolatków w tym czasie i miejscu, historia Tony'ego nie jest długa i kończy się dwadzieścia minut po tym, jak znalazł się w Szarozieni.

Tony potrafi biegać najszybciej z całego Piątego Roku, może z wyjątkiem Anto. Jest również dobry w walce wręcz i zawsze lubił tropić innych podczas polowania lub oszukiwać ich, zostawiając wyrafinowane fałszywe ślady. I to właśnie jego koncentracja na ziemi, na sekretach podłoża i gałązek, doprowadziło go do zguby.

Odbiegł od miejsca, gdzie się pojawił, i teraz pochyla się przy drzewie, żeby złapać oddech. Nigdy go nie złapie. Wielki, miękki ciężar spada na niego z taką siłą, że rozplaszcza go na ziemi. W wyniku upadku ma połamane kości, a na twarzy kwaśne błoto, które ledwo pozwala mu obrócić głowę, aby odetchnąć.

A potem dzieje się najdziwniejsze: ktoś przemawia po angielsku, z amerykańskim akcentem:

– Och, dzięki! Dzięki ci, Jezu!

– Kto... – udaje się wykrztusić Tony'emu.

– Cicho! Cicho teraz! Jesteś odpowiedzią na nasze modlitwy.

Ostre jak igły zęby odrywają pierwszy płat ciała z karku Tony'ego. Chłopak wije się jak węgorz na haczyku; wrzeszczy, aż wreszcie brudna łapa zatyka mu usta błotem, a głos błaga:

– Och, nie! Przestań! Na Boga i wszystkich aniołów! Jesteś taki pyszny. Przepraszam, muszę. – I znowu odrywa kawałek Tony'ego.

– Tato, tato!

– Jestem tutaj, dziewczynki, tutaj! Szybko, zanim oni przyjdą po niego. Jedzcie, co się da, słyszycie?

Masywne porośnięte futrem postacie lądują tak ciężko, że łamią Tony'emu kolejne kości. Nowe zęby zagłębiają się w jego ciało, a oczy zachodzą mu czerwienią...

Do zbadania wraca tylko jego szkielet, wyczyszczony nawet ze szpiku. Nie tylko jego szczątki wracają tego dnia do szkoły. Tego wieczoru jeszcze dwa inne ciała, uczniów z Czwartego i Szóstego Roku, potęgują ciszę w refektarzu.



Kartograf

Kilkanaście najnowszych Świadectw leży na wąskim biurku w gabinecie pana Hickey'a. Zafascynowany nauczyciel aż wysunął koniuszek języka i co kilka minut jego poplamiona atramentem ręka wędruje znad książki, aby poprawić okulary.

– Interesujące – mamrocze, a jego oddech zostawia w zimnym powietrzu obłoczek pary.

Ale Hickey nie szuka wzmianek o roślinach lub nowych zagrożeniach. Zamiast zająć się tym, podobnie jak tysiące innych osób na wyspie, mistrz polowania oddaje się bezcelowemu hobby polegającym na stworzeniu mapy wrogiego świata.

Nastolatki trafiają w grozę i chaos. Uciekają przed niebezpieczeństwem każdego rodzaju, od strzał Sídhe po wciągające bagno, od monumentalnych burz po mordercze „owady”. Myślą tylko o przetrwaniu, a ci nieliczni, którzy wrócili, często mają taką traumę, że wykwalifikowani psycholodzy miesiącami pracują, aby wydobyć z nich coś przydatnego. Te właśnie opóźnione relacje tworzą podstawy... rozrywki Seána Hickey'a.

Powiedzmy, że dziesięć lat wcześniej dziewczyna przeszła przez bagno pełne śpiewających „jaszczurek”. A nie dalej jak w zeszłym roku ten słynny chłopiec z Cork prawie utonął przy akompaniamencie jakiejś muzyki w tle. To mogło być to samo miejsce. A rzeka, którą ominął, doskonale pasuje do tej, która pojawia się w setkach innych relacji. I tak dalej. Beznadziejne, ale ważne. Ekscytujące wręcz, ponieważ czasem Seán myśli sobie, że jest pierwszym człowiekiem, który rozpoznał okolicę i będzie mógł ogłosić odkrycie w Biuletynie Kartograficznym.

– Proszę! – mówi, kiedy ktoś puka do drzwi jego pokoiku.

Wchodzi dyrektor Breen.

Jej brzydota jest niecodzienna. Jak u nieszczęsnego pojmanego, nad którym pracowali Sídhe. Na początku, kiedy Hickey dopiero pojawił się w szkole,

zawsze w myślach zwracał się do niej przezwiskami, którymi obdarzyli ją uczniowie: „Indyczka” lub „Indor”. Ale teraz Hickey musi przyznać, że Breen jest o wiele inteligentniejsza od niego i tak oddana sprawie ratowania uczniów, że nie raz naraziła się przez to na niebezpieczeństwo.

Teraz Hickey myśli o niej tylko jako o Alannie i zawsze wymawia jej imię z najgłębszym szacunkiem.

Gdy Breen wchodzi do jego gabinetu, zawsze przez kilka minut studiuje szkice wiszące na ścianach, sporządzone na zwykłych kartkach, przedstawiające zarys gór, linii brzegowych, jaskiń i rzek. Wszystkie opatrzone jego własną nazwą lub tą zaczerpniętą z Biuletynu Kartograficznego.

– Wiesz, że to bez sensu? – mówi Breen po raz kolejny. – Tam jest cały świat.

Uśmiecha się, gdy to mówi, ponieważ wie, że właśnie go prowokuje, a on, mimo iż wielokrotnie złapał się na tę przynętę, łapie się na nią znowu.

– Nie tak napisano w traktacie.

Ma na myśli legendarne porozumienie między przodkami Irlandczyków i Tuatha Dé Danann, których zastąpili w Krainie Tysiąca Barw.

– Nie wiemy, czy istniał jakikolwiek traktat.

– Tak, ale jeśli istniał, mamy dobry powód sądzić, że Szarozemia nie jest większa od Irlandii. Właściwie może być dokładnie tego samego rozmiaru i kształtu co dawna Irlandia.

Albo i nie. *Księga podbojów* jest półtora tysiąca lat młodsza niż przedstawione w niej wydarzenia i zawiera wiele elementów, które na pierwszy rzut oka są fałszywe.

Seán wzdycha i z trudem rozluźnia palce zaciśnięte na ołówku.

– Czy mogę coś dla ciebie zrobić, Alanno?

Nie zadałby tego pytania, gdyby to miała być wizyta towarzyska. Breen niczym się nie interesowała i miała dokładnie tyle samo przyjaciół, ilu miał on. Całym jej życiem była szkoła i Naród.

– Dlaczego nastolatkiem?

– Dlaczego zawsze to samo pytanie? – odpowiada Hickey, ale potem znowu wzdycha, ponieważ ona nie wyjdzie, zanim nie odegrają całej sceny do końca. – Sídhé zabierają ich, ponieważ mogą to robić. Ponieważ one są naszą przyszłością. Ponieważ widok umierających dzieci łamie nam serce i ducha.

Ale to wcale nie jest wystarczająca odpowiedź, o czym Hickey doskonale wie. Dodaje:

– Alanno, oboje świetnie wiemy, że zabierają nie tylko nastolatków.

– Mów dalej – zachęca go. Nie mogą rozmawiać o innych, ale są sami, a Breen najwyraźniej przyszła tu dziś, aby wykorzystać go jako wzmacniacz własnych myśli. Odgrywa więc swoją rolę.

– Będą też czasem zabierać noworodki, w pierwszym dniu ich życia.

I myśli o panice, jaka by wybuchła, gdyby ta informacja poszła w świat!

– Ale z tym idzie im trudniej, dużo trudniej, ponieważ okno szansy dla...

Wezwania jest bardzo ograniczone.

– Kogo jeszcze?

– Czasem umierających. Tu mają jeszcze ciaśniejsze okno. Sidhe mogą ich wezwać na kilka godzin przed śmiercią, ale dzieje się tak jeszcze rzadziej niż w przypadku noworodków. To stara teoria Przejścia. Kiedy człowiek przekracza pewien próg w życiu, znajduje się bliżej ich świata. A ponieważ okres nastoletni trwa najdłużej, jest im łatwiej... nas znaleźć.

Breen uśmiecha się i przyciąga sobie drugie krzesło, więc Hickey już wie, że wreszcie przechodzą do sedna. Kobieta bawi się fajką, ale nigdy nie pali jej poza swoim gabinetem.

– Jestem głupia – mówi, a Hickey aż przysiada, ponieważ rzadko słyszy gniew w jej głosie. – Mówić nastolatkom, żeby trzymali się z daleka od kurhanu, to za mało. Jak mogłam o tym nie pomyśleć? Przecież sama miałam kilkanaście lat i nigdy nikt nie był w stanie mnie upilnować. Powinnam była ustawić przy tym cholernym ogrodzeniu instruktorów, na dzień i noc. Nawet nauczycieli! A teraz mamy kolejne Wezwanie, prawdopodobnie spowodowane obecnością uczniów w lesie. Ale – oblizuje wargi, niczym zafascynowany naukowiec – przyszła do mnie uczennica, Vanessa Doherty.

– Ta z polio? Nessa?

– Tak, ona. Spędza pierwszą w życiu noc w Klatce, nawiasem mówiąc. Ale słuchaj, Seán, posłuchaj, co mi opowiedziała.

Aż wstrzymuje oddech, kiedy słucha opisu ścieżki wijącej się w górę dookoła kurhanu i prowadzącej do drzwi.

– Myślisz, że ścieżka faktycznie należy do Szaroziemii? Ale nie, nie! Były też te paprocie, i tak dalej. Och, na Croma! Czy te paprocie były takie same jak nasze?

Alanna Breen szeroko się uśmiecha.

– Wiedziałam, że na to wpadniesz, Seán. Tak samo jak Nessa, mądra dziewczynka, po tym, jak doszła do siebie. Dlatego zaryzykowała dodatkową karę w Klatce, żeby mi o tym powiedzieć, ponieważ to zbyt ważne. Paprocie, jak powiedziałeś, były dokładnie takie, jak nasze, poza tym, że ogromne. I ona użyła tych słów, dokładnie tych słów: „To było tak, jakbym się skurczyła”. Skurczyła!

Hickey zakrywa usta i myśli o tym, w jaki sposób dziewczyna w skale rosła, im bardziej wyłaniała się ze swojego kamiennego więzienia. No i ta historia z Bangor, z kurczącymi się śladami stóp, które widział brat Liz Sweeney. I ten człowieczek wielkości kciuka, którego chłopak, jak twierdzi, podpalił, na co nie znaleziono żadnych dowodów.

– Ludzie opowiadają podobne historie od wieków! – mówi Alanna. – O małych ludzikach, chociaż wiemy, że Sídhé wcale nie są mali.

Nauczyciel polowania może to podsumować tylko skinieniem głowy, ponieważ kompletnie go zamurowało. Wniosek, który obojgu przychodzi na myśl, jest tak oczywisty, że nie muszą go wypowiadać na głos: im bliżej świata Sídhé ludzie się znajdują, tym mniejsi się stają. Tak, stopy dziewczyny w skale były tak małe, że nie dawało się ich zobaczyć gołym okiem. Seán Hickey zrywa się na równe nogi i zdziera ze ściany bezużyteczne mapy. Ale bardziej ze zdziwienia niż z rozpaczy. Wyobraża sobie świat tak mały, że zmieściłby się w kropli wody albo w ludzkim włosie, albo w atomie.

Śmieje się, oszołomiony własną myślą.

– Na Croma! Czy to oznacza, że gdybyśmy znaleźli ich świat, moglibyśmy go po prostu rozdeptać?

– Wątpię – odpowiada Alanna. – Wątpię, żebyśmy go znaleźli. Nabil i Taaft spędzili już pod kurhanem całą noc, i chociaż widzieli dziurę w ogrodzeniu, nie mogli znaleźć ścieżki.

– Zatem... widzą ją tylko uczniowie?

– Tak właśnie myślimy. Tylko nastolatki, i tylko zanim zostali Wezwani.



Klatka

Szereg karnych cel przylega do korytarza na drugim piętrze budynku personelu. Wyposażenie jest w nich ubogie: twardy, niewygodny siennik zostawia tylko tyle miejsca, aby zmieścił się nocnik, który trzeba podnieść, żeby dało się otworzyć drzwi.

– No proszę – mówi Megan zza krat. – W końcu sobie zarobiłaś na Klatkę. Tracisz czas, jeśli planujesz pobić mój rekord.

– Nie możesz tu przychodzić! Zaraz też tu trafisz! – Nessa nie widzi twarzy przyjaciółki, ale wie, że gości na niej szeroki uśmiech.

– Przemyciłabym ci kawałek czekolady, ale to już ze dwa lata, od kiedy widziałam ją po raz ostatni.

– Mówisz o batoniku od babci, który odłożyłam na później? – pyta Nessa. – Tym, który zniknął z mojej szafki?

– Właśnie o tym. Ale ja go nie wzięłam. Po prostu pewnej nocy obudziłam się, a on był rozsmarowany po mojej twarzy.

Wybuchają śmiechem na samą myśl. Oczywiście nic takiego się nie wydarzyło. Batonik rzeczywiście zniknął, ale główną podejrzaną jest Nicole.

– Cieszę się, że przyszłaś, Megan. Chciałam... chciałam cię przeprosić, że uciekłam. Nie sądziłam, że Conor cię dopadnie.

– Właśnie o to chodziło, żebyś uciekła, ty głupia dziwko.

– Wiem, ale on jest... zdolny do wszystkiego i...

– Jasne! Na pełny gówna kocioł gówna! To wszystko dlatego, że on cię chce, wiesz?

Nessa wie.

– Nie mogłabyś trochę zatrzepotać rzęsami, dopóki nie zostanie Wezwany? Albo napisać mu jakiś pieprzony wierszyk?

– A ty? Ty byś zatrzepotała rzęsami?

– Oczywiście, że nie! Ja pożarłabym jego wątrobę. Pożarłabym ją teraz, gdyby się tu znalazł.

– Dobra, to przynieś mi tę czekoladę i zrobimy wymianę.

Właściwie nie było to wcale zabawne, ale to Nessa potrafi doprowadzić Megan do śmiechu i to Nessa pamięta, jakie poczucie humoru miała – lub też myślała, że miała – zanim dowiedziała się o Szarozemi, a jej rodzice

wykorzystywali całą swą miłość i pomysłowość, żeby go nie straciła.

Po wyjściu Megan Nessa obejmuje kolana ramionami i myśli o rodzicach i biednym Dómhnallu, swoim bracie, który, oczywiście, nie zostawił Świadectwa, ponieważ zginął w Szaroziemii. Ale gdzieś w bibliotece leży raport o stanie jego ciała, a ona nigdy nie odważy się go przeczytać. Zastanawia się, czy rodzice zdobyli się na odwagę i czy to właśnie dlatego mama jest taka nadwrażliwa.

Dzień mija, a Nessa obserwuje, jak światło z okna przesuwają się po sienniku. Słysząc żałobny dzwon i dziewczyna zastanawia się, kogo dopadło tym razem. Prześladowuje ją myśl o jedzeniu, a nie minęła jeszcze nawet jedna trzecia z trzydniowej kary.

Najwięcej myśli jednak o Anto. Myśli o prześcieradle zakrywającym całe jego ciało i o tym, jak ją błagał, naprawdę błagał, żeby na niego nie patrzyła. I to cierpienie na jego twarzy! I ten przerażający, niestabilny krok, kiedy uciekał.

Uratował jej życie, a ona była zbyt wytrącona z równowagi, żeby mu podziękować albo powiedzieć, jak bardzo cieszy się na jego widok.

Świat marzeń, który, jak sądziła, rozpadł się na kawałki, wraca i dręczy ją, dwa razy mocniej niż kiedyś. Walczy bohatersko z tą myślą. Przeklina poetów i całą tę truciznę, którą stworzyli, a która nie chce teraz dać się wypłukać z jej żył. Ale zapada noc, a po tym, jak Nabil robi obchód i zagaduje do niej, Nessa silnymi palcami otwiera zardzewiałe okno i pomieszczenie wypełnia się lodowatym powietrzem.

Nigdy wcześniej nie robiła tego zimą. Ani o pustym żołądku. Nigdy nie musiała też wychodzić głową naprzód, mając pod sobą dwa piętra, a lodowaty wiatr nie smagał jej po twarzy. Palce miała skostniałe, jeszcze zanim zdążyła wysunąć biodra.

Księżyc nie oświetla jej akrobacji i nikt nie zobaczy, jeśli spadnie. I dopiero teraz dociera do niej pełna głupota tego przedsięwzięcia. Musi utrzymać na rękach całe ciało na najwęższym z parapetów i nie ma jak wrócić do środka.

Pamięć ją oszukała. Myślała, że na zewnątrz znajdzie rynnę i tak, tak, jest tam, ale jakieś pół metra dalej, niż jej się zdawało, a ona już jest zmęczona.

Nie panikuj! Nie panikuj! A żeby oddać sprawiedliwość, trzeba powiedzieć, że opanowanie należy do tych uzdolnień, których Nessa ma aż w nadmiarze. Klinuje kolana w oknie, a rękami wykonuje dwa bolesne ruchy w lewo.

Ma jedną szansę, jedną niewielką szansę, by uniknąć, w najlepszym razie, połamania kości, które nie zrosną się do czasu, gdy zostanie Wezwana. Ale właśnie popełnia to szaleństwo: pozwala słabym nogom ześlizgnąć się z okna. I w momencie, kiedy ma spaść w otchłań, wyciska z nich wszystko, na co je stać. Jednocześnie odpycha się ramionami, wyciąga się i zagrabia powietrze, aż natrafia rękami na rynnę, owija wokół niej ciało i przykleja się do ściany.

Ignoruje szok. Ignoruje ból i przerażające szarpnięcie w żołądku, gdy kilka

nitów przytwierdzających rynnę do ściany odrywa się i z brzękiem spada z wysokości dwóch pięter.

Przywiera jednak do ściany przez chwilę, która pozwala przyzwyczać się oczom do ciemności.

Powinnam wrócić – myśli. Ale to już niemożliwe. To właściwie cud, że udaje jej się, poobcieranej do krwi i posiniaczonej, zsunąć na ziemię.

Pada na kolana, oddycha ciężko i trzęsie się jak więdnący liść. Tym razem to wcale nie było zabawne. Czowała tylko strach. Teraz pragnie jedynie wrócić i dokończyć karę. Nikt wcześniej nie był na tyle głupi, żeby uciekać z Klatki.

Ale kiedy Nessa odzyskuje oddech, przypomina sobie, że tylko kilka okien dzieli ją od pokoju Anto i że to właśnie był cel całej wyprawy. W środku widać migotanie świec i wygląda to jak scena z filmu o Bożym Narodzeniu, z Nessą jako Scrooge'em, który zagląda do środka przez szybę. Ale i tak nic nie widzi przez zaciągnięte zasłony. Zanim się orientuje, co robi, puka w szybę.

W oknie pojawia się twarz Anto, ze zmrużonymi w ciemności oczami, na której najpierw rysuje się niedowierzanie, a potem rozpacz.

– Musisz mnie wpuścić – mówi Nessa, szczękając zębami.

– Ale przecież jesteś w Klatce!

– A może jestem duchem. Słuchaj, muszę z tobą porozmawiać.

Okno stawia silny opór jego prawej ręce, ale Anto używa tylko jej; wyciąga ją między zasłonami i napiera dotąd, aż słychać skrzypiący odgłos otwierania. Potem Nessa dokłada swoją siłę – której w tym momencie nie ma zbyt wiele. Anto musi ją wciągnąć po parapecie, kiedy klinuje się w połowie drogi. Sytuacja jest dość krępująca.

Ale w pokoju leży dywan i, na Kocioł Dagdy, jest ciepło! Jest tak ciepło, że Nessa siada na podłodze oparta plecami o ścianę, a powieki ma tak ciężkie, że otwiera je z trudem.

– Będą cię szukać – mówi Anto szeptem. Owinął się szlafrokiem, który jednak nie jest na tyle szeroki i długi, by całkiem zakryć jego zdeformowane ciało. Chłopak odsuwa się. – W nocy robią kontrolę co dwie godziny.

Nessa mruga rozbudzona.

– Serio?

– No jasne. Nigdy wcześniej nie byłaś w Klatce, ale sama pomyśl. A gdyby ktoś został Wezwany i potrzebował pomocy? Muszą sprawdzać.

Nessa podnosi głowę i widzi, że Anto siedzi na łóżku, tak daleko, jak tylko pozwala na to rozmiar pokoju. Zastanawia się, czy chce, żeby sobie poszła. Drży bardziej niż ona, jego twarz jest zarumieniona w blasku świecy, a piękne oczy toną w cieniu.

– Zapuścisz znowu włosy, Anto?

– Słucham?

– Cieszyłabym się, gdyby ci odrosły. Długie, żebyś znowu mógł nosić warkocz.

Anto nic nie odpowiada. Nie wie też, co ma zrobić, kiedy Nessa ostatkiem sił wstaje, chociaż ręce ma teraz równie bezużyteczne co nogi. Musi zrobić tylko trzy kroki, żeby stanąć przed nim.

– Znajdą cię, Nesso.

Nessa pochyla się i całuje go. Anto uchyla się, ale to dobrze, ponieważ Nessa wie dlaczego i co z tym zrobić. Sięga pod szlafrok i bierze go za lewą rękę.

– Proszę, Nesso. O, na Boga. Nie chcę, żebyś...

Pomijając fakt, że ręka jest dwa razy taka, jaka powinna być, wygląda normalnie. Gdyby się za mocno zamachnął, mógłby ją zabić. Mógłby jej oderwać głowę i rozbić ją o ścianę. Czemu Sídhé mu to zrobili? W co planowali go zmienić? Bez względu na to, nie zdążyli, ponieważ Szaroziemia oddała Anto.

Chłopak nie opiera się, kiedy Nessa umieszcza sobie jego zdeformowaną rękę na ramionach. Czuje bijące od niej ciepło, czuje mocny puls.

– Jestem potworem – mówi Anto.

– Mogłabym tak teraz zasnąć – odpowiada Nessa.

I jest to prawda. Zawsze wyobrażała sobie ten moment. Ich pierwszy pocałunek po śmierci biednego Tommy’ego otworzył im nawzajem oczy. Myślała, że będzie radosne podniecenie i namiętność, i zrywanie z siebie ubrań. I te sprawy. A tymczasem czuje ulgę. Jakby wreszcie zdjęła za ciasne buty, w które sama się na siłę wcisnęła. Buty, na które nikt inny nie zwracał uwagi.

I Anto wreszcie też zaczyna się rozluźniać, puls mu zwalnia, oddech wraca do normy.

– Wiem, że to byłaś ty – mówi. – Z tymi wierszami.

– Założę się, że nie potrafiłeś ich przeczytać.

– Pewnie w Dublinie zostało już niewiele osób mówiących po irlandzku, ale nawet my potrafimy korzystać z bibliotek.

Nessa uśmiecha się tak szeroko, że aż ją boli.

– Pomyślałem sobie, że zwariowałaś – ciągnie Anto. – I miałem trochę racji, prawda, Nesso?

– Prawda.

– Chciałem ci powiedzieć, żebyś przestała.

– Dlaczego tego nie zrobiłeś?

Anto nie odpowiada. Policzek, który przytula do jej czoła, robi się wilgotny.

– Wróciłem tu dla ciebie, Nesso – mówi wreszcie. – A potem... nie mogłem znieść myśli, że będziesz na mnie patrzeć.

– Ja to wszystko wiem.

Wtedy oboje podskakują, ponieważ ktoś puka do drzwi.

– Mogę wejść? To ja, Nabil.

Anto zrywa się na równe nogi.

– Ja... nie mogę otworzyć drzwi. Jestem... nieubrany, proszę pana.

– Och – odpowiada szczerze zakłopotany Nabil. – Ale ja właściwie nie przyszedłem do ciebie.

Nabil zabiera ją, a Nessa myśli, że musi być wściekły. Ucisza ją i prawie wciąga po schodach, jakby gonił śmieciarkę z workiem szczególnie obrzydliwych odpadów. Ale przeprosił ją, gdy tylko zamknęły się za nią drzwi celi.

– No dobra – mówi. – Jak tylko się upewnię, że nikt nas nie widział, zapominamy o całej sprawie.

– ...zapominamy?

– Jesteś niesamowita – mówi nauczyciel. Przez chwilę szuka dobrego słowa w sídhe, ale ponieważ nie ma takiego, wstawia angielskie. – Jak... hmm... akrobatka? Taka z cyrku?

I uśmiecha się, a ciemną twarz, pomimo blizn, ma piękną jak gwiazdor filmowy.

– Miły chłopak z tego Anto, ale mam nadzieję, że więcej tego nie zrobisz?

Nessa uśmiecha się i kiwa głową. Nagle czuje się jakoś wyjątkowo. Rozkojarzona i czysta.

– Zamknij okno – mówi nauczyciel. – I prześpij się. Wiesz, że przez dwa dni dostaniesz tylko wodę.

I uśmiechy znikają z ich twarzy, ponieważ Szaroziemia zawsze jest gdzieś blisko.



Rana

Dwoje drzwi dalej od tych, za którymi Anto siedzi na łóżku z Nessą, inna dziewczyna, osiemnastoletnia, stoi nago przed dużym lustrem. To Melanie, szkolna weteranka. Lekarze, którzy również widzieli ją bez ubrania, twierdzą, że będzie miała dużo szczęścia, jeśli dożyje do dwudziestych urodzin.

To z powodu dziury w piersi – tak, to dosłownie dziura. Melanie przez wyrwę wielkości pięści widzi w lustrze niebieskie zasłony za swoimi plecami. Nazywa to „raną”, ale z otworu nie płynie krew. Właściwie skóra wokół okaleczenia jest gładka i bez skazy, jak u noworodka.

A ten ból, w chwili, gdy powstała! Na Croma! Na samo wspomnienie chwieje się, aż musi się oprzeć o ramę lustra.

Oddycha ciężko, gdy przypomina jej się posępny doktor Moore.

Mylił się, kiedy przysiągł, że ta rana ją zabije. Mylił się też, myśląc, że będzie ją miała do końca życia. Wspomnienie to nawiedza ją za każdym razem, kiedy się kładzie i widzi, jak koszulka zsuwa się w pustkę między piersiami. Lekarstwo istnieje, a Melanie wie dokładnie, skąd je wziąć.

– Bądź silna – mówi do siebie. To naprawdę bardzo proste.

Ale oczekiwanie doprowadza ją do szaleństwa. Szczególnie konieczność zachowania tajemnicy i osamotnienie. Melanie nie jest dziewczyną, która mogłaby być sama. Kiedyś była taka piękna! Każdy zabiegał o spojrzenie jej olśniewających niebieskich oczu. I wszyscy podziwiali drobny podbródek trzymany wysoko nad zgrabną szyją godną baleriny. Gdy Bart Dundon całował ją w to miejsce, dreszcze przebiegały jej przez ciało. Dzień w dzień, dopóki nie zabrali go Sídhe.

Ale z kim mogłaby teraz porozmawiać?

Z jej klasy Wezwanie przeżyło pięć osób. Niektórzy nawiązali z nią kontakt. Sleazy Eamon, on wyszedł z tego zupełnie bez szwanku! Nie ma żadnej dziury! I Annie Nudna Pierdoła Shevlin. Bogowie! Nie, choćby była ostatnią osobą na tej planecie!

Melanie dostaje też zaproszenia od różnych grup wsparcia. Od najlepszych terapeutów w kraju, którzy całe życie poświęcają pomaganiu takim ludziom jak ona. Z tym wyjątkiem... z tym wyjątkiem, że większość ocalałych wcale nie jest taka jak Melanie. I to jest ta straszna strona medalu. Potrzebuje tej pomocy, ale nie może z niej skorzystać. Potrzebuje z kimś, z kimkolwiek, porozmawiać. Jest jak ten

chłopak z legendy, który strzegł sekretu króla Lowrey'a, aż omal nie spotkała go śmierć.

– Ile jeszcze mam czekać? – mówi do lustra w sídhe.

Jako ocalała nie musi już mówić w tym języku. Ale, podobnie jak wielu innych, lepiej czuje się w sídhe niż w angielskim. A ponieważ nie mają większego wyboru, jak tylko zawierać małżeństw między sobą, w szkołach podstawowych w całym kraju pełno jest dzieci, których niewinne usta od dawna przemawiają wymarłym językiem przodków. A tak się składa, że jest to żywy, niezmienny język wroga. *Pewnego dnia wszyscy staniemy się nimi, a dla Sídhe będzie to większe zwycięstwo, niż gdyby nas wszystkich wybili.*

Słyszy pukanie do drzwi w głębi korytarza.

– Mogę wejść? – pyta niski głos. – To ja, Nabil. – A po krótkiej przerwie: – Ale ja właściwie nie przyszedłem do ciebie.

Melanie jest tak ciekawa, że gdyby nie była naga, gdyby... gdyby nie miała odsłoniętej rany, wyskoczyłaby z pokoju jak strzała. Tak czy inaczej, łapie za ubranie na wypadek, gdyby Francuz zapukał i do niej. Nie żeby nie wiedział, co jej się przytrafiło – wszystko jest w Świadectwie i z jej strony nie padło żadne kłamstwo, które sfalszowałoby raport medyczny. Ale wzdraga się na samą myśl o oczach Nabila – oczach kogokolwiek – świdrujących ją na wylot.

Melanie skłamała za to w Świadectwie. Jej relacja, podobnie jak ciało, zawiera lukę, choć ta jest tak duża, że zmieściłby się w niej cały świat.

Gdy zakrywa ranę trzema warstwami podkoszulków i szlafrokiem, z korytarza słychać dziwne szurające kroki. Wygląda przez szparkę w drzwiach, ale jest za późno, żeby zobaczyć, kto przechodził. Ale nie tylko ona obserwuje korytarz. Jej kolega weteran, Anto, szybko wycofuje się na widok Melanie.

– Ciekawe – mruczy Melanie do siebie.

Tak jak ona wrócił do szkoły niedługo po Wezwaniu. Przystojny jak na chłopaka, podobnie jak Melanie jest ładna jak na dziewczynę. I jego również ręce Sídhe odmieniły w okrutny sposób. A co, jeśli – nie może się oprzeć tej myśli – jeśli dzieli z nią wspólny sekret? Ta myśl sprawia, że jej serce zaczyna bić niebezpiecznie szybko. Jeśli tak jest, to nie wolno mu z nikim o tym rozmawiać. Tak jak Melanie, oczywiście. Przez większość czasu stara się w ogóle o tym nie myśleć, z obawy, że wygada wszystko nauczycielom przy kolacji. Przeżyliby ogromny wstrząs! Och, Cromie! Na Kocioł Dagdy!

Ale przecież potrafi być ostrożna? Może go wybadać.

Wraca do lustra i rozczesuje złociste włosy – nie są już długie, tylko równo podcięte. Gdy wyzdrowieje, będzie czas, żeby je znowu zapuścić. Zaciska pasek szlafroka, żeby upewnić się, że zagłębienie w piersi, i to na plecach, zniknęło. Potem, podekscytowana po raz pierwszy od Wezwania, idzie porozmawiać z kolegą weteranem.

– Melanie?

– Dobry jesteś – mówi, a na twarzy pojawia jej się szelmowski uśmiech, który w dawnych czasach był jej znakiem firmowym. – Minęło trochę czasu, odkąd rozmawialiśmy.

– Tak mówisz? – Z jakiegoś powodu Anto się rumieni, i chociaż do tej pory zamienili tylko kilka słów, na spotkaniu z bardzo zdenerwowaną dyrektorką Breen, wydaje się teraz szczęśliwszy niż wtedy. I Melanie zastanawia się, czy to z jej powodu. W sumie, szczęściarz z chłopaka, którego piękna dziewczyna odwiedza w nocy! Uśmiecha się szerzej. Jak mogła o tym nie pomyśleć!

Ale jednak, mimo wszystko, może wcale nie chodzi o nią, ponieważ Anto wymawia się zmęczeniem i zachowuje tak, jakby chciał zamknąć drzwi.

– Anto, wyglądasz na mniej zmęczonego niż przed Wezwaniem. W każdym razie, zajmę ci tylko kilka minut i przysięgam na Kocioł Dagdy, że potem sobie pójdę.

Cofa się i wpuszcza ją, a chociaż jest jak na jej gust trochę za młody, nie może oprzeć się myśli, że po wszystkim, kiedy to się skończy i oboje wyzdrowieją i wrócą do normalnego życia, może do czegoś między nimi dojdzie. Bart Dundon na pewno nie miał takiego silnego podbródka!

Stoją i patrzą na siebie w ciepłym pokoju, ich twarze pozostają w cieniu, ponieważ pali się tu tylko jedna świeczka.

– Czego chciał Nabil?

Anto potrząsa głową, a ona nie naciska, sama też nie będzie chciała być naciskana, kiedy przyjdzie jego kolej na zadawanie pytań. Stanowczo jednak jest w nim coś innego. W gabinecie Breen ukrywał się za stosem książek, a Indyczka mówiła:

– Posłuchaj, Anthony, to ty nalegałeś, żeby tu wrócić i pracować w szkole.

– Muszę tu być!

– Dobrze, już dobrze. Ale jeśli nie czujesz się dość komfortowo, żeby dzielić się doświadczeniami z młodzieżą...

– Ja... kiedy mnie zobaczą. Ja...

Melanie dokładnie go rozumiała! Anto miał własną „ranę” i to o wiele brzydszą niż ona. Uciekłyby do chatki w lesie, gdyby jej się to przytrafiło! Rzuciłaby się ze skały, żeby ta monstrualna ręka wciągnęła ją w toń. A on w obecności innych tylko owijał się prześcieradłem.

– Posłuchaj, Anthony – mówi pani Breen przez zaciśnięte zęby. – Ocaleli mają za zadanie... podbudowywać morale, tak jak instruktorzy. A to nie zadziała, jeśli przez cały czas będziesz się ukrywał.

– Ja... zrobię to – obiecał. – Proszę pozwolić mi zostać. Proszę.

Pomimo obietnicy, z tego, co orientowała się Melanie, do tej pory nie

przyszedł jeszcze na żadne zajęcia. Chociaż krążą plotki, że niespodziewanie wziął udział w polowaniu!

– Mam do ciebie pytanie – mówi teraz Melanie.

Anto kiwa głową, a Melanie zauważa, że dziś stoi do niej przodem, nie odwraca się prawą stroną, żeby ukryć deformację. *Czyżby zrozumiał, że może mi zaufać?*

– Dlaczego, Anto? – pyta. – Dlatego nie powiedziałeś Indyczce, czemu koniecznie musisz tu być?

Pytanie go zaskakuje i Melanie uśmiecha się, widząc jego reakcję, a uśmiech staje się jeszcze szerszy, kiedy pada stłumiona odpowiedź.

– Nie... nie mogę o tym rozmawiać.

– W porządku – mówi Melanie.

– W porządku?

– Ja też. Ja też nie mogę rozmawiać o tym, dlaczego muszę tu być.

– Och.

– Nie mogę – ciągnie Melanie, obserwując jego najdrobniejszą reakcję – ponieważ złożyłam przysięgę.

– Przysięgę?

– Złożyłam przysięgę na Kocioł Dagdy. – Uczniowie w szkole składają taką przysięgę dzień w dzień, podobnie, jak nadaremnie wzywają imię Croma, Danú czy Lughy. Ale nie wiedzą, żaden z nich nie wie, że Kocioł Dagdy, który ma zdolność uzdrawiania wszelkich ran, jest prawdziwy i że ona sama go widziała. Nie wiedzą, że Sídhé mogą uzdrowić człowieka w zamian za pewne... usługi.

Czeka na jakiś potwierdzający gest z jego strony, kiwnięcie głową, tajemniczy uśmiech, ale widzi tylko zmieszanie, więc jej głos brzmi gniewniej, niż zamierzała.

– Lepiej zacznij przykładać się do pracy z uczniami, bo cię stąd wywalą! A mnie wcale nie będzie przykro!

Wychodzi, zatrzaskuje drzwi, a potem pozwala płynąć łzom.

– To nic, to nic – mówi sobie, przykładając rękę do rany. Niedługo znowu będzie cała. Sídhé nigdy nie łamią obietnic: to jedyna rzecz, co do której zgadzają się legendy i Świadectwa.

Ale i tak pochlipuje w łóżku, ponieważ nie chce być z tym sama, być jedynym potworem. Zdradzać własnego gatunku.

Możesz teraz uciec – myśli. *Pobiec do Nabila, do Indyczki, do kogokolwiek. Możesz wszystko wyznać.*

Zamiast tego szepcze:

– Już niedługo, już niedługo...

I ma rację. Zostały jeszcze niecałe trzy tygodnie.



Koniec upokorzenia

I oto jest: ostatnie zebranie Rycerzy Okrągłego Stołu. Kiedyś Conor gromadził wokół siebie dziewięciu Rycerzy.

– Jesteście elitą – mówił im. – Przyszłością Irlandii, ponieważ jesteście silniejsi i bardziej niebezpieczni niż to mięso armatnie, z którym dzielimy sypialnię.

A jednak Tony, Keith, Rodney, Chuckwu i Cahal zginęli. Ponad połowa bandy. Z Piątego Roku ocalał tylko jeden chłopak; ten, przed którego słabością ich ostrzegali.

Conor nadal zajmuje dawne krzesło z przodu klasy, ale nikt inny nie zadaje sobie trudu, żeby usiąść. To nie potrwa długo.

Bruggers czerwieni się jak burak, kiedy uderza rękami w stolik przed nim.

– I te dziewczyny! Grupka dziewczynek, która cię pobiła, Conor! Najpierw raz, a potem drugi cholerny raz! Na Kocioł Dagdy! Dziewczyny!

Bruggersa wcale nie obchodzi, że mówi to wszystko w obecności Liz Sweeney, która za każdym razem podczas pojedynku kładzie go plackiem na macie. Ale Liz nie protestuje, ta sama Liz, która zaledwie kilka dni temu również wpatrywała się w Conora jak w obrazek, jakby był samym niebiańskim Lughem. W ogóle rzadko się odzywa od chwili, kiedy tydzień temu ścigała Kuścyczkę po kurhanie.

Tylko Fiver i Sherry pozostali lojalni. Najślabszy w stadzie i dziewczyna, która chce zostać jego nagrodą pocieszenia.

– Więc się wynoś – mówi w końcu Conor. – Wszyscy się wynoście!

Nawet teraz mógłby jeszcze ich odzyskać, gdyby rozwalił Bruggersowi nos, gdyby zmusił go do płaczu i błagania. Ale teraz Król skupia się na utracie wiary w siebie. Zawsze wiedział, że będzie tym, który przeżyje Wezwanie. Marzy nawet o tym wydarzeniu, o ostatecznym wyzwaniu, które potwierdzi jego wielkość.

Tylko że teraz już sam w to nie wierzy. Bruggers mówi prawdę. Skoro Conor i jego dziewięciu Rycerzy nie dało sobie rady z rudą wariatką z Donegalu i kaleką,

Sídhe wciągną ich nosem.

Patrzy, jak wychodzą: Liz Sweeney otumaniona; Sherry rzucająca spojrzenia jak skopany szczeniak; Bruggers oraz Fiver, rozczarowani, że Conor nie próbuje nawet zdobyć na nowo ich lojalności.

Dziś Kuścyczka wychodzi z Klatki. Conor odlicza czas do tego wydarzenia, ponieważ postanowił ją zabić. A to oznacza również jego koniec – kraj nie marnuje zasobów na morderców. Ale nie dba o to. Nie może żyć z myślą, że jest nieudacznikiem, że ona nim gardzi, ponieważ tak bardzo się przed nią poniżył.

Wkrótce wszyscy się dowiedzą, że go odrzuciła. Podobnie jak wiedzą już o tym, że nie potrafił dać Nessie i jej koleżankom nauki w lesie, a przede wszystkim o tym, że uciekł przed Anto. Właśnie przed nim.

Conor nie przyśpiesza biegu wydarzeń. Nawet teraz fantazjuje, że jest bardziej drapieżnikiem niż ofiarą. Przez kilka dni tylko ją obserwuje. Chodzi do biblioteki i udaje, że czyta Świadectwa, ale zrobił sobie luki między książkami na półkach, przez które ma widok na drzwi dziewczęcej toalety.

Szansa przychodzi szybciej, niż się spodziewał. Słyszy nierówne kroki Nessy na wytartym i wyblakłym dywanie, więc zrywa się na równe nogi z wielkim szklanym przyciskiem do papieru w zaciśniętej pięści, zanim jeszcze Kuścyczka dotrze do drzwi. Chce ją zabić szybko i przy minimalnym rozlewie krwi, ponieważ ma niewielką szansę, że uda mu się wydostać niepostrzeżenie przez labirynt między regałami.

Przechodzi przez drzwi jak anioł zemsty, ale Nessa jest zawsze szybsza, niż mu się wydaje, więc kiedy robi zamach przyciskiem, ona podnosi rękę.

Conor jest jednak silny! Och, jaki jest silny, szczególnie teraz, kiedy wymierza sprawiedliwość! Pokonuje jej niezdarny blok, i chociaż Nessa ratuje sobie życie, chłopak uderza z taką siłą, że pozostawia ją ogłuszoną i zupełnie bezradną.

Ogarnia go niezwykle uczucie. Nigdy nie był tak potężny, nigdy nie miał czyjeś losu w swoich rękach. *Po to właśnie się urodziłem.*

I wtedy przycisk upada na podłogę i rozpryskuje się w fontannę szklanych okruchów, na które opada pusty dres.



Conor

Conor śmieje się, kiedy pojmuje, co się stało. Wiry mdłego, szarego światła hipnotyzują go swoim pięknem. W oddali przez wzgórza przetaczają się tornada, a każda roślina, od ostrotrawy u stóp po duszące drzewa z lewej, reprezentuje wszelkie możliwe wyzwania, o jakich marzył przez całe życie.

– Och, dzięki ci! – mówi.

Wielki Król nie musi wierzyć w bogów, ale Conor wie teraz, że Wezwanie uratowało go przed bezcelowym morderstwem. Ostatnie stracone tygodnie nie grają żadnej roli, ponieważ to jest jedyna próba, która naprawdę coś w jego kraju znaczy. A on jest gotów ją przejść.

Sídhe zawsze przychodzą w miejsce, gdzie zjawia się ich ofiara. Ale Conor, całkowicie spokojny, przez minutę planuje trasę. Potem rusza biegiem, ryzykując, jak każdy, że zamiast uciekać przed pościgiem, zmierza prosto na niego. Przeskakuje nad ostrotrawą i z zuchwałym uśmiechem robi unik przed gałęzią pajęczego drzewa.

Powietrze kaleczy mu gardło, oczy pieką. Odór wymiocin w powietrzu uderza go z każdym oddechem, a jednak czuje się wspaniale.

Kilkaset metrów od miejsca, z którego wyruszył, słyszy z oddali po prawej pierwszy dźwięk rogów. Teraz jego serce zaczyna bić szybciej, ale uspokaja je właściwym rytmem oddechu i opiera się głupiej chęci, aby ruszyć sprintem.

– Pomóż mi, panie, pomóż! – woła jakiś głos.

Ale Król nie da się ogłupić, nie odrywa oczu od trasy przed sobą, nurkuje pod suchymi pokrzywami zwisającymi ze skał; rozdeptuje stadko maleńkich krzyczących ludzików; odbija na lewo, gdzie nad drzewami unosi się chmura, która może równie dobrze być popiołem lub chmurą latających pijawek. Conor jest ulubionym uczniem pana Hickey’ a, i Nabila, i Taaft. Nikt przed nim nie wchłonął lekcji tak dogłębnie, że stały się elementem jego ciała, i albo Sídhe nigdy go nie dopadną, albo pożałują dnia, w którym to zrobili.

Znów rozbrzmiewa róg, tym razem o wiele bliżej. Ale jak to możliwe? Sídhe nie potrafią przecież biegać tak szybko bez wyczerpania. Czytał o tym w Świadectwach.

Conor wybiega spomiędzy pni potężnych drzew duszących i trafia na płaską błotnistą równinę. Teraz słyszy róg z lewej, a ziemia pod nogami drży tak, jakby

galopowało na niego dzikie stado – i tak faktycznie jest! Conor już je widzi i po raz pierwszy odczuwa wątpliwości. Ponieważ tym razem wrogowie poruszają się na koniach!

Podobnie jak w przypadku „psów”, ulepili „wierzchowce” z mężczyzn i kobiet, rozciągając ich głowy i szyje i powiększając ciała, aż do momentu, gdy stojąc na czterech kończynach wzrostem dorównują Conorowi. Każdy z nich niesie na grzbiecie roześmianego Sídhę, którzy machają nad głowami sieciami z ludzkich włosów i szarżują na niego.

Conor nie jest na tyle głupi, żeby biec. Zamiast tego zatrzymuje się, jakby zamarł z przerażenia, i czeka, aż się do niego zbliżą. Pierwsza sieć leci w jego kierunku i wtedy Conor rusza: odskakuje w bok, łapie zaskoczonego jeźdźca za splecione włosy i ściąga go z wierzchowca.

– Niezła zagrywka, złodzieju! – woła Sídhę, a Conor miażdży mu twarz piętą. Pozostali jeźdźcy przegrupowują się i zbierają sieci, ale pozbawiona jeźdźca klacz, z twarzą wykrzywioną nienawiścią, naciera prosto na niego. Zmiażdży go; zatopi zęby w jego ciele.

Ale wielki Król Conor łapie sieć swojej ofiary. Oplata ją wokół ludzkich pięści, które zastępują klaczy kopyta, a potem, kiedy stworzenie z powrotem staje na nogi, wskakuje mu na grzbiet i krzyczy prosto do uszu.

– Teraz to ja jestem twoim panem, brudna dziwko! Jedź! Jedź! Albo, na Cromu, zatęsknisz za bólem, z którego powstałaś!

I ciągnie ją za włosy tak mocno, że wyrywa ich całą kępkę razem z zakrwawionym kawałem skóry. Stworzenie panikuje, pędzi przez równinę, a roześmiana kawaleria Sídhę rzuca się w pościg. Cóż za ironia losu, myśli chłopak, że pan Okrągłego Stołu właśnie spotkał swoich Rycerzy! I Conor śmieje się, a jeśli coś przekonało klacz, kto jest teraz jej panem, to właśnie to.

Ależ ona galopuje! Szybciej niż prawdziwy koń. Sídhę ukształtowali jej plecy w wygodne, naturalne siodło, ale Conor nigdy wcześniej nie jeździł konno i przez całą drogę przez równinę trzyma się szyi stworzenia, a od śmiertelnego upadku dzieli go nie więcej niż uderzenie serca. Zerka w tył i widzi resztę radosnej bandy podążającą za nim, wiatr przynosi zachęcające okrzyki i śmiech Sídhę.

Przed nim wyrastają brązowe pagórki wielkości małych domów. Znów rozbrzmiewa róg i Conor zastanawia się, czy ten dźwięk dobiega z przodu. *Czy powinienem skrócić?* Ale jest już za późno, ponieważ wzgórza okazują się pełne dziur, a z nich wypęła kilkadziesiąt pięknych wojowniczek Sídhę, wznosząc okrzyki radości.

– Ja go tu przywiozłam! – krzyczy jego klacz.

I nagle Conor spada z jej grzbietu.

Jedna z wojowniczek amortyzuje jego upadek własnym ciałem. Jest uzbrojona we włócznię. Teraz włócznia należy już do niego. To broń, z którą

ćwiczył, intensywnie ćwiczył. Tyle że żadna z nich nie miała takich wspaniałych rzeźbień, takiego ostrego kościanego grotu!

– Jestem najlepszy! – woła do nich. A oni wiwatują! Tak, naprawdę wiwatują!

Potem ruszają na niego, a Conor potwierdza swoje przechwałki.

Dźga i paruje ciosy. Zostawia włócznię wbitą w ciało jednej Sídhe, a drugiej zadaje taki cios, że głowa jej odskakuje. Przejmuje jej broń. Grubszym końcem rozwala jej czaszkę. Smaga napastników po nogach. Grot raz po raz zanurza się we krwi.

Żadna szkoła przetrwania w Boyle, ani żadna inna szkoła w Irlandii, nigdy nie wydała tak wspaniałego wojownika jak Conor. Chociaż rósł stos ich ciał, Sídhe wiwatowali wokół niego.

– Jesteś radością – mówi jakaś księżniczka, wydając ostatnie tchnienie. A Conor wie, że to prawda, i zabija, zabija dalej, roześmiany tak jak oni.

Traci poczucie czasu, ale w końcu okazuje się, że znalazł się na szczycie jednego z tych wzgórz, w których mieszkają Sídhe, a ich atak dobiega końca. Sídhe nadchodzą ze wszystkich stron i stają rozradowani na ciałach zabitych jak na trawie.

– Dlaczego nie walczyście?! – krzyczy Conor. Głos ma ochrypliwy. Kończyny ma już ciężkie jak z ołowiu, a jego nagość okrywa warstwa zaschniętej krwi, tak gruba, jakby nosił pancerz. Myśli, że za chwilę padnie tam, gdzie stoi i zastanawia się, ile minęło czasu i czy uda mu się dotrzeć do chwili odesłania. Ale potem łapie się na myśli: właściwie po co mam wracać do swojego świata? Tu przynależę! I to prawda. Nigdy nie czuł się taki pełny życia. Mógłby walczyć i zabijać bez końca.

Tłum rozstępuje się przed mężczyzną w koronie z połyskliwych kości spoczywającej na lśniących włosach. Jest potężny i silny jak Nabil, a jego twarz błyszczy jak u Boga lub świętego na witrażu. Ma wspaniałą kwadratową szczękę i barki bohatera, a na potężnych bicepsach nosi zaciśnięte metalowe bransolety. Uwagę Conora przykuwa jednak przede wszystkim niezwykła szata okrywająca jego pierś. Układa się inaczej z każdym jego ruchem i zawsze chwytą najlepsze światło, jednocześnie przylegając do rzeźbionych mięśni.

– Porozmawiajmy! – krzyczy. – Jak bohater z bohaterem!

Conor czuje, jak unosi mu się pierś, i kiwa głową na zgodę, mimo wyczerpania.

– Podejź zatem, panie.

Książę Sídhe uśmiecha się, perfekcyjnym ludzkim uśmiechem. Efektownym gestem wbija włócznię w ziemię, po czym wspina się na wzgórze.

– Zwą mnie Dagda.

– Tak jak tego boga? Od Kotła?

– Widzę, że o mnie słyszałeś. To dobrze. To wiele ułatwi. – Przygląda się

skutkom rzezi. – Dobra robota, moje dziecko. Byłbym dumny, gdybyś mi służył.

Conor uśmiecha się i myśli, że Król nie służy u nikogo. Ale wie, że trzeba się zachować grzecznie i kiwa głową. W nozdrza uderza go smród gorszy niż dotąd. Ten smród przyszedł razem z Dagdą. Conor odnajduje jego źródło, kiedy przygląda się ubiorowi mężczyzny i aż wzdycha, ponieważ oba rękawy obręzione ma ludzkimi wargami – właściwie całymi ludzkimi ustami, dyszącymi z bólu wokół nadgarstków Sídhé, podczas gdy strużki wymiocin spływają z nich na ziemię.

Gdy się im przygląda, dostrzega też nieszczęśliwe otwarte oczy patrzące prosto na niego.

– Urocze, prawda? – pyta Dagda. – Możesz takie dostać, jeśli ci się podoba.

– Ja... wygląda okrutnie – mówi Conor. – Nie lubię okrucieństwa.

– Och, myślę, że lubisz. Myślę, że bardzo je lubisz. Ale tam, gdzie żyjesz, pośród nieustannego piękna, każdy, kto docenia cierpienie, musi udawać coś dokładnie przeciwnego, nawet przed samym sobą. Powiedz mi wreszcie, czy nie uważasz, że moje okrycie jest pomysłowe?

I Conor musi się z nim zgodzić. Skóra zmienia kolor, od brązowego po zielony, pulsując delikatnie w agonii. Na pewno musi też dobrze ogrzewać Sídhé.

– Posłuchaj, złodzieju, nie musisz tu dziś umrzeć. Złóż mi przysięgę wierności, a ja odeślę cię do Krainy Tysiąca Barw w niezmiennym stanie i żywego.

– To ty powinienes mi złożyć przysięgę! – odpowiada Conor. – Pewnego dnia ja sam będę królem i dokończę to, co zaczęli moim przodkowie. Skończę z wami!

Sídhé nie posiada się z radości.

– Och, zrób mi tę przyjemność! Walczmy zatem, ty i ja! Walczmy, a przegrany będzie służył zwycięzcy!

– Nie będziesz mi służyć w postaci zwłok!

– Ja przecież nie mogę umrzeć! Wiesz o Kotle, prawda? Wiesz, że istnieje naprawdę? Wkładamy do niego naszych zmarłych, a oni wychodzą z niego gotowi do dalszej walki. Wszyscy ci ludzie – mówi i wskazuje eleganckim ramieniem – żyją tu od początku.

– Po... poważnie? To znaczy, słyszałem legendy, ale... ale...

– A jak myślisz, w jaki sposób ciągle jesteśmy młodzi? – Uśmiecha się jeszcze szerzej. – To co, będziemy walczyć, ty i ja? Nawet jeśli przegrasz, uczynię cię królem! Masz moje słowo, a my zawsze dotrzymujemy słowa. Musisz to wiedzieć.

Cóż Conor może rzec na tak szlachetną propozycję? Dziś i tak nie może przegrać żadnego starcia, ponieważ oni się boją, podobnie jak ludzie z Connaught bali się Cú Chulainna, gdy ten wpadł w furję. A nawet jeśli niemożliwe się

urzeczywistni, nawet jeśli przegra, Dagda obiecał, że uczyni go królem!

– Niech tak będzie – mówi wyniośle i ściska dłoń Sídhé.

– To nie jest zbyt mądry sposób na rozpoczęcie walki – mówi Dagda.

– Rozpoczęcie? Jeszcze nie zaczęliśmy, my...

Ręce Sídhé już leżą na łokciach Conora i zaczynają je wykręcać. Ból jest najgorszy ze wszystkiego, co przeżył do tej pory. Jest tak nieznośny, że chłopak pada na kolana, przewraca oczami i wystawia szczękę, próbując krzyknąć. A Sídhé splątuje mu ręce, jakby były z masy plastycznej, łapie za kolana i dokonuje tego samego przerażającego cudu z nogami.

– Przysięgnij mi – mówi do Conora nowy pan. – Przysięgnij, jeśli chcesz być znowu cały. Przysięgnij na Kocioł, który da ci młodość na zawsze. Albo zrobię sobie z ciebie odzienie.

Conor przysięga. Jaki ma wybór? Przysięga. Ale najpierw, ponieważ jest najsilniejszy spośród swoich rówieśników, pokonuje na chwilę ból, aby powiedzieć:

– Chcę czegoś! – Jego głos przechodzi w krzyk, nie panuje nad tym. – Najpierw czegoś chcę.

Kiedy Sídhé dowiaduje się, jakie jest jego żądanie, śmieje się – ależ się śmieje! A Dagda obiecuje, przysięga, że spełni największe pragnienie Conora.



Fałszywe Świadectwo

Nessa z wysiłkiem siada w bibliotecznej toalecie. Nie jest pewna, co się właśnie stało. Pamięta tyle, że Conor uderzył ją czymś w głowę i został wtedy Wezwany.

Po raz pierwszy w życiu życzy komuś, aby zginął z rąk Sídhé. To niegodna, okropna myśl, ale się pojawia, a krew we włosach i mdłości tylko ją wzmacniają.

A potem Conor wraca. Czy rzeczywiście upłynęły trzy minuty? Staje przed nią nagi i bez najmniejszej rany na ciele. Nie ma nawet żadnej blizny, jakie zostają wszystkim po latach niebezpiecznych rozgrywek pod nadzorem najlepszych zabójców na świecie.

Nessa głośno wciąga powietrze, nadal zbyt oszołomiona, żeby bać się chłopaka, który dwa razy próbował ją zabić.

– Twoje ręce – woła – i twoje... twoje nogi.

Conor jest wstrząśnięty bardziej od niej, w ogóle nie krępuje się też swoją nagością. Pochyla głowę, jakby za pociągnięciem sznurka, i wydaje skowyt. Ponieważ te kończyny nie należą do niego. Ma prawą nogę i lewą nogę, ale jedną jak u Afrykańczyka, a drugą chyba Azjaty. Ręce również są różnych rozmiarów. Jedna z pewnością wygląda jak ręka człowieka białej rasy, ale porośnięta jest owłosieniem o wiele gęstszym niż na reszcie ciała chłopaka.

– Co tam się stało? – pyta Nessa, zapominając o wrogości.

Conor otwiera usta, jakby chciał odpowiedzieć, ale potem potrząsa głową i nie zawracając sobie głowy podniesieniem ubrania z podłogi, potykając się, wypada z biblioteki.

Godzinę później Nabil przechwyił Conora i zaprowadził go do gabinetu pani Breen.

Dyrektorka wie już o rozbitym przycisku do papieru i zastanawia się, jakie zamiary Conor miał wobec Nessy.

Każdy z uczniów z łatwością pokonałby dyrektor Breen w walce wręcz. Dotąd jednak rzadko obawiała się zostać z któryms z nich sam na sam. Teraz się bała.

– Opowiesz mi o tym? – pyta.

W ciągu tygodnia Conor będzie musiał złożyć Świadectwo przed stadem wyszkolonych śledczych i wszystkie jego przejścia zostaną podane do publicznej

wiadomości. Ale pani Breen lubiła wyciągać najświeższe wspomnienia z tych, którym wizyta w Szaroziemni nie odcisnęła piętna na umyśle.

Conor nic jej nie powie. Siedzi ze zwieszoną głową, jakby czuł się winny, po czym mówi:

– Chciałbym tu zostać. Jako... może jako weteran.

– Nie – odpowiada krótko, a on nie naciska ani nie pyta dlaczego.

– To zamieszkać w Boyle. To tylko kilka kilometrów stąd.

– Dlaczego, Conor? Boyle umiera. Dlaczego nie wrócisz do domu, do Tipperary? Do Cashel? Tam, gdzie mieszkają twoi rodzice.

Conor wzrusza ramionami, a potem się krzywi. Był w tym gabinecie już wiele razy. Siadał przed dyrektorką z szeroko rozstawionymi nogami, z zadartym podbródkiem, uważnie dobierając słowa. Ale nie dziś. Dziś chłopak wygląda jak jej matka podczas najgorszych ataków demencji. Choć w końcu udaje mu się sklecić odpowiedź.

– Mam tu przyjaciół... Martwię się o nich. Liz Sweeney. Fiver.

Znów wzrusza ramionami.

– W porządku, młody człowieku. Nie mogę cię powstrzymać, jeśli chcesz zamieszkać w Boyle, ale nie zgadzam się na twoje wizyty w szkole, rozumiano? A twoi przyjaciele również nie będą chodzić do ciebie!

– Ja tylko chcę być blisko... blisko nich.

Breen kiwa głową. Conor się rozluźnia, a dyrektorka korzysta z okazji i szybko zadaje pytanie:

– Co się stało z twoimi rękami, dziecko? Dlaczego są różnego koloru?

– On... to znaczy oni mnie złapali.

– To oczywiste.

– A to... to taki ich żart.

– Ale dlaczego cię wypuścili?

Conor podskakuje, jakby go złapano w dziewczęcej łazience z bronią w ręku.

– Dlaczego? – naciska Breen. – Dlaczego wypuścili cię żywego?

Conor zrywa się na równe nogi i pada jak długi, ponieważ stopy faktycznie nie należą do niego.

– Wcale nie musieli mnie wypuszczać! – krzyczy. – Nie musieli! Uciekłem! Pokonałem ich i uciekłem! Na Ko... – przerywa, oddycha gwałtownie, a pani Breen ponownie boi się o własne życie. Ale w końcu Conor opanowuje się, a spojrzenie mu tężeje.

– Dobrze się czujesz? – pyta dyrektorka, a w odpowiedzi otrzymuje takie samo skinienie głową, jakim odpowiedziałby jej przed Wezwaniem.

– Robimy to, co pozwala nam przetrwać – mówi Conor.

– Żeby Naród mógł przetrwać – poprawia go.

Chłopak nie odpowiada.

Pani Breen z ulgą patrzy, jak wychodzi. Jeszcze nie wie, że bardzo szybko zobaczy go ponownie.



Wróży Zabójca

Minęło zaledwie kilka tygodni od czasu, kiedy Conor opuścił szkołę, a Nessa nie może się nadziwić, jak wielką odczuwa ulgę. A wszystko za cenę dwóch nędznych szwów na głowie! Deszcz uderza w szyby, a Nicole rozdaje sobie, Megan, Maryi, Aoife karty do partyjki w dwadzieścia pięć. Inni uczniowie okupują sofy i oglądają stare czasopisma, ekscytując się dziwacznymi celebrytami.

– Na Croma, ta wygląda, jakby ją dopadli Sídhé..

Pośród tego wszystkiego trzeszczące radio z trudem wydobywa z siebie trzydziestoletnie hity.

Nessa ma przyjemnie pełny brzuch, a w staromodnym palenisku płonie ogień, do którego chłopcy na zmianę podrzucają drewno. Tłumi ziewnięcie i myśli o Anto, który dziś wieczorem pierwszy raz zasiadł za stołem u szczytu sali, ignorując spojrzenia skierowane na jego zdeformowane ciało. Jego wzrok spoczął na pewnej dziewczynie. Uśmiechnął się, a ona odpowiedziała mu tym samym.

Nessa bierze lewą na dwójkę kier, a Megan rzuca karty i prycha.

– Kto wymyślił tę głupią grę?

Teraz przychodzi kolej Aoife, która się waha.

Jasnowłosa dziewczyna niewiele mówi od czasu, gdy Piskliwa Emma została Wezwana, więc nawet Megan okazuje cierpliwość, kiedy Aoife łamie największe ze wszystkich tabu.

– Dziewczyny... co... co będziecie robić, jeśli przeżyjecie? – pyta.

Nicole patrzy na nią z zakłopotaniem. Marya zakrywa usta. Żadna nie ma odwagi odpowiedzieć.

– Chodzi o to, no, chodzi mi o to, że państwo pewnie nakaze mi wyjść za mąż za jakiegoś faceta. A ja... wiecie, nie nadaję się do tego.

– Mężczyźni nie są tego warci – mówi Megan i mruga do Nessy, która

walczy, żeby idiotyczny uśmiech nie odmalował się na jej twarzy.

Ale Aoife bierze komentarz na poważnie.

– Nie czuję nienawiści do mężczyzn. Uwielbiam mojego ojczyma. Chodzi mi o...o ten, hmm, sam akt. Wiecie, co mam na myśli. To... wydaje mi się ohydne.

– O tak – mówi Nicole. – Zgoda. Ohydne to dobre słowo. Jest to tak obrzydliwe, że wątpię, bym dała radę więcej niż pięć razy jednej nocy. A może dziesięć? Musiałybyście mnie najpierw naprawdę upić.

Marya śmieje się, trochę zszokowana, trochę rozbawiona, aż w końcu śmieje się nawet Aoife. I powoli, wspólnymi siłami, grupa odciąga myśli dziewczyny od nieszczęsnego tematu, co będzie „po”.

Ale potem, mając szczególnie złe karty w ręku, Megan sama odgrzewa temat.

– Mam w nosie, czy mi się uda – mówi, a Nessa czuje lodowate uklucie w sercu. – Tak właśnie myślę. Kraj już i tak jest skończony, i wszyscy wiemy, że to prawda. Aoife ma rację. Nawet tych, którzy przeżyją, nic nie czeka, z wyjątkiem upadku i staruchów ze ściśniętymi dupami, którzy wszystkim trzęsą.

Marya jest jednak wierną obywatelką i zaskakuje wszystkich, uderzając w stół małą pięścią.

– To po co się męczysz? – cedzi. – Nikt nie każe ci siedzieć w szkole przetrwania, jeśli tego nie chcesz. Dlaczego nie pójdziesz się cieszyć resztą swojego bezwartościowego życia? Nie musisz się katować treningami.

– Och, ale ja chcę trenować – mówi Megan, patrząc prosto na nią. – Ponieważ Sídhé to zrobili. To oni zniszczyli wszystko. Wszystko! Moi rodzice są zaryczanymi wrakami. Nigdy nie będę mogła polecieć samolotem ani wspiąć się na Everest, ani nie spróbuję całego tego przeklętego przez Croma gówna, którego inni mogli doświadczyć, a my nie. Ale jest coś, co mogę zrobić. Coś, czego pragnę bardziej, niż żyć wiecznie lub polecieć w kosmos. Chcę zabić jakiegoś Wróża. – Używa angielskiego określenia Sídhé, a z jej ust spływa jednocześnie ślina i zółć. – Chcę zabić ich tyłu, ilu dam radę, ale choćby jeden nada sens mojemu życiu. Chociaż jeden!

Po wybuchu Megan we wspólnym pokoju zapada cisza. Oczy rudowłosej błędzą po stole, szuka wzroku koleżanek, jednej po drugiej. Nagle Marya wstaje, po czym okrąży stół, podbiega do Megan i mocno ją ściska.

– Ja też! – obwieszcza. – Ja też. Chcę zostać Wróżym Zabójcą.

A Nessa, chociaż nigdy nie pozwala sobie na okazywanie uczuć, żałuje, że to nie ona uściskała swoją najlepszą i jedyną przyjaciółkę. To Megan wspiera i toleruje Nessę, jest wobec niej całkowicie lojalna, i to wyłącznie dlatego, że jeżdżą jednym autobusem.

Jeszcze nie jest za późno. Nikt nie zabrania jej wstać i przytulić Megan.

Ale siła przyzwyczajenia przykuwa ją do krzesła.

Powoli, bez słowa, podnoszą karty ze stołu. Partia po partii Nessa zapisuje wynik na kartce, deszcz przestaje padać, aż w końcu około ósmej Marya upiera się, żeby zmienić stację w wiekowym radiu.

– Chcę posłuchać listy – mówi, a wszyscy zgadzają się, żeby przestawiła na inną stację, więc po chwili słuchają początku audycji. Spikerka plecie na początku o przetrwaniu Narodu, o osiągnięciach, zmianach w rządzie i tak dalej.

– A teraz – mówi dumnie – lista dzisiejszych ocalałych. Jest ich dziesięciu! Z całego kraju. A zatem, w kolejności powrotów, są to Charlie O'Donnell, Elaine McDade...

Megan szeroko się uśmiecha.

– Dwa nazwiska z Donegalu na wejście! Jesteśmy najlepsi!

Nessa podnosi rękę, żeby jak zwykle przybić z Megan piątkę.

Ale nie przybija. Ponieważ Megan znika i miną trzy minuty i cztery sekundy, zanim znowu będą mogły się zobaczyć.



Megan

Ociekające wodą skalne ściany wznoszą się po obu stronach Megan, tak blisko niej, że mogłaby wyciągnąć ręce i ich dotknąć. Jest przerażona. Cała jej brawurowa gadka sprzed kilku chwil jest teraz warta mniej niż oddech ciężkim śmierdzącym powietrzem na dnie kanionu, w którym się znalazła. Dyszy i rozpaczliwie próbuje ruszyć się z miejsca.

– Głupia, cholerna dziwko! – mówi do siebie, a jej głos odbija się echem od mokrych ścian. Potem aż podskakuje ze strachu na dźwięk rogu.

– Niech was Crom pokręci! – krzyczy, rozzłoszczona własnym tchórzostwem. Potem zawraca, zawraca i biegnie w stronę miejsca, skąd dobiegł dźwięk.

W ręce ma kamień, nie pamięta, skąd go wzięła. Teraz w głowie słyszy tylko jedno, krzyk sierżant Taaft, która każe jej biec z całych sił, uciekać. A potem za zakrętem wpada prosto na kobietę, tak piękną, że w poprzednim stuleciu trafiłaby do setek głupich czasopism.

– Jak cudownie! – udaje się powiedzieć Sídhé, zanim Megan wybija jej dziurę w twarzy.

– Jeden zero dla mnie – mówi Megan, starając się nie zwymiotować. Potykając się, rusza naprzód, a triumf, mdłości i przerażenie walczą o władzę nad jej brzuchem.

Kanion rozdziela się na kilkanaście odnóg. Wszystkie są tak wąskie, że ledwo może biec, nie zahaczając ramionami i łokciami o skały. Potyka się o kamienie i ślizga na, Lugh tylko wie czyich, ekskrementach. Podąża za echem śmiechu, ściskając swą żalostną broń, i modli się do Boga swej matki, żeby pozwolił jej zabrać ze sobą jeszcze jednego, jeszcze chociaż jednego Sídhé.

A potem jakimś cudem grupa myśliwych ją omija. Śmiechy cichną i w końcu milkną, oddalając się w kierunku, z którego przybiegła.

Jest w Szaroziemu dopiero od niecałych dwudziestu minut i już zgubiła pościg. Stała zdezorientowana i próbuje się uporać z dziwną myślą, że być może nie umrze.

– Dzięki Bogu – szepcze i odkrywa, że cała dygocze.

Czy naprawdę rozwalila czaszkę żywej istocie? Teraz przychodzą wymioty, tak silne, że z oczu ciurkiem lecą jej łzy.

Ale właściwie dlaczego nie mogłaby przeżyć? Zasluguje na to bardziej niż Conor i cała masa innych. Upuszcza kamień, ale szybko go podnosi i mocno zaciska dłoń na zakrwawionym orężu.

– Spotka was to samo, jeśli staniecie mi na drodze – rzuca groźbę.

I rusza dalej przez niekończący się labirynt skalny, zanim Sídhé uświadomią sobie swój błąd.

Geografia Szaroziemii nie ma dla Megan większego sensu. Ściany kanionu raz się poszerzają, raz zwężają. To akurat wydaje się dość normalne. Dziwi ją natomiast sposób, w jaki zmienia się rodzaj skał tworzących ściany. Skoro te korytarze powstały zapewne pod wpływem działania wody i pogody, skały powinny chyba erodować w różnym tempie? I dlaczego nie ma tu żadnych roślin?

I wtedy, bez ostrzeżenia, Megan natrafia na ślepy zaułek.

Zawraca i pędzi najszybciej jak może dwieście metrów w drugą stronę, aż znajduje inne przejście. Ale i tym razem, chociaż tutaj ściany wydają się być zbudowane z miliona pojedynczych kamieni, korytarz kończy się ślepo. A kiedy szuka trzeciego przejścia, słyszy róg.

Wracają. Wracają po nią, a myśl ta budzi jej wściekłość.

– Mogę cię stąd wyprowadzić.

Odwraca się i widzi metr przed sobą jakąś istotę. Garbi się jak człekokształtna małpa. Jedną z długich, zakończonych pazurami łap cały czas dotyka ziemi, jakby niepewna istnienia podłoża, a drugą zasłania twarz, tak, że słowa w sídhé, choć zrozumiałe, są stłumione. Resztę ciała stworzenia pokrywają kolce jeżozwierza, są jednak tak grube, gęste i niewłaściwie rozmieszczone, że ono samo nadziewa się na nie przy każdym ruchu.

Megan zaciska rękę na kamieniu.

– Dlaczego chcesz mi pomóc?

Świadectwa pełne są ostrzeżeń, aby nie ufać potworom w Szaroziemii. Połowa z nich wielbi swoich twórców, Sídhé, a reszta łaknie ludzkiego mięsa.

– Zaniesiesz wiadomość ode mnie do Irlandii. To wszystko, o co proszę. Moja jedyna cena.

Rogi brzmiały znowu, a stworzenie podskakuje, znów kalecząc się własnymi kolcami.

– Przekaż Rudemu Hugh, żeby nie jechał do Kinsale. Zrozumiałaś? Niech nie jedzie. Anglicy je otoczyli. To jest ostatnia przysługa, jaką mu wyświadczę. Ostatnia!

– Dobrze, przekażę wiadomość. – Megan idzie za stworzeniem, które prowadzi ją wprost na dźwięk rogów. Zgodziłaby się na wszystko, żeby przeżyć, ale dziwi się, dlaczego stworzenie uważa, że właśnie ona przekaze wiadomość człowiekowi, który umarł setki lat temu. Bo któż inny niż Rudy Hugh O'Donnell[4] miałby być adresatem tego przekazu? Słyszała o nim tylko dlatego,

że również pochodził z Donegalu. Nawet ten słabiutki związek sprawił jednak, że propozycja pomocy potwora wydała jej się bardziej realna.

A potem wrogowie wrzeszczą z entuzjazmem – musieli znaleźć jakiś jej ślad. Ich bliskość wywiewa jej z umysłu wszelkie myśli o prośbie tajemniczego stworzenia.

– Tędy! – mówi potwór i skręca w boczną odnogę. Ale jest za późno! Za późno! Pierwszy Sídhé stoi tuż przed nią, ma włócznię w dłoni, a na twarzy szeroki uśmiech.

– Jest tutaj! – woła. – Ukrywa się ze zdrajcą!

Megan z całej siły rzuca kamieniem, celując w głowę. Trafia Sídhé w pierś. Słychać trzask pękających kości, ale z tyłu już rozlega się tupot innych stóp.

Rzuca się za swoim przewodnikiem, który może wciąga ją w pułapkę, a może nie, ale co to teraz za różnica?

Ściany się rozstępują i skały przechodzą w ubitą ziemię usianą dziurami. Widzi tu wiele innych kolczastych stworów, a jej widok budzi wśród nich powszechną panikę – wszystkie rozpaczliwie próbują zakryć twarze i nurkują do swoich nor. Megan nie ma wyboru, musi wskoczyć za sojusznikiem do nory, najwyraźniej należącej do niego. Tuż za wejściem osuwa jej się na głowę trochę ziemi. *Śmiertelna pułapka* – myśli Megan, ale dalej gliniaste ściany wydają się twardsze.

Znowu się modli, by stworzenia jej nie zdradziły, a zanim Sídhé ustalą, w której norze się schowała, ona już wróci do swojego świata.

Oczywiście, że to beznadziejne! Jej los wydaje się przesądzony, ponieważ domniemany przyjaciel zatrzymuje się nie dalej niż po dwóch metrach w głąb.

– Idźmy dalej! – ponagla go Megan.

– To mój dom – odpowiada żałośnie stwór. – Nam, zdrajcom, nie pozwalają kopać głębiej. Zresztą i tak się nie da. Dalej jest już tylko skała.

Megan zbiera się na płacz. Ma ochotę pokaleczyć się o plecy potwora.

– Nie mogą nas znaleźć – mówi stwór. – Nie mogą!

Potem coś zasłania szare światło u wejścia do nory.

– Witaj, złodziejko – mówi piękny głos.

Megan zamiera.

– Posłuchaj – ciągnie – zostało pół dnia na zabawę, tylko ty i ja. Całe pół dnia. Wyobraź sobie, co z tobą zrobię. A kiedy będziesz cierpieć, mała, gdy będziesz cierpieć, pomyśl o miejscu, gdzie przyszłście trenować, miejscu, gdzie znaleźliście naszą siostrę w skale. Zabijemy całe plemię, które tam zostało. Za dwanaście dni waszego czasu. Przyjdziemy po nich. Mówię ci to, ponieważ mimo wszystko teraz czeka cię szczęśliwe zakończenie...

Mężczyzna wtyka głowę w dziurę i na oślep maca śmiercionośnymi dłońmi. Ale Megan również ma ręce i zanim Sídhé się orientuje, traci obie gałki oczne

i pada oszołomiony do tyłu, a inny myśliwy wznosi okrzyk podziwu na widok tego błyskotliwego ataku.

Megan nie ma jednak czasu obrastać piórkami. Nie zważając na protesty przerażonego potwora, zwała pokłady luźnej ziemi znad wejścia do nory.

– Udusimy się – krzyczy stwór.

– Niestety nie. Wykopią mnie na długo przed tym.

Teraz nie ma już ucieczki z Szaroziemie, tylko śmierć, a może być ona szybka lub straszliwa ponad wszelkie wyobrażenie.

– Daj mi swoją igłę.

– Po co?

– Po prostu daj. Proszę!

Rozpacz w jej głosie musi być przekonująca, ponieważ po chwili ma w ręce igłę i zaczyna nią ciąć swoje nadgarstki.

Z zewnątrz dobiegają odgłosy kopania i śmiechy. Oraz drwiny.

– Przyszedł na ciebie czas, złodziejko!

Megan tnie głębiej, a łzy płyną jej strumieniami. Igły okazują się bezużyteczne.

– Ależ będziesz piękna, kiedy z tobą skończymy! A potem umrzesz!

– Doprawdy? – odkrzykuje do nich Megan. – Doprawdy? Ha, za to przeżyłam czternaście lat w Krainie Tysiąca Barw. Słyszycie mnie? Czulałam wiatr na twarzy i, na Danú, ależ on słodko pachniał. Wszystko było zielone, żywe i piękne. I świeci tam słońce. Wyobrażacie sobie? Widzicie strumienie pełne ryb? Pełne owoców sady? Nie. I nigdy nie zobaczycie, a każdy z moich przodków miał to na co dzień. Każdy, przez dwa tysiące lat! A waszą jedyną przyjemnością jest zazdrość i krew!

Zza ziemnej barykady słychać straszliwe wycie.

– Przestań, złodziejko! Natychmiast przestań!

– Pszczoły! – krzyczy Megan. – Siedziałam sobie na świeżym powietrzu, a wszędzie było pełno złocistych kwiatów i latających między nimi pszczół! I dźwięki, których nigdy, nigdy nie usłyszycie, wy próżni głupcy. Ptaki o świcie. Lisy szczekające nocą do gwiazd. I smaki! Truskawki z własnego ogródka. Na Kocioł!

– Uciszę ją! – wrzeszczy jeden z nich.

Bierze biedną Megan z zaskoczenia, przebijając się rękami przez cienką warstwę ziemi, i wyciąga ją z nory.

– Uciszę ją! – powtarza.

To dziwne, ponieważ we wszystkich Świadectwach Sídhe opisywani są jako radośni. A teraz kilkunastu z nich szlocha.

Sídhe ciągle trzyma dziewczynę za szyję, a krew spływa jej z pociętych nadgarstków.

Megan uśmiecha się z trudem.

– Mam nadzieję, że będziecie żyć wiecznie. – Uśmiecha się szerzej. – Tutaj.
A wtedy prześladowca wyciąga wolną rękę i zakrywa jej usta.

[4] Hugh Roe O'Donnell zwany Rudym, przywódca rodu z Ulsteru, zbuntował się przeciwko Elżbiecie I w 1593 roku. Po początkowych zwycięstwach siły buntowników zostały rozbite pod Kinsale w 1601 roku, a sam O'Donnell zmarł rok później, prawdopodobnie otruty (przyp. tłum.).



Lament

Megan wraca. Martwa. Ma szeroko otwarte oczy. I nic więcej nie da się wyczytać z jej twarzy, ponieważ nos i usta są starte jak kreda z tablicy.

– Udusiła się – mówi ktoś. – Musiała z nich szydzić. Wiecie, jaka jest.

Nessie obraz rozmazuje się przed oczami. Oddycha histerycznie, jakby za chwilę sama miała się udusić, jakby ktoś zasłonił jej usta. Dławiła w sobie emocje przez cztery lata, ale teraz miały wreszcie znaleźć ujście.

Krzesło upada, a ona razem z nim.

Podnoszą ją czyjeś ręce. Nessa odpycha je i wydaje z siebie krzyk, krzyk rozpaczony dzikiego zwierzęcia.

– Nesso! Nie! Zaczekaj!

Deszcz zamarza jej na twarzy i wtedy Nessa uświadamia sobie, że jest na zewnątrz, chociaż nie wie, jak się tam znalazła. Za zabudowaniami szkoły jest tylko ciemność i błoto. Przedziera się przez nie na czworakach, zdziera sobie skórę o pnie drzew, a z zaciśniętego gardła co jakiś czas wyrywa się jęk.

Nie da się w takich warunkach, w bezksiężycową noc, znaleźć drogi w lesie. Ale Nessa nieomylnie idzie właściwą ścieżką, chociaż nogi odmawiają jej posłuszeństwa, a ręce wkrótce ma posiekane na krwawą masę. W końcu – nie wie dokładnie, ile czasu minęło, nic właściwie nie wie – na tych samych rękach podciąga się na ogrodzenie z siatki. Tutaj, w tej „obecności”, odzyskuje dość przytomności, żeby poprosić o prostą przysługę.

– Zabierzcie mnie – błaga.

Nadgarstki Megan były całe we krwi. Musiała próbować się zabić. Musiała przegrać. Straszliwie cierpieć! Och, Cromie!

– Zabierzcie mnie!

Wtedy przypomina sobie o ścieżce. O drzwiach w skale. Idzie wzdłuż ogrodzenia i szuka dziury. Pani Breen kazała, oczywiście, naprawić siatkę. I pewnie przez cały czas ktoś pilnuje tego miejsca. Ale Nessa wie, że ogrodzenie znowu będzie przewrócone, a wartownicy schronią się przed deszczem w chacie. Znajdzie drogę do środka. Drzwi rozpoznają jej pustkę i ją przyjmą. Muszą.

Mdłości! Zapomniała o mdłościach. Są jak uderzenie pięścią w brzuch. Zamiast ją powitać, odpychają. Droga tutaj wyzuła Nessę z resztek sił i dziewczyna może jedynie kwilić żałośnie jak dziecko.

– Proszę... potrzebuję jej... proszę... nie mam innych przyjaciółek... –
Traktowała cały świat z pogardą i oto jej nagroda.

– Tutaj jest! – woła ktoś. – Odciągnijcie ją.

Ktoś rzuca jej na ramiona koc.

– Nienawidzę tego miejsca, na Croma. Zabierzmy ją stąd.

Niemożliwie silne ręce układają ją na chłopięcych ramionach. Pachnie znajomo. I słyhać głosy nerwowej sprzeczki dziewcząt.

– Jak słowo daję, Nicole – mówi Aoife – staram się. Kurhan znalazłyśmy bez trudu, po prostu zwabił nas tutaj, ale teraz chyba zablądziłyśmy.

– Tędy – mówi Marya, lekkomyślna Marya! I dodaje: – Nie martw się Nesso, kochana. Znalazłyśmy cię. Znalazłyśmy.

Przez następny dzień Nessa nie wstaje z łóżka. Nikt nie potrafi jej namówić. Nie mogą też siłą rozewrzeć jej szczęk, żeby ją nakarmić.

– Nie rozumiem – mówi ktoś. – Tak ciężko walczyłaś o przeżycie. A co jeśli zostaniesz teraz Wezwana? Chcesz...

„Chcesz skończyć tak jak ona?” – mógł powiedzieć.

Ktokolwiek to jest, ma rację. Wezwanie Nessy nastąpi w najbliższej przyszłości i bez względu na to, jak wielki teraz odczuwa ból, wszystko to straci znaczenie w chwili, gdy znajdzie się w Szaroziemu.

Ostatecznie do życia przywraca ją poezja.

Trzeciego lub czwartego dnia ktoś wpada na doskonały pomysł, żeby włożyć Nessie do rąk książki. Ta kartkuje je bezmyślnie, a jej gładka twarz, niegdyś tak beznamietna, wykrzywia się teraz w brzydkim szyderyczym uśmiechu. Co to jest? Co to w ogóle jest? Strona w stronę nonsens.

„Kochałem dziewczę, które...”. *Beznadziejne, beznadziejne!* Wrywa kartkę.

„Jakże cudowne tve obute stopy...”. *Co za gównu!*

„Słodkie dziewczę, słyzałem twą pieśń i...” – kolejna kartka zostaje wyrwana i odrzucona. Spali je; spali wszystko i wszystkich! Jak mogła tracić na to życie, na coś takiego? Zepsuci mężczyźni i kobiety wzdragający się przed pożądaniem? Po raz pierwszy od wielu dni w sypialni rozbrzmiewa śmiech. Ale nie jest to przyjemny śmiech.

Oczy Nessy padają na kilka niewyraźnych linijek, zamazanych być może łzami poprzedniego właściciela.

Krew wypłynęła z twego ciała

A ja jej nie ścierałem

Pilem ją z własnej dłoni

Te słowa ją zaskoczyły. Przypomniały o nadgarstkach nieszczęsnej Megan

i z pewnością nie pasowały do zbioru poezji miłosnej! Co może tłumaczyć fakt, dlaczego nigdy wcześniej tych wersów nie czytała.

Lament po Art Ó Laoghaire – głosi tytuł i nie jest to właściwa rzecz dla młodzieży. Dla nikogo właściwie, ten dziki atak wściekłości, furii, bólu. Nieprzetłumaczalne spłaszczony gaelickie sylaby rezonują w kościach i zębach. To jest duch. To jest przekleństwo. To jest ostatni wielki krzyk bolesnej tęsknoty za zamordowaną kulturą, którą pochłonęła ciemność. Nessa chłonie każde słowo od początku do końca.

Wraca do początku i czyta znowu, głośno, i tak trzeba to czytać, zniszczonym głosem starej kobiety, z nabiegłymi krwią oczami pełnymi wściekłości.

Po trzeciej lekturze odkłada książkę i natychmiast na niej zasypia, rozmazując strony *Lamentu* i plamiąc sobie skórę starym tuszem.

Budzi ją pani Breen.

– Mam nadzieję, dziecko, że coś zjesz? Bo jeśli nie...

– Tak – przerywa jej dziewczyna. – Tak. Megan by tego chciała.

Dyrektorka obawiała się, że będzie musiała na jakiś czas odesłać Nessę do rodziców. Albo, co gorsza, do szpitala na kroplówkę. Teraz jednak się uśmiecha.

– Posłuchaj, już ogłosiłam to pozostałym uczniom. Chodzi... chodzi o Megan. Na pewien sposób jest to okropne, ale... ale też wspaniałe.

– Proszę mi powiedzieć.

– Widziałaś krew na jej nadgarstkach?

Nessa może tylko kiwnąć głową, nowo nabyte siły nagle znów ulatują.

– Megan nie próbowała popełnić samobójstwa. Ona... ona przekazała nam wiadomość. Wiedziała, że umrze. Wiedziała, że odeśle jej ciało i... wycięła dla nas ostrzeżenie we własnej skórze.

– Sídhé nie potrafią czytać... – szepcze Nessa.

– Z tego, co wiemy, nie. A już na pewno nie po angielsku.

– Megan zawsze wołała angielski. – Mówi Nessa przez zaciśnięte gardło. – Co... co napisała?

– Tylko trzy słowa: „Nasza szkoła następna”. Zaatakują naszą szkołę. Stanie się to lada dzień. Chcą nas wyeliminować, tak jak szkoły w Bangor i Mallow. Myślałam... myślałam o ewakuacji, ale...

– Nie! – Nessa gwałtownie siada. – Nie! Zostajemy tutaj! Zabijemy ich! Jesteśmy wyszkoleni! Wytluczemy ich tyłu, ilu się da, my...

Jest tak słaba, że nawet pani Breen może ją położyć z powrotem na poduszkę.

– Tak, dziecko. Dokładnie to samo mówi Nabil. Dokładnie tak. Jesteśmy jedyną szkołą, która dostała ostrzeżenie. Rozesłaliśmy dodatkowe instrukcje po

kraju. Sprowadzą dla nas żywność z zewnątrz, i tak dalej. Nie martw się. Wokół kurhanu wojsko już ustawiło kordon. Nie mają teraz za wiele do roboty, ale pilnują naszego biopaliwa i reszty. Mają jednak broń i kiedy Sídhe tu przyjdą, dostaną za swoje.

I Nessa kiwa głową.

– Chciałabym się zobaczyć z Anto – mówi.

– Nie wiem, czy to byłoby właściwe...

Ale przez jakiś czas wszyscy będą obchodzić się z Nessą jak z najdelikatniejszą porcelaną, więc dostaje wszystko, czego chce.

Mija tydzień. Nessa nadal oplakuje Megan. Nie ukrywa tego przed Anto, ale też nie ukrywa śmiechu, który jej się czasem wyrывa. I zawsze mówi mu, że będzie tęsknić, kiedy rozstają się na noc i każde wędruje do swojego łóżka.

– Nie masz dla mnie żadnego wiersza? – pyta Anto pewnego wieczoru.

– Teraz istnieje dla mnie tylko jeden wiersz – odpowiada Nessa. – I nie jest dla ciebie. Przynajmniej taką mam nadzieję.

Jeśli chodzi o inne przyjazne dusze, Nessa musi się jeszcze nauczyć sztuki przytulania ich, ale Aoife, Marya i Nicole wiedzą, jak bardzo jest im wdzięczna.

Pomimo tych wszystkich zmian, Nessa trenuje intensywniej niż do tej pory, je wszystko, co wpadnie jej w ręce, aby się wzmocnić, uspokaja myśli przed każdym pojedynkiem. Kiedy upada na matę, błyskawicznie i bez namysłu turla się po niej albo łapie przeciwnika za kostki, by wylądował obok niej na ziemi.

Nie ma to znaczenia. Nessa ma dużo, dużo mniej czasu na przygotowania, niż jej potrzeba. To samo dotyczy większości jej klasy. Z początkowych sześćdziesięciorga dzieci, które spotkały się na Pierwszym Roku, do gwiazdki zginie ich więcej niż kiedykolwiek dotąd. To będzie prawdziwy rozlew krwi.



Burza

Jest dwudziesty pierwszy grudnia i krople deszczu stukają w okno Melanie. W tle stare drzewa kulą się przed wiatrem, który, mimo swej siły, nie jest w stanie rozwiać lodowatych palców mgły, rozczapierzonych do połowy wysokości budynków szkoły.

Wreszcie nadszedł czas – myśli Melanie, i musi kontrolować oddech w sposób, którego nauczyli ją lekarze, aby nie zabiła jej dziura w piersi. Już jutro w nocy znowu będzie piękna. Odzyska dawne ciało, ponieważ Sídhe zawsze dotrzymują słowa.

Przecina parking z odziedziczoną po dziadku latarką na korbkę.

Spotykają się w kuchniach i po raz pierwszy widzi, z kim będzie współpracować. Chce jej się płakać, ponieważ jaki może być lepszy dowód na własne zło, niż tożsamość sojuszników? Horner trzymał wartę przy kuchniach. Teraz krew jego jedynego przyjaciela spoczywa mu na rękach i chyba też na zębach, o ile Melanie się nie myli.

Jest tu też ten ocalały z Piątego Roku – Conor, tak ma na imię.

– Załatwiłem większość psów – mówi. Oddycha ciężko i nie skrywa radości.
– Jeszcze jakieś zostały?

Melanie wie, co ma na myśli, mówiąc „jakieś” i puls niebezpiecznie jej przyśpiesza. *Jak to się stało, że tu trafiłam?* – zastanawia się. Ale widziała Szarozieміę i widziała jej potęgę. Kocioł i całą tę resztę. Wszyscy w szkole umrą bez względu na to, co ona zrobi. Jedyne pytanie brzmi: czy do nich dołączy? I jaki będzie tego sens?

Pot spływa jej po twarzy, a Horner oblizuje ostatnie krople krwi z warg. Potem otwierają się drzwi i Melanie sądzi, że to kolejny spiskowiec. Ale to Frankenstein. Horner uśmiecha się okrutnie i wyciąga nóż, a Melanie ma szaloną myśl, żeby rzucić się na byłego żołnierza sił specjalnych, żeby uratować życie starego, złamanego człowieka.

– Czekaj! – ostrzega żołnierza Conor. – On jest z nami. Prawda, Frankenstein?

Starszy mężczyzna potwierdza skinieniem. Całe jego ciało zdaje się pulsować w świetle latarki Melanie.

– Chcę tego, co mi obiecano – mówi Conor. – Wciąż mam tu wielu przyjaciół. Nie miałbym żadnej przyjemności z krzywdzenia ich, więc lepiej dotrzymaj słowa.

Frankenstein puchnie na ich oczach. Jego głos staje się szorstki, chrapliwy

i bardziej stłumiony niż zwykle.

– Zawsze dotrzymujemy... słowa... tak... się... stanie...

Frankenstein wybucha. Strzępy ciała rozpryskują się po całej kuchni, a Melanie nie może powstrzymać okrzyku, kiedy coś ciepłego i wilgotnego uderza ją w policzek.

To niewiarygodne: stary nauczyciel, choć pokryty krwią i wnętrznościami, wciąż żyje. Otrzepuje się jak pies, po czym ociera twarz. Pod spodem ma twarz anioła. Twarz Sídhe.

– Skorzystałem z ciała złodzieja – wyjaśnia przybysz – żeby zostać w Krainie Tysiąca Barw. Od tej chwili świat naszego wygnania będzie mnie wzywał z powrotem.

– Będziesz się kurczył? – pyta Melanie, przewyciężając obrzydzenie. Zobaczyła coś gorszego niż wszystko, co widziała w Szaroziemiu. – To o to chodzi? Skurczysz się do nicości? Ale przecież... to znaczy... To się stanie tak szybko jak w Bangor, tak?

– Nie tak szybko jak wcześniej. Im bliżej siebie są nasze światy, tym mocniej się tu trzymamy.

Melanie otwiera usta, żeby spytać, co to znaczy, że światy są bliżej siebie, ale krwawy książę ją ucisza. Chce wiedzieć, czy oni dotrzymali swojej części umowy. Horner pokazuje nóż, a Conor chwali się, że zabił psy.

Kiedy uśmiechnięta piękna twarz ponownie zwraca się ku niej, Melanie sięga drżącą ręką do kieszeni i wyjmuje klucze, które kilka tygodni temu ukradła i dorobiła drugi komplet. Klucze otwierają szopę na tyłach i Melanie nie ma pojęcia, jaką rolę w wymordowaniu mieszkańców szkoły mają odegrać. Ale Sídhe jest z niej bardziej zadowolony niż z dwóch morderców.

– Będziesz znowu cała, miła złodziejko, a chociaż nie pozwolimy ci mieć dzieci, przeżyjesz całe swoje naturalne życie. – Melanie wzrusza ramionami i czuje w kącikach oczu piekące łzy.

Okazuje się, że szopa ma stalowe drzwi i pełna jest bezcennego paliwa. Kilkoro obcych, mężczyzn i kobiet, rozlewa je hojnie dookoła uczniowskich kwater, ukrywając przed sobą nawzajem twarze lub jawnie płacząc przy tej pracy. Z jakiegoś powodu nikt na górze się nie budzi i żaden wartownik nie przychodzi sprawdzić, kto świeci latarkami.

Kiedy kończą, książę Sídhe jest już o głowę niższy od Melanie, ale nadal ma proporcjonalne ciało greckiego posągu i zachwyca się wszystkim, co widzi.

– Chcecie... chcecie to podpalić? – pyta go Melanie.

– Jeszcze nie teraz, miła złodziejko – odpowiada. Ale nie mówi, na co czeka.

– A co ze mną? – pyta Conor. – Nie widzę tego, co ja miałem dostać.

– Zawsze dotrzymujemy słowa – odpowiada Sídhe. – To siła przysięgi łączy oba światy.

Pięćdziesięciu wartowników strzeże kurhanu.

Zużywają mnóstwo paliwa, żeby oświetlić małe wzgórze, a przez kilka ostatnich dni zajmowali się wycinką drzew, żeby oczyścić sobie pole ostrzału, chociaż nie spodziewają się, że ktoś stamtąd wyjdzie. Głównie mają przeganiać dzieciaki, które zawsze wracają, nie wiadomo dlaczego.

Szeregowy Shields nie rozumie, co uczniowie widzą we Wróżym Forcie. Należy do tych nielicznych, którzy nie tylko przeżyli Wezwanie, ale też zostali uznani za zdolnych do noszenia broni przy ochronie transportów paliwa i magazynów oraz innych zasobów, jakie jeszcze zostały w kraju. Tylko on wie, jak niewiele czasem brakowało, żeby skierował lufę w złą stronę. Albo jak porozbijał wszystkie meble, kiedy pokłócił się z żoną, aż ich małe córki musiały go błagać, żeby przestał.

Ale stara się. Stara się każdego dnia i robi postępy.

– Na co się gapisz?

To Rebecca – szeregowka Madigan. Ma zaledwie dwadzieścia pięć lat, a już urodziła trójkę dzieci. Mimo tego musiała walczyć, żeby pozwolili jej się zaciągnąć i nie rodzić już więcej.

– Gapię? – pyta. Jak wielu innych młodych nadal między sobą używają języka sídhe.

– Gapisz się na kurhan.

Ciężko go dostrzec w strugach deszczu, w poświacie reflektorów, ale w końcu udaje mu się sformułować odpowiedź.

– Kolory mi się nie zgadzają – mówi. – Wiem... wiem, że jest... noc. I deszcz. No wiesz.

Przez chwilę patrzą oboje. Żadne z nich nie odczuwa obecności kurhanu równie mocno co uczniowie, ale wzrok zaczyna im płątać figle.

– Myślę – mówi Shields – że pójde na obchód. – Nagle drżącym palcem wskazuje coś pod kapą namiotu. – Czy to... czy tutaj rośnie ostrotrawa?

– Na wszystkich bogów... – odpowiada Rebecca. – Masz rację. Chyba się zaczęło.

– Co? – pyta Shields. – Co się zaczęło?

Shields nie ma pojęcia, że Rebecca przez cały ten czas trzyma sztylet, a teraz wbija mu go w nerki. Zakrywa mu usta dłonią, po czym szepcze prosto do ucha:

– Tak, to zdecydowanie wygląda jak ostrotrawa. A za nią jest drzewo pajęczce, widzisz?

Opuszcza ciało na ziemię i musi teraz zabić resztę wartowników, ale za wolno się porusza. Człękoksztaltne postaci wylaniają się z ziemi na całej powierzchni kurhanu, jakby wspinały się ze wzburzonego morza na pokład statku.

Po drugiej stronie wzgórza słychać strzały, a jedna z istot gwałtownie upada

naprzód, wystając z ziemi do połowy.

Czas walczyć – myśli Rebecca. Chce wypełnić złożoną obietnicę. Pragnie tego najbardziej na świecie. Dlatego ostrzeliwuje pobliskie namioty z wiekowego samopowtarzalnego sztucera, przeładowuje go i jednym strzałem kładzie sierżanta, który ma czas powiedzieć tylko:

– Szeregową Madigan, co...

Kilkoro innych żołnierzy wybiega z namiotów z naładowaną bronią. Większość celuje w postaci na wzgórzu, ale kilka pocisków zmierza też w jej stronę, więc Rebecca pada plackiem na ziemię, a nad jej głową przelatuje brzęcząca śmierć.

Przeklina, przeładowuje broń, a ręce ma jak z kamienia. Ale nie musi wystrzeliwać drugiej serii, ponieważ kilku Sídhe zbiegło już ze wzgórza i szaleje wśród żołnierzy. Najpiękniejsza kobieta, jaką Rebecca widziała od czasu Wezwania, dźga mężczyznę jednym palcem w kark. Mężczyzna upada, trzymając się za roztopioną tchawicę. Tymczasem drugą rękę kobieta zatapia w głowie kapitana jak w galaretkę. Rebecca czuje się, jakby frunęła w powietrzu. Jak bogini. Tylko raz w ciągu swojego dwudziestopięcioletniego życia czuła się tak spełniona. Tylko raz.

Teraz kilkunastu Sídhe – nie, dużo więcej! – tańczy nago między ludźmi, aż w końcu pierwszy z nich, młoda kobieta, staje przed Rebeccą.

– Obiecaliśmy ci – mówi – wieczne życie w Szaroziemii.

– Dzięki ci – mówi Rebecca, a jej głos ledwo słychać w ulewnym deszczu.

– Poczekaj tutaj – rzuca księżniczka. – Dopóki mord się nie skończy.

– Nie zostanę tu!

Sídhe uśmiecha się szerzej.

– Pójdź zatem, siostró. Dołącz do nas!

I serce szeregowej Madigan skacze z radości. Ma łzy w oczach i nóż w rękach, gdy pędzi w stronę szkoły.

Dyrektor Breen wpada na Conora w korytarzu przy kwaterach personelu.

– Co... Conor? Co ty tu robisz?

Conor uśmiecha się do niej.

– Wszystko w porządku. Jestem z wami. Serio! Nawet ja! I to się stanie dziś. Dziś w nocy. Oni już przybywają.

Breen zerka nerwowo w stronę pokojów; w każdym z nich jest weteran lub wyszkolony instruktor.

– Och – wzdycha Conor; trzyma puszkę z naftą i radośnie nią wymachuje. – Proszę się nie martwić. Nie obudzą się. Musiałoby być trzęsienie ziemi albo co...

Pani Breen nie ma pojęcia, o czym chłopak mówi. Dopiero wróciła z odwiedzin u umierającej przyjaciółki i wreszcie dociera do niej, że coś tu jest nie

tak. Zaczyna się cofać, dotykając spoconymi palcami ściany korytarza. To błąd. Conora mruży oczy, a przez ciało kobiety przebiega lodowaty dreszcz. Jest duży jak na czternastolatka. Właściwie to już mężczyzna, umięśniony niczym sportowiec. A ona właśnie została zdradzona.

Jej czas się kończy. Conor upuszcza puszkę i płyn rozpryskuje się dookoła. Odciąga dyrektorkę od ściany, a potem znowu odpycha.

– Aha, teraz rozumiem – mówi Conor, potrząsając głową z rozczarowaniem.
– Jeszcze jeden bałagan, który mam posprzątać. To dla mnie żadna przyjemność, na Croma, żadna.

Unosi prawą pięść.

– Nie należałem do tych dzieciaków, które wyśmiewały się z ciebie za plecami.

Uderza tak mocno, że kobieta zgina się w pół. Pani Breen kaszle i brakuje jej tchu, żeby zawołać o pomoc.

– Chociaż jesteś taka brzydka. Jakby Sídhé długo nad tobą pracowali!

Miażdży butem jej okulary, a bez nich pani Breen klepie po omacku ścianę jak matę w sali gimnastycznej.

– Co? Myślisz, że możesz się poddać? Mnie? Przyszłemu królowi całej Irlandii?

Uśmiecha się z udawanym żalem. Ale tylko do chwili, kiedy dyrektorka trafia w przycisk alarmu przeciwpożarowego, którego szukała.

W opowieściach śpiących budzą najczęściej dzwony kościelne działające pod wpływem czarodziejskiego zaklęcia. Ten alarm jest jednak głośniejszy. Jego dźwięk jest uporczywy, niecierpliwy i niewymownie brutalny.

Nabil i Taaft zrywają się na równe nogi. Dziesięciolecia szkoleń każą im rozplątać kończyny i wyskoczyć z łóżka.

– Złaż ze mnie, złaż, ty arabski fiucie!

– Jestem Francuzem, dziwko. Francuzem!

W roztrzaskanych drzwiach staje przepiękne dziecko, z ogromnymi oczami i uśmiechem na ustach.

Nabil stoi bezradnie, a alarm ciągle na niego wrzeszczy. *Dlaczego ten chłopiec ma taką małą głowę? Dlaczego jest nagi? I dlaczego drzwi rozpadły się w ten sposób?*

Wszystko dzieje się jak we śnie, mała rączka sięga i...

Znad ramienia Nabila wylatuje książka i trafia chłopca prosto między oczy, a ten wypada na korytarz, gdzie tłoczy się już armia małych postaci.

– To nie dziecko, głupi zabojadzie!

I nagle przez ciało Francuza przebiega dreszcz, gdy wreszcie rozpoznaje te wielkie oczy, które widział na setkach ilustracji. Jest w takim szoku, że całkowicie

bezmyślnie pyta:

– Rzuciłaś w niego moim Koranem?

– Wiedziałam, że jesteś Arabem.

Nabil nie ma czasu wyprowadzić jej z błędu, ponieważ nadbiegają sięgające mu do piersi figurki, a on pamięta, co od lat w kółko powtarzał uczniom: „Nie pozwólcie się im dotknąć! Nie mogą was dotknąć rękami!”.

Odskakuje, ale Taaft... Taaft nie jest tak skołowana jak on. Zrobiła już sobie morgensztern[5]: rozhuściła pas z metalową menażką na końcu i wali pierwszego Sídhe w nos. Ten śmieje się z bólu, ale upada i podcina pozostałych. W końcu i Nabil dochodzi do siebie i włącza do walki. Jego nogi stanowią śmiercionośną broń. Kopie dziewczynę w brzuch.

– Na Boga! – krzyczy. – One ważą tyle co dorośli!

Taaft krzyczy, kiedy ręka Sídhe muska ją w ramię i zostawia w niej wgniecenie.

– Nic mi nie jest! – krzyczy. – Omijaj ich, omijaj!

Sierżant łamie mały kark. Nabil rozbija małą czaszkę. Stos ciał powstrzymuje pozostałych, chociaż na korytarzu jest ich pełno.

Ale wtedy w drzwiach staje człowiek, prawdziwy. Kobieta w wojskowym mundurze. Celuje w nich ze staroświeckiego Steyra AUG.

– Pora umierać – mówi z uśmiechem.

Instruktorzy nie mają żadnej osłony.

Z korytarza dobiega potężny rumor, a oszołomiona kobieta odwraca się od celów. Prosto na nią rzuca się dwóch Sídhe i z całym impetem walą ją w twarz. Kobieta w mundurze upada, a nad nią przelatują kolejne ciała. Nabil słyszy trzask łamanych kości. Widzi krew rozbryzganą na ścianach. A potem pojawia się Anto, wymachujący ogromną ręką, którą miażdży wrogów jak kiście winogron, aż zaczynają przed nim uciekać.

Chłopak zatrzymuje się w drzwiach. Twarz ma pokrytą krwią Sídhe.

– Myślałam, że nie lubisz zabijać. – Taaft jak zwykle wykazuje się dyplomacją. – Nie skrzywdziłbyś muchy.

– Nie czujecie tego? – w odpowiedzi pyta Anto.

– Krwi?

– Dymu. Podpalili kwatery uczniów.

I już go nie ma.

Nessa się budzi, alarm wyje tak głośno, że aż sprawia ból, a powietrze jest ciężkie od dymu. Niepokój dziewczyny budzi jednak przede wszystkim ręka sięgająca ku jej twarzy.

W przeciwieństwie do Nabila, w przeciwieństwie do wszystkich, Nessa nigdy nie zamiera z zaskoczenia. Chwyta nadgarstek, wykręca go, po czym stacza

się na podłogę.

– Wstawajcie! – Próbuje obudzić koleżanki, ale zagłuszają ją krzyki. Nessa porusza się na czworakach, wśród dymu, który nadciąga kłębam od strony schodów. Widać też blask ognia, gdy płomienie obejmują kolejne plamy nafty rozlanej przez zdrajców.

Pokój wypełnia czyjś śmiech, słychać też plaskanie małych stóp po podłodze.

Nessa znajduje Nicole z czterema wgnieceniami w czole, w miejscach, gdzie dotknęły ją palce. Słyszy przeklinającą Maryę, ale jej głos milknie, zbyt szybko.

Potem tuż przed Nessą na podłogę rzuca się Aoife. Inne dziewczyny zawsze wyśmiewały się z jej lenistwa, ale to ona jako jedyna wpadła na pomysł, żeby zarzucić na napastnika prześcieradło. To takie proste! Straszliwe ręce nie mogą dotknąć jej skóry, a kiedy stworzenie miota się pod materiałem, Aoife skacze na nie z góry i przygniata do ziemi.

Sídhe jednak walczy. Jest równie silny co przeciętny dorosły człowiek, dopiero potężna pięść Nessy ogłusza go ciosem w głowę.

– Musimy wyjść przez okno – mówi Nessa. – Zeskoczmy w krzaki...

Możliwe, że połamię nogi, ale to daje im przynajmniej jakąś szansę.

Trzy pozostałe doskonale wyszkolone dziewczyny wciąż opierają się napastnikom, ale do pokoju wdzierają się już pierwsze płomienie, i chociaż one jeszcze o tym nie wiedzą, nawet strych został polany naftą i dach już płonie na przekór padającemu deszczowi.

Czołgają się od łóżka do łóżka, podczas gdy ostatnie z ich koleżanek umierają, podczas gdy deski podłogi zajmują się ogniem, a Sídhe kurczą się coraz bardziej.

Jeden z wrogów krzyczy:

– Jest jeszcze jedna! Ucieka!

A właśnie, że nie! Uciekają dwie!

– Mamy umowę – upiera się Sídhe i kilkoro z nich biegnie przez dym jakby w panice.

Do okna brakuje najwyżej dwóch metrów i jest już otwarte. Pod nim leży biedna martwa Rachel z Trzeciego Roku.

– Ty idziesz pierwsza – szepcze Aoife.

– Nie, właśnie, że ty. Ja...

Za plecami słyszą rumor. I ludzki głos, pełen wściekłości i przerażenia.

To Anto, kaszlący i dławiący się dymem. Musi paść na podłogę! Iść pod dymem! Może umrzeć!

Ale rozpędza Sídhe.

– Idź! – Nessa ponagla Aoife. – On tu przyszedł po mnie. Wyłaź przez okno. Teraz! Teraz!

Aoife rzuca się naprzód. A wtedy podpora dachu się łamie i połowa sufitu zwala się na podłogę. Nessa znajduje się dokładnie pod nim.

Anto chwieje się, oślepiiony dymem; kaszle, jakby miał wypluć płuca.

Robi zamach przeklętą ręką, żeby zmieść kolejną postać zmierzającą ku niemu, ale w ostatniej chwili powstrzymuje go głos Aoife.

– Musisz ją wyciągnąć! Nessa! Spłonie żywcem! Spłonie!

Musi być pod łóżkiem, które leży pod płonącej belką. I wtedy po raz pierwszy od Wezwania Anto dziękuje wszystkim bogom i Kotłowi za te straszne rzeczy, które Sidhe zrobili z jego ciałem. Ponieważ zrobili mu dokładnie to, co teraz pozwoli mu uratować ukochaną. Żaden inny człowiek, żaden ludzki oddział nie podniósłby takiego ciężaru.

Krzyczy, kiedy płonące drewno przypala mu skórę. Dusi się i kaszle. Za chwilę padnie od dymu, ale w końcu udaje mu się odrzucić belkę. Oddycha z ulgą, ponieważ nie przywaliła łóżka pełnym ciężarem. Razem z Aoife odciągają materac...

Zamiast Nessy znajdują pustą piżamę.

Przeżony Anto patrzy na ubranie. Zostanie tu i umrze, chociaż Aoife odciąga go i wypycha przez okno. Sama ląduje w krzakach zaraz za nim.

W górze całe piętro stoi już w płomieniach.

Za trzy minuty i cztery sekundy Nessa wróci, żywa lub martwa.

Płomienie strawią wszystko, co z niej zostanie.

[5] Morgensztern – rodzaj okutej maczugi o głowicy nabitej żelaznymi kolcami (przyp. tłum.).



Nessa

Nessa zawsze zamierzała przetrwać Wezwanie, bez względu na to, co sobie myśleli inni. Teraz jednak, kiedy leży na plecach ze srebrzystymi spiralami nad głową, z powietrzem palącym bardziej niż zostawiony w innym świecie dym, wie, że umrze.

Za trzy minuty i cztery sekundy płomień pochłonię łóżko, które ochroniło ją przed spadającym sufitem. Podłoga będzie tak gorąca, że Nessa się ugotuje, zanim zdąży mrugnąć okiem. Tu czy tam, już nie żyje. Obawy rodziców przed stratą zamienia się w pewność, a Anto... Anto nie będzie miał nikogo, kto będzie mu wsuwał sekretne liściki pod poduszkę; nikt nie zabierze go do Donegalu, żeby uprawiać z nim ogródek w cieniu Mount Errigal.

Nessa nie lubi użalać się nad sobą, ale teraz najwyraźniej jej to grozi i nawet dźwięk rogu myśliwskiego nie może tego zmienić.

Znalazła się na małej płaskiej polance na szczycie wzgórza tak stromego, że momentami bardziej przypomina ono klif. Po stoku spływa potok, który zostawia za sobą kwaśne błoto aż do samego podnóża wzniesienia. Nessa na to wszystko nie zważa. Nie zważa na grube jak nadgarstek robaki o ludzkich twarzach, które wypływają z błota, żeby zakosztować jej skóry. *Czy jest jadalna?* – zastanawia się nerwowo. *Czy to tylko przynęta i pułapka?*

Znowu słyhać róg, tym razem bliżej, i Nessa walczy ze sobą, aż wreszcie ta jej część, która nigdy się nie poddaje, zyskuje przewagę. Właśnie ma zamiar wstać, kiedy słyszy tupot stóp i w mgnieniu oka jest otoczona przez stojącą półkolem grupę Sídhę.

– Dlaczego nie ucieka? – pyta jeden.

– To przez te nogi – odpowiada kobieta. Nosi płaszcz z ludzkiej skóry ozdobiony wspaniałym wzorem w kości. – Powinniśmy je jej naprawić. Stanie się szybka jak struś, a my będziemy mieli trochę sportu!

Kobieta pochyla się i wtedy Nessa wreszcie sobie przypomina, że ucieczka przed Sídhę to coś więcej niż sprawa życia i śmierci; chodzi jeszcze o agonię; o straszliwe rzeczy, jakie robią z ciałem i kośćmi, zanim odeślą szczątki z powrotem, w darze dla przyjaciół i rodziców. O wiele lepiej wylądować w ogniu, niż poddać się temu, co dla niej zaplanowali!

Ale zanim ręce zdążą ją dotknąć, nadciąga kolejny Sídhę, zdyszany od biegu i śmiechu.

– Nie, przyjaciele! – krzyczy. – Tej nie! Tę nie my mamy zabić! Obiecaliśmy jednemu złodziejowi, że tylko on może zakończyć jej życie. Nie my! Ma ją zabić gołymi rękami, a wtedy my go uczynimy królem wszystkich Milezjan!

Nessa siada.

– Kto? O kim mówisz? To Conor? Zawarliście układ z...

Przybysz jest najpiękniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała. Ma miłą, uśmiechniętą twarz, kiedy kopie dziewczynę w bok tak mocno, że ta przewraca się na brzuch. Sídhé śmieje się, a ogromne robaki rozpełzają się przerażone.

Teraz Nessa ma widok na bagno u stóp wzgórza. Za nim wznoszą się tysiące, tysiące namiotów. Nad nimi powiewają szare chorągwie, a hordy maleńkich figurek tłoczą się wokół jedyne go barwnego punktu: tętniącej zielonej plamy, która skrzy się i błyszczy.

– Nie możemy jej zabić – mówi przybysz – ale możemy się zabawić, prawda? Możemy ją wykręcić w taki kształt, jaki nam się podoba, ale musi być żywa w chwili powrotu do Krainy Tysiąca Kolorów. Zrobmy z niej pająka! Król złodziei będzie jej mógł złamać wszystkie nogi po kolei!

– Nie! – upiera się kobieta. – Splećmy jej nogi z rękami. Zegnijmy jej plecy tak, że będzie tworzyć idealny okrąg! Zabierzemy ją ze sobą na szturm. Podniesiemy wszystkim morale, gdy przeturlamy ją przed namiotami.

Kończyny miękną Nessie z przerażenia. Och, Cromie! To o wiele gorsze, niż gdyby mieli ją znaleźć martwą. Dlatego jednym ostrym szarpnięciem ramion rzuca się naprzód nad krawędzią zbocza. Spodziewa się, że stoczy się w dół stromizny, łamiąc po drodze wszystkie kości, ale podłoże jest na to zbyt błotniste i zamiast tego zjeżdża po wyslizganej przez wodę powierzchni szybciej niż olimpijski saneczkarz, przy akompaniamencie okrzyków radości i wiwatów oraz dźwięku rogu.

Na dole czeka na nią kępa wygłodniałych drzew pajęczych. Lubią porastać brzegi rzek i tereny bagienne, ale jeszcze bardziej lubią ludzkie mięso. Próbuja ją schwytać, kiedy zjeżdża w dół, a każda taka próba zostawia jej otarcia na skórze i spowalnia pęd. Kiedy zatrzymuje się na dole, trzy różne rośliny trzymają ją, każda za inną kończynę, i zaciskają się jak pytony.

– A niech was Crom weźmie! – krzyczy Nessa. – Niech was Lugh przeklnie! Niech was Dagda wypędzi!

Wbijają zęby w najbliższą łodygę. Jej sok smakuje jak krew, ale napędza ją myśl o tym, co planują dla niej Sídhé, a potem Conor, więc gryzie i szarpie do momentu, aż uwalnia rękę.

Słysząc dźwięk rogu i wrogowie, którzy odważnie rzucili się w pościg, są już najwyżej sto kroków od niej.

A jednak, kiedy Nessa wreszcie staje na nogi, musi się zatrzymać. Obóz

armii Sídhé znajduje się zaledwie kilkaset kroków dalej i jest ogromny. Są tam zwierzęta juczne i ociążałe potwory bojowe stworzone z ciał udręczonych ludzi. Jej spojrzenie przyciąga jaśniejący kolorowy punkt, który widziała z góry. To coś wisi w powietrzu nad armią i ma kształt drzwi – takich samych, jakie widziała w lesie we Wróżym Forcie. I są to dokładnie te same drzwi.

Tysiące żołnierzy armii Sídhé buduje kopiec z ziemi i kamienia. Nim minie dzień, będzie na tyle wysoki, żeby dosięgnąć do połyskującego przejścia.

Nagle w obozie palce zaczynają wskazywać w jej stronę i słyszy okrzyki zachwytu kilkunastu postaci, które ruszają prosto na nią. Tymczasem z tyłu prześladowcy uwolnili się z pajęczych krzewów i za niecałą minutę dosięgną jej przerażające ręce.

Olbrzymi rododendron ratuje życie Aoife i Anto, mimo tego, że spadają z grubego pnia na cieńsze gałęzie.

Chłopak kaszle i płacze.

– Nie ma jej! – mówi. – O Boże, ona nie żyje!

I Aoife tuli go tak, jak sama pragnęła być utulona, kiedy ukradli jej Emmę.

Aoife jest przerażająco świadoma obecności kurhanu wznoszącego się na zachodzie. Uczucie jest o wiele silniejsze niż wcześniej, a z jakiegoś dziwnego powodu przed oczami stoi jej obraz olbrzymich drzwi. *One się zaraz otworzą*, myśli i zastanawia się, czy to oznacza, że zaraz zostanie Wezwana.

Ale nie może o tym teraz myśleć, ponieważ znajdują się w bardzo niebezpiecznym miejscu. Ogień buzuje w oknach nad nimi, a na starym parkingu dzieje się coś dziwnego. Zebrały się tam setki ludzi, dorosłych i dzieci. Nie. Nie dzieci. Wzdraga się, kiedy dociera do niej, na co właśnie patrzy. Niscy Sídhé osaczają mieszkańców Boyle i zmuszają ich, by klękali na mokrym, popękany beton.

Przed nimi stoi wysoki, muskularny chłopiec, dumny i potężny.

Conor.

Za Nessą potok wpada do małego jeziora.

Chwiejnym krokiem dociera do wody, podczas gdy Sídhé biegną w jej stronę. Woda drażni każdą ranę i siniak na jej ciele, ale pomimo ułomnych nóg dziewczyna jest najlepszym pływakiem z całej klasy i przepływa na drugą stronę tak szybko, że wodny potwór zdąża wyłącznie wykrzyczeć za nią kilka przekleństw. Za to łapie kilku Sídhé, co zmusza pozostałych myśliwych do biegu brzegiem, gdzie drzewa pajęcze spowalniają ich przez całą drogę.

Nessa zyskuje kilka minut. Najwyżej. I nigdzie nie widzi żadnego drzewa o gałęziach grubszych od palca – ani jednego. Zawsze planowała wykorzystać umiejętność wykonania sobie kul, ale teraz jej jedyną szansą jest znaleźć jakąś

kryjówkę.

Łąduje więc na czworakach, żeby zniknąć z widoku, i z całych sił próbuje stłumić kaszel, który nasila się z każdym oddechem paskudnym powietrzem.

Przed nią rozciąga się wielkie płaskie mokradło porośnięte pajęczymi krzakami i innymi trawami. Ale biegnie przez nie dziwna ścieżka, pokryta tylko wysokimi na kciuk kępkami mchu i niczym więcej.

Nessa chce uniknąć otwartej przestrzeni, ale zanim zdąży ruszyć dokądkolwiek, nadbiega szeroko uśmiechnięta dziewczyna Sídhe, a za nią powiewają blond włosy i płaszcz z ludzkiej skóry. Nessa czai się za skałą – nie ma pod ręką żadnej broni!

Nie potrzebuje jej. Sídhe następuje na kępę mchu i nagle znika. Zostaje po niej tylko dziura w ziemi. Potem rozlega się głośny plask i krzyk. Cisza wraca na bagno.

Nessa czołga się przed siebie. Omija inne kępy mchu i dociera do krawędzi dziury. Ciągnie się ona w dół na trzykrotną wysokość ciała dziewczyny, a na jej dnie znajduje się zbiornik bulgoczącej cieczy, zapewne kwasu, ponieważ ciało Sídhe w dole wygląda, jakby było trawione.

Wewnętrzne ściany dziury są pełne zagłębień i jakichś patyków – stanowią idealne oparcie dla stóp, gdyby chciała tam wejść. A ona oczywiście chce! To będzie idealna kryjówka!

Gramoli się do środka, starając się nie udusić odorem gnijącego mięsa. Sídhe mogą nigdy nie znaleźć tej dziury w rozległym bagnie. A jeśli nawet tak się stanie, jeśli sprowadzą swoje psy czy cokolwiek, albo nawet zaczną schodzić, żeby ją dopaść, wystarczy, że rzuci się w kwas i zginie. To byłaby straszliwa śmierć, ale skoro i tak jej koniec ma być nieunikniony, nie będzie gorsza od tego, co zrobiliby jej Sídhe czy nawet czekające ją po powrocie płomienie.

Przynajmniej walczę – myśli, patrząc na przetrawioną masę w dole. I właściwie doprowadziłam do jednej śmierci.

Patyki wystające ze ścian nory okazują się być czymś w rodzaju kości. Ocierają jej podeszwy stóp. Nessa lekceważy ten ból i schodzi, aż wreszcie znajduje się niecały metr nad zwłokami Sídhe, a więc poza zasięgiem przypadkowego spojrzenia z góry.

Smród na dole jest nieznośny, ponieważ ciało pod spodem nadal bulgoce i roztacza wokół słabe srebrzyste światło Szaroziami.

Na ścianach wokół Nessy pojawiają się kropelki cieczy. Ręce robią jej się śliskie. Są bardzo poranione, podobnie jak stopy. Patyki, które uznała za kości, bardziej przypominają zęby. Kształt ścian zaczyna się zmieniać, na górze zakrzywiają się one do środka, a górne zęby kierują się teraz w dół. Otwór nad nią wygląda na mniejszy.

– Co? – szepcze do potwora, w którego paszczy się znajduje. – Nie chcesz,

żebym wyszła?

Coś takiego mogłaby powiedzieć Megan.

Megan nigdy nie byłaby jednak tak przerażona.

– Widzisz – mówi kobieta Sídhé z głową na wysokości bioder Conora – mianowaliśmy cię królem tego miejsca. – Gestem ogarnia ludzi na czworakach zapelniających parking. – Oni wszyscy to wiedzą. Wszyscy ci złodzieje tutaj przysięgają ci wierność.

– Pod karą śmierci – mówi Conora.

– Tak – potwierdza kobieta. – Na tym polega władza królewska. Pod karą śmierci słabi ugną się przed silniejszym i obiecują miłość. Masz teraz prawo ogłosić koniec obowiązywania traktatu na tym skrawku Krainy Tysiąca Barw.

– I co potem? – pyta Conora. Ale nie może powstrzymać uśmiechu wstępującego mu na twarz. Umożliwili mu dokładnie to, co obiecali. Dyrektor Breen, pobita i zakrwawiona, leży u jego stóp i składa mu przysięgę wierniej służby. Są tu też pozostali nauczyciele. Także niektórzy instruktorzy, niezdolni do oporu, wijący się w męczarniach, z ręką Sídhé zatopioną w plecach, która głaszcze ich po organach wewnętrznych, sparaliżowani groźbą powykręcania ich. Conora też by tak chciał. Żałuje, że nie poprosił o tę moc, ale teraz jest już za późno.

– Pójdźcie dalej, do Irlandii, tak? Osadzicie tam innych królów?

– Nie potrzebujemy innych – odpowiada Sídhé. Inne plemiona, które zniszczyliśmy, były po prostu... sprawdzianem dla nas. To tutaj skończy się nasze wygnanie! Tutaj! Kiedy przybędzie nasza armia, rozbudujemy twoje królestwo. Brama się otworzy i ci, którzy przez nią przejdą, już nie będą się kurczyć, będą tu żyć i umierać! To koniec niesprawiedliwego traktatu. A wszyscy pozostali przy życiu złodzieje będą pod twoją władzą, dopóty, dopóki nie będą mieć dzieci.

Conora wraca myślami do swojego Wezwania. Kiedy Sídhé chwycił go za rękę i nogi. Wspomnienie to wywołuje u niego dygot, ale przypomina sobie też chwile, które nastąpiły potem, największa duma jego życia. Ponieważ pokonał ból, aby zażądać zemsty.

– Obiecaliście mi – mówi teraz – że to ja zabiję Nessę. Spełnijcie obietnicę, a ja unieważnię traktat. Nie wcześniej.

– Musi zostać unieważniony dziś w nocy.

– Lepiej więc dajcie mi ją dziś. W przeciwnym razie traktat zostaje.

Po raz pierwszy widzi, jak któraś z tych istot przestaje się uśmiechać, a wtedy nie jest wcale piękna, ponieważ brak uśmiechu zostawia głębokie zmarszczki na jej policzkach i w kącikach oczu. Jak blizny.

– Nie mamy władzy nad poczynaniami złodziejki. Być może znajduje się w tym płonącym budynku. Może się zabić, jak wielu przed nią, żebyśmy nie mogli się z nimi zabawić.

Pierś Conora faluje z radości z powodu jej zakłopotania.

– Lepiej dla was, żeby przeżyła. Przysięga to przysięga. Ja zrealizowałem swoją część umowy. Zabiłem psy i udusiłem dwoje moich przyjaciół gołymi rękami. – Liz Sweeney była mu obojętna, ale Bruggers... Żal zabijać przyjaciela.

Mimo to Conor uśmiecha się z satysfakcją, że dobrze wywiązał się z zadania. Nessę też udusi. Jej biała szyja doskonale się do tego nadaje.

Wyobraża sobie jej minę! Najpierw ją przeprosi. Przysięgnie jej miłość. A potem zrobi to! Tak, zrobi.

– Przeprowadźcie mi Nessę, a ja unieważnię traktat.

Nessa walczy o życie. Wisi tu pewnie już z godzinę, ale kto wie, ile to czasu w Szarozieni? Ręce, jej silne ręce, drżą już z wysiłku, a dłonie ma śliskie od krwi, w miarę jak powoli, bardzo powoli wbijają się w nie zęby.

Uznaje, że nie chce tak umrzeć, całkiem sama. Chce zobaczyć jeszcze raz Donegal. Chce przeprosić rodziców, że była wobec nich taka chłodna. A od nich chce usłyszeć przeprosiny za brak wiary w jej szanse.

Były oczywiście słuszne.

Chciałaby przytulić się do Anto. I zobaczyć grób Megan. Zastanawia się, czy ktoś przynosi tam kwiaty. A jeśli chodzi o dzieci, to byłoby miło je mieć. Zapęłniłyby mały domek, a na dworze mieszkałyby kury. Anto nigdy nie pozwoli jej ich zjeść, a one będą wydziobywać sobie drogę przez zboże.

Nessa chce tego. Chce tego wszystkiego!

A zamiast tego będzie kwas, jeśli zabraknie jej sił, albo ogień, jeśli wytrzyma. To, co z niej zostanie, zmieści się w filizance, a wszyscy powiedzą, że wiedzieli od początku, iż jej się nie uda. Ale czy to nie urocze, że mimo wszystko próbowała? Naprawdę, bardzo poruszające.

Osuwa się znowu, przeklina i spluwa na ścianę przed sobą. Modli się do Boga mamy o szczęście dla niej, żeby znalazła spokój. Nessa przebywa teraz w prawie zupełnej ciemności, ponieważ od czasu, kiedy tu wisi, otwór w górze skurczył się do rozmiaru dłoni.

– Panie! – woła jakiś głos. – Panie!

– Och, dobry pies! Dobry pies! – A potem śmiechy i krzyki. – Złodziejka! Mój pies ją znalazł!

Do środka wpada nieco światła i trzy piękne twarze ponuro patrzą z góry na Nessę.

– Brzuch cię nie uwolni, złodziejko – oznajmia dźwięczny męski głos. – Nie strząsnął cię jeszcze ze ścian wyłącznie dlatego, że wciąż trawi moją drogą, kochaną przyjaciółkę. Chodź! Ona życzyłaby sobie, żebyśmy się z tobą zabawili! Rzucimy ci linę! Wyciągniemy cię! A potem zabierzemy szczątki naszej towarzyszki do Kotła.

Nessa patrzy w górę. Wszyscy Sídhé wyglądają dla niej tak samo, z tą błyszczącą skórą i wielkimi oczami; z ich elegancją i pięknem. Nawet ich włosy mają ten sam kolor w mdłym szarym świetle. Ale ten jeden nosi na czole opaskę z kości i wygląda na o wiele mniej delikatnego od pozostałych: Herkules w dziwnym pomarszczonym kostiumie, który podkreśla ogrom jego torsu.

– A niech was Crom trafi! – Nessa spluwa. – Raczej tu umrę, niż pozwolę wam się dotknąć.

– Przysięgam – mówi. – Przysięgam, że cię nie zabijemy.

– No jasne. Obiecaliście już tę przyjemność Conorowi.

– Właśnie tak! – rozpromienia się Sídhé. – Złap linę. Zrobimy z ciebie prawdziwą piękność. Ludzi zatka na twój widok.

Nessa ignoruje tę życzliwą obietnicę pomocy, która staje się coraz bardziej nagląca. Bardzo bołą ją ręce i podeszwy stóp i co chwilę musi zmieniać pozycję, ale tutaj nie ma szans na wygodę. Z kobiety Sídhé został już bulgoczący szkielet.

Obecność wroga budzi w niej jednak opór. Cieszy ją ich oczywisty niepokój, że być może złamią słowo dane zdrajcy Conorowi. Ależ ją to cieszy! I w miarę jak płynie czas, gdy czuje, jak każda kość w jej ciele wysuwa się z panewki stawu, gdy stopy ma coraz bardziej otarte, a okropne powietrze drażni jej gardło, uśmiecha się coraz szerzej, a uśmiech ten staje się równie złośliwy i radosny co ich.

– Nie wytrzymasz! – mówi błagalnie heros stojący na górze. – Zostało ci jeszcze wiele godzin!

– O tak, wytrzymam! – odkrzykuje Nessa. – Wytrzymam! I nikt się o tym nie dowie, bo zostałam Wezwana z płonącego budynku i ogień strawi mnie w chwili, kiedy wrócę! Ale będą się mylić co do mnie. Wszyscy będą tkwić w błędzie, ponieważ ja przeżyję swoją próbę w Szarozemi, i niech Crom porwie polio i niedowiarków! Niech Crom pokręci was wszystkich!

– Ogień? – pyta mężczyzna. Unosi swe wspaniałe brwi, a Nessa się śmieje.

– Bez względu na to, co się stanie, złamiecie słowo. Będziecie kłamcami, takimi samymi jak my, Irlandczycy. Będziecie kłamcami i zdrajcami.

Rozlega się przeraźliwe wycie, które brzmi, jakby wokół dziury tłoczyło się setki Sídhé.

– Musisz wyjść! – mówi mężczyzna. Niebezpiecznie pochyla się naprzód. – Nie możesz tego zrobić. Rozumiesz? Nie możesz!

Ręce zaciska na krawędzi dziury. Rękawy wokół jego nadgarstków uszyte z ludzkich ust oddychają w przerażeniu.

– Wcale nie. – Mimo bólu Nessa smakuje każde słowo. Jeśli ma umrzeć, nie zazna nic lepszego od dręczenia tych potworów. – Nie możecie mnie zatrzymać, wrócę tam, skąd przyszłam.

– Tak! – zgadza się. – Nie możemy powstrzymać twego powrotu w ogień. Ale możemy cię zmienić! Możemy zmienić cię tak, że płomienie nie wyrządzą ci

krzywdy!

Nessa jest na granicy wyczerpania. Prawie gotowa, żeby się puścić i spaść. Pozwolić, żeby strawił ją kwas, podczas gdy oni będą wyć z rozpaczyny nad złamaną w głupi sposób przysięgą. Ale książątko na górze wzbudziło w niej zainteresowanie.

– Możecie sprawić, że będę... – nie ma słowa w sídhe określającego ten stan, więc wymyśla je – ...ognioodporna? Możecie to zrobić? Oczywiście, że możecie!
– Nessa uśmiecha się szeroko. – Ale sądzę, że zaczekam tutaj. Jestem już zmęczona. No to spadam.

– Nie! – krzyczy Sídhe. – Błagam cię, nie!

– Tak czy siak, i tak mnie powykręcacie.

– Powykręcamy?! A któż mówi coś takiego? Uczynimy cię piękną! Będiesz perłą w żywym ciele!

Nessa ma dość. Jest tak zmęczona, tak obolała, że gotujący się w dole kwas wydaje się być najbardziej miękkim materacem na świecie. Mówi z trudem:

– Sprawcie zatem, bym stała się ognioodporna. I obiecujecie, że nie zrobicie mi żadnej krzywdy.

– My nigdy nie robimy krzywdy! My tylko...

– Och, na Croma! Nie zrobicie mi nic, co ja uważam za krzywdę. Rozumiesz mnie? Rozumiesz?

Bohaterowi wymyka się uśmiech, ale potwierdza solennie i Nessa wie, że dotrzyma słowa. Z tego słyną i Nessa zastanawia się, dlaczego nikt nigdy do tej pory tego nie wykorzystał. I w ogóle, dlaczego aż tak bardzo im na tym zależy?

Przed jej twarzą dynda lina zrobiona z – Nessa nie ma wątpliwości – ludzkiej skóry. Wkłada jednak ręce w pętle, które zawiązali, aby wciągnąć ją na powierzchnię. W tej samej chwili kiedy Sídhe ją wyciągają, uświadamia sobie, że mogła poprosić o więcej niż ochronę przed ogniem. Mogła zażądać zdrowego ciała. Silnych nóg! Ale było już za późno.

Wrogowie, setki wrogów, stoją dookoła niej z psami. W oddali drzwi w niebie nadal połyskują na zielono. Są jaśniejsze niż wcześniej, a wznoszony przez tutejsze istoty kurhan już prawie ich dosięga. Na równinie tłoczą się całe zastępy Sídhe i Nessa uświadamia sobie, czym są: to wojska.

– Doskonale – mówi heros Sídhe. – Ja, Dagda, dziękuję ci! Ponieważ gdybyś się zabiła, nigdy nie wrócilibyśmy do naszego kraju, a twój lud mógłby przetrwać. Ratując siebie, złodziejko, zabijasz ich. Ponieważ wszystko, czego potrzebujemy, to unieważnienia traktatu przez waszego króla, a dlaczego miałby dotrzymać swej obietnicy, gdybyśmy my złamali naszą?

– Nie... nic nie rozumiem – mówi Nessa.

Uśmiech wraca na twarz Sídhe, szerszy niż wcześniej. Wszyscy Sídhe się do niej uśmiechają.

– Teraz uodpornię cię na ogień – mówi Dagda. – I ból ten będzie
niezapomniany.
Ma rację.



Pożar

Wszystko płonie. Wszystko, z wyjątkiem Nessy. Wcale na to nie wygląda, ponieważ płomienie tańczą przy jej skórze i igrają w krótkich włosach. Jej oddech też jest ogniem.

Powinna się śmiać, ale Sídhé nie obdarzyli jej niczym więcej ponad to, co obiecali, więc Nessa jest kompletnie wyzuta z sił. Ręce i stopy ma poranione, a to utrudnia jej wysiłki, żeby stawać na tych deskach podłogi, które utrzymają jej ciężar.

Poza sypialnią pożar szaleje w zasłonach. Szyby pękają z hukiem przypominającym strzały z dubeltówki, jedna po drugiej. Na tych samych schodach, po których zwykle zjeżdżała w dół, farba puchnie od gorąca. Nessa zgina się w pół, kaszląc od dymu tak, jakby zaraz miała wypluć płuca.

Ostatecznie Nessa ześlizguje się po ostatnich ocalałych stopniach na brzuchu i czołga do głównego wejścia.

Ta część budynku płonie najdłużej i został z niej tylko szkielet, który trzyma się jedynie na resztkach stalowych elementów oraz na wspomnieniach o wszystkich uczniach, którzy tu żyli i umarli.

W jednym miejscu ogień jest wyższy od niej, płoną tu belki stropowe, które spadły z wyższych pięter. Nessa nie zwraca na to uwagi, ale kiedy pięciu Sídhé, sięgających dziewczynie najwyżej do pasa, podbiega do niej, trzymają się z daleka od szalejącego ognia.

– Musisz przyjść – popędzają ją. – Musisz przyjść do niego teraz.

– Bo co? – pyta Nessa, a z każdym słowem wypluwa z siebie ogień. Widzi, jak bardzo ludziki są zdeterminowane, żeby zmusić ją do ruchu, ale obiecali, że nie zrobią jej krzywdy, więc trzymają się na dystans.

Z jej skóry wydobywają się resztki ognia, który wchłonęła, oddech zwalnia i już nie ma w nim płomieni. Nessa marzy tylko o odpoczynku. Najchętniej by się położyła. Ale czekają na nią niedokończone sprawy. I oto one: z parkingu idzie w jej stronę Conor, na jego twarzy rysuje się wściekłość. Rozpycha Sídhé, a oni go błagają:

– Unieważnij traktat, teraz! Zrób to teraz! Potem ją dopadniesz! Możesz ją

mieć na całą wieczność, jeśli zechcesz!

– Podejdź tu! – Conor rozkazuje Nessie.

Dziewczyna nie rusza się z miejsca i tylko lekko się chwieje z powodu niewyobrażalnego gorąca buchającego z drewna za jej plecami. Całe jej ciało lśni w ogniu. Jest piękniejsza od wszystkich Sídhé razem wziętych, piękniejsza niż sama Danú! Wściekłość ulatuje z niego bez śladu.

Dlaczego? Dlaczego poprosilem, żeby pozwolili mi ją zabić? Właśnie zabić?

Nessa stoi przed nim bezradnie. *Oszołomiona tym, że widzi go w takiej chwale, jako Króla, którego Irlandia zawsze potrzebowała* – myśli Conor. I jako Król musi teraz podjąć wyzwanie, wejść w rozgrzane powietrze i położyć, wreszcie położyć drżące ręce na zgrabnej, pięknej szyi. Jest taka delikatna! Może ją zmiażdżyć jak wróbla. Tylko że nie może tego zrobić. A jednak musi. Jakież wybór pozostawili mu Sídhé?

– Pocałuj mnie – mówi Nessa.

– Co takiego?

– Pocałuj mnie najpierw. Tylko raz.

Przecież Conor zawsze chciał, żeby go błagała, czyż nie? Żeby przeprosiła. Żeby go pragnęła. A cóż może znaczyć ten pocałunek, jeśli nie to wszystko naraz?

Dziewczyna odchyła długą szyję. Conor nie może się oprzeć, usta ciągną go naprzód, dalej i dalej. Nessa obejmuje go silnymi ramionami. Obejmuje go bardzo mocno.

I rzuca się z powrotem w płomienie.



Pieść olbrzyma

Gdzieś trzasnęły drzwi.

Aoife już nie czuje obecności kurhanu. Obraca się kilka razy dookoła i nawet nie pamięta dokładnie, gdzie się znajduje. Wszyscy Sídhe wrzeszczą przerażeni z powodu swojej straty.

Ten wrzask budzi Anto z rozpaczy. Wyje jak dzikie zwierzę i szarżuje na parking. Ludzcy więźniowie rozpierzchają się przed nim, ale pogrążeni w żalobie Sídhe myślą teraz tylko o zemście, a oto zjawia się cel godny ich nienawiści.

Co najmniej trzydzieścioro ludzików, mężczyzn i kobiet wzrostu dziecka, biegnie do niego ze wszystkich stron. Anto wita ich olbrzymią pięścią. Powala jednego, a ten wpada na trzech innych; Anto przewraca ich jak kręgle. Następnego rozpląszcza na placek, a dźwięk, jaki się przy tym rozlega, to najobrzydliwsza rzecz, jaką Aoife kiedykolwiek słyszała.

Ale wkrótce wszyscy tłoczą się wokół Anto, małe ręce sięgają mu do kostek. Wiedzą, że jeśli go przewrócą, obleżą go jak mrówki.

Anto w ogóle o to nie dba, ale Aoife jest przerażona. Rusza więc i osłania mu plecy. Wali jednego małego człowieczka w twarz, ale drugiemu udaje się dotknąć ją w rękę i ból jest tak nieznośny, że łzy płyną jej z oczu. Dziewczyna odskakuje, ale widzi, że trzy postacie zjawiają się między nią a rozpaczliwie walczącym Anto.

– To ja zabiłam twoją ukochaną, złodziejko – mówi maleńka kobieta. Jej jedwabiste włosy powiewają jak flaga na wietrze. – Trzymałam w dłoni jej serce, było jak mały drżący ptaszek. A wtedy...

A wtedy głowa Sídhe wybucha.

Bum, bum, bum! Trzej kolejni wrogowie padają z niewytłumaczalnymi dziurami w ciałach i Aoife widzi coś tak dziwnego, że zapamięta tę noc do końca życia: Nabil i Taaft – oboje całkiem nadzy, chociaż w butach – gnają w stronę parkingu. Mają broń szeregowej Madigan, a każdy pocisk trafia w cel.

We własnym świetle Sídhe raz po raz radośnie poświęcają życie, albo przynajmniej tak twierdzą Świadectwa. Ale zamknięte drzwi, utrata kurhanu czy też coś innego wyraźnie pozbawiło ich woli walki. Uciekają przed strzałami.

Rankiem nawet miejscowi polują już na nich – na małe ludziki rozmiaru szczura, które chowają się w krzakach. I właśnie wtedy Aoife znajduje Nessę.

Żywą, na Croma! Jak ta księżniczka w bajce. Nessa śpi w kupie popiołu, słodko uśmiechnięta, czule obejmując zwęglony szkielet.

Ze wszystkich budynków ocalała tylko sala gimnastyczna. W lepszych czasach mieszkańcy internatu ledwo mogli się w niej pomieścić, kiedy na rozwijanym ekranie wyświetlano film. Teraz nie muszą się tłoczyć. Dla tych, którzy przeżyli ostatnią noc, wystarczy pięćdziesiąt krzeseł.

Anto dostrzega ją, kiedy przechodzi przez podwójne drzwi.

– Nessa! – krzyczy, rozdarty między gniewem a niepokojem. – Miałaś być w namiocie medycznym!

Aoife zaciągnęła ją tam, gdy Czerwony Krzyż jeszcze go rozstawiał. Zanim Aoife przekazała Nessę w ręce lekarzy, powiedziała jej:

– Nie mów nikomu o Conorze, rozumiesz?

– Ale... Świadectwo.

– Tak, Świadectwo musi być uczciwe, wiem. Ale przecież kończy się po upłynięciu Trzech Minut, prawda? I dotyczy Szaroziemni. Nie muszą wiedzieć, co wydarzyło się potem. Twoi rodzice nie muszą o tym wiedzieć.

Może Aoife ma rację. Świadectwo ocalałego to dokument, który towarzyszy mu do końca życia, a chociaż nikt nie będzie żałował Conora, Nessa wie, jak mogłoby to zostać odebrane. To było złe. Podstępne. Niepotrzebne. Ludzie nie postrzegają kobiet jako zabójców, nawet teraz, nawet po tym wszystkim!

Może z czasem Nessa pożałuje tego, co się stało, poczuje wstyd. Ale nie teraz. Ani trochę!

– Nesso! – powtarza Anto. Musi być bardzo rozmarzona, ponieważ osuwa się na ścianę i chłopak musi ją podeprzeć prawym ramieniem, tym normalnego rozmiaru.

– Chodź, odprowadzę cię.

– Nie. Zostaję tutaj.

I przez „tutaj” rozumie ciepło jego ramion, bliskość bijącego serca. Zmusza go, żeby użył też drugiej ręki, aby utrzymać ją na obandażowanych stopach.

Podnosi głowę, ale się waha, dociera do niej, że cała sala widzi ich razem, a jej słabość jest wystawiona na widok.

Mimo wszystko całuje go. Na Croma, to boli! Wszystko ją boli. Nawet jego włosy drapią, kiedy dotyka ich poranionymi rękami, ale ten ból nagle ją rozśmiesza, ponieważ nigdy nie wyobrażała sobie raju takiego jak ten, kiedy nawet cierpienie przypomina jej o życiu, przetrwaniu, zwycięstwie. Każdy zmysł woła o jej uwagę. Jego zapach! Zmieszany z potem i dymem. Drapanie jego nieogolonego podbródka. Czułość jego warg i troska, z jaką jego siła otacza jej delikatność.

– Lubisz farmy? – pyta szeptem Nessa.

- Farmy? Dlaczego... No nie wiem. Ja...
- Powiedz, że tak.
- Tak. Uhm. Ja... uwielbiam farmy?
- Dobrze. A Donegal?
- To, eee, najwspanialsze miejsce na świecie?
- Zanieś mnie do środka. Chyba nie dam rady iść.

Alanna Breen przychodzi, kuśtykając, na końcu. Mija śpiwory i zabandażowane twarze. Opuszczone głowy i opadłe ramiona. W sali słychać tylko, jak powłóczy poranionymi nogami. Dyrektorka wie, że z powodu oparzeń wygląda o wiele gorzej niż inni.

Ale jest to winna uczniom, musi trzymać się prosto. Zaledwie sześć miesięcy temu niektórzy z nich bawili się lalkami. Większość wciąż czeka na Wezwanie, niech ich Bóg ma w opiece. *To moje dzieci* – myśli. Bardzo je kocha, może nawet pod pewnym względem mocniej niż rodzice. Nic więc dziwnego, że w chwili, gdy zwraca się do nich, z jej zwykłej rezerwy nie zostaje nic.

Przygotowała sobie mowę, ale z jej ust nie pada żadne słowo. Zamiast tego Alanna Breen, która nigdy nie przytuliła ucznia, by go pocieszyć, czuje się teraz zobowiązana, by przejść od krzesła do krzesła i każdego mocno ucałować w czoło.

Kuśtyka od małego Bronagha Glyna do Cormaca O'Malley'a i Aoife. Jest tu pękaty pan Hickey z kawałkami własnych map zaplątanymi w osmalone włosy, z szerokim uśmiechem na twarzy. Za nim siedzą Nabil i Taaft; weteranka Melanie, która z jakiegoś powodu wygląda na bardziej wystraszoną niż inni. Dalej jest piątka Trzeciorocznych, którzy właśnie tyłu Sídhe podstępem zamknęli w piwnicy. Całuje ich wszystkich, a także marudną pannę Flynn i Lorcan Bianconi, i Mitcha Cohena...

Pani Breen zachowuje opanowanie przy pierwszych dwóch rzędach krzesel. Ale potem podchodzi do Anto i Nessay. Ci dwoje są tak w siebie wtuleni, że ledwo zauważają jej obecność.

Co się stało? – zadaje sobie pytanie pani Breen. *Co się stało?*

Ale tym razem odpowiedź brzmi: „nic”. Są szczęśliwi, to wszystko. Wyglądają, jakby zostali przeniesieni ze świata jej młodości, aby jej przypomnieć, jak to kiedyś było. Jacy wszyscy powinni być, nawet teraz.

Breen zaczyna płakać, ulatuje z niej wszelka godność, płacze za tymi wszystkimi, którym się nie udało, za dwudziestoma pięcioma latami pustych krzesel w refektarzu. I wtedy wszyscy wybuchają płaczem, cała sala gimnastyczna wypełnia się ich rozpaczą, aż wreszcie dyrektorka szkoły odzyskuje panowanie nad sobą i krzyczy:

– Dość! Dość!

Wreszcie może mówić, gdyż dotarła do niej prawda:

– Wygraliśmy bitwę – krzyczy. – Rozumiecie? Wygraliśmy! Naród musi przetrwać! Przeżyjemy! Wygrywamy! Naród przetrwa!

W ten sposób jakby naciska magiczny guzik, który sprawia, że wszyscy zrywają się na równe nogi i skandują hasło. Oczywiście wykrzykują je, ciągle płacząc, ale to im nie przeszkadza. „Naród przetrwa! Naród przetrwa!”. Krzyk jest tak potężny, że słyszy go cały kraj.

I być może w Szarozemi, w miejscu wygnania – gdziekolwiek się ono znajduje – wieczne uśmiechy Sídhé bledną, chociaż trochę.



Fantazje

Cztery lata temu byli przekonani, że ich córka jest skazana na śmierć, i tak bali się przyszłego cierpienia, że rozważali nawet otrucie.

A jednak wróciła, piękna i silna. Znalazła miłość. Jest bohaterką Narodu, której Świadećstwo na zawsze zmieni sposób myślenia ludzi o Síðhe. Ale wszystko, czego teraz pragnie, to mama i tata z czasów jej najwcześniejszego dzieciństwa.

Kiedy ich obejmuje, czują, że ręce ma silne jak kotwice. Jej skóra jest dziwnie gładka, niczym porcelana wypalona w piecu.

– Nie mogę zostać na dłużej – mówi Nessa. – Lekarze chcą mnie zbadać.

– Gdzie jest Anto? – pyta Agnes. – Nie poznamy go?

Dostali już od niej list, więc wiedzą, co się wydarzyło, choć bez szczegółów. Ale, szczerze mówiąc, szczegóły nie mają najmniejszego znaczenia. Wróciła do nich, podczas gdy rodzice w całym kraju nie mają tyle szczęścia, ponieważ nawet po tym, co się stało w Boyle, dzieci nadal są im odbierane przez Wezwanie.

Nessa spędza z nimi całe Boże Narodzenie, mieszka w swoim starym pokoju i nie pozwala z niego zabrać ani jednego zmalretowanego misia z dzieciństwa.

Ale zmieniła się. Fergal zauważył, jak przegarnia rozżarzone węgle w palenisku gołymi rękami. A potem wprawiła go w osłupienie, kiedy mu pokazała, jak gasi ogień palcami, a nawet wargami.

Na początku roku informuje rodziców, że znowu wyjeżdża.

– Naród musi przetrwać – mówi. – I ja mogę mu w tym pomóc.

Siedzi sama w autobusie, walizkę ustawiła na sąsiednim siedzeniu, by mieć wrażenie, że Megan siedzi obok. Odjeżdża zaśnieżoną drogą, a Agnes i Ferg machają jej i obejmują się, a duma wprost ich rozpiera.



Podziękowania

Książka może i jest ponura, ale praca nad nią wcale taka nie była, ponieważ ludzie z całego świata dodawali mi energii i odwagi. Moja rodzina zachowała się wspaniale. Podobnie jak Julie Crisp, która wykazała się większą mądrością i życzliwością, niż było to konieczne.

A co z pierwszymi czytelnikami, Carol Connolly, Iainem Cupplesem i Dougiem z klanu McEachern? Przecież poświęcili mi tyle czasu. I to nie tylko na *Wezwanie*, ale też na wcześniejsze maszynopisy! Pamiętam też, oczywiście, o Carole Fleres, która pomogła mi przy wcześniejszych pracach. Dziękuję wam, dziękuję bardzo.

Jestem również wdzięczny Ficklingom, wszystkim. Wszędzie. A przede wszystkim Rosie (vel „Rosie I”), która zwała moją robotę na resztę biura; Davidowi, który uwielbia dzwonić z dobrymi wiadomościami; Caro, która oddała mi do dyspozycji swój dom i nie przeżyła wstrząsu z powodu moich dziwnych nawyków.

Pewnego lipcowego dnia przedstawiono mnie cudownemu zespołowi DFB w Oksfordzie i wtedy zrozumiałem, że wszystko będzie dobrze. To profesjonaliści w każdym calu i gdybym pił alkohol, wzniosłbym toast na cześć Carolyn, Brona, Anthony’ego, Phila, Simona i całej reszty.

Musiałbym wznieść wiele toastów za stronę redaktorską, ponieważ tak wiele osób nad nią pracowało. Głównym sternikiem była jednak Bella Pearson, która zebrała wszystko razem i dostarczyła mi wielu doskonałych pomysłów.

Masa osób może być zupełnie nieświadoma, że przyłożyła się do powstania *Wezwania*. Należy do nich wielu nieżyjących poetów, Amergin, Eibhlín i Anonim – przepraszam ich wszystkich i składam wyrazy najszczerzego szacunku. Jest jeszcze szkoła z internatem, do której chodziłem, kiedy byłem w wieku Nesy, Clongowes Wood College, oraz ta, do której uczęszczałem duchowo w towarzystwie Enid Blyton. Pomogła mi również sztuka – zakręcona bohatera twórczość Jima Fitzpatricka. Pierwsza *Księga podbojów*, którą wziąłem do ręki, zawierała jego ilustracje.

Wielu wykazało się odwagą przy czytaniu pierwszych wersji tej książki na Boskone, LuxCon i TitanCon. Brotherhood Without Banners poświęciło mi wiele czasu, a jego członkowie nie mieli pojęcia, jak bardzo mi pomogło

wysłuchanie ich uwag.

Nie mogę też zapomnieć o organizatorach wymienionych konwentów, którzy z roku na rok tak ciężko pracowali, aby zapewnić ludziom mojego pokroju wspaniałe możliwości!

Dziękuję wam wszystkim za tę książkę.